

NAJSŁYNNIEJSZY
SERYJNY MORDERCA

Powieść
na
faktach

Lektura zdecydowanie dla ludzi o stalowych nerwach.

JAN GOŁĘBIOWSKI

Intrygująca pisarska interpretacja umysłu jednego z najbardziej rozpoznawalnych seryjnych morderców w historii.

ŁUKASZ WRÓŃSKI

TED BUNDY
UMYSŁ
MORDERCY

MAX CZORNYJ

FILIA

MAX CZORNYJ

TED BUNDY
UMYSŁ
MORDERCY

FILIA

Rekomendacje

„Często mówi się o profilerze, że wchodzi w umysł sprawcy, ale to, co zrobił w tej książce Max Czornyj, sięga dużo dalej niż analiza kryminologiczna. Wszyscy znamy historię Teda Bundy’ego, najbardziej rozpoznawalnego, może poza Kubą Rozpruwaczem, seryjnego mordercę.

Sięgając po nowe dzieło Czornyja, zastanawiałem się, co można jeszcze nowego przedstawić w książce. Otóż Maksowi się udało. Zabiera nas na wycieczkę do wewnętrznego i intymnego świata Teda Bundy’ego, zabiera nas do jego głowy. Na zbrodnie patrzymy oczami mordercy, co wywołuje potworne uczucie bycia blisko tych okrutnych zbrodni, prawie jakbyśmy sami brali w nich udział, poprzez tę lekturę stajemy się współnikami gwałciciela, sadysty, mordercy i nekrofila, jakim był właśnie Bundy. Zastanawiam się, czy przeczytanie tej książki jest bezpieczne dla zdrowia psychicznego. Lektura zdecydowanie dla ludzi o stalowych nerwach”.

**– Jan Gołębiowski – psycholog kryminalny,
biegły sądowy, autor licznych publikacji na temat profilowania**

„Najnowsza książka Maksa Czornyja to intrygująca pisarska interpretacja umysłu jednego z najbardziej rozpoznawalnych seryjnych morderców w historii. Max Czornyj zabiera nas w makabryczną, wynaturzoną podróż po zakamarkach myśli i żądz Teda Bundy’ego. Nasza fascynacja czynami jej «bohatera» sprawia, że do ostatniej strony towarzyszy nam niepokój”.

- Łukasz Wroński – psycholog specjalizujący się
w zagadnieniach związanych z psychologią sądową,
śledczą i kliniczną, biegły sądowy

Pamięci niepamiętanych

„Morderstwo nie jest zwykłą zbrodnią wynikłą z pożądania lub przemocy. [Ofiary] stają się częścią ciebie i na zawsze jesteście jednością. [...] A miejsca, gdzie je zabijasz lub je zostawiasz, stają się dla ciebie święte i zawsze będą cię przyciągały”¹.

Ted Bundy

„Jeżeli zabił te wszystkie urocze młode kobiety – mamy kilka własnych, pięknych córek, wiemy, jak byśmy się czuli, i to jest okropne. On nie był tak wychowany! Wychowywał się w dobrej, kochającej i troskliwej rodzinie... Nadal go kochamy i troszczymy się o niego, jednak chcemy wiedzieć: co było tego przyczyną?”²

Matka Teda

1.

– Jest pan najpopularniejszym przestępcą w Stanach Zjednoczonych. Kochają pana setki kobiet. Dostaje pan od nich zapewne wiele listów, prawda?

Obojętnie wzruszam ramionami, jednak nie potrafię powstrzymać zadowolenia. Szeroko się uśmiecham i spoglądam prosto w skryte za przyciemnianymi okularami oczy dziennikarza.

– Setki – stwierdzam chępliwie. – Może tysiące. Podejrzewam, że nie wszystkie trafiają w moje ręce. No wie pan... Cenzura.

– Tak, ta cholerna cenzura. Wywraca nasz świat do góry nogami.

Pismak kiwa głową i robi ponurą minę. Od początku rozmowy stara się zyskać moją sympatię. Teraz obraca w dłoni długopis i chowa go do kieszeni.

– Tak poza protokołem... – zniża głos. – Chciałbym o coś dopytać.

– Słucham.

– Trzydzieści czy sto trzydzieści?

– Co takiego?

Dziennikarz końcówką języka oblizuje wargi. To objaw zdenerwowania. Na jego czole, pod linią włosów, dostrzegam kropelki potu, a przecież w pokoju, w którym rozmawiamy, wcale nie jest gorąco. Łopata klimatyzatora z łoskotem bełta powietrze.

– Kiedyś wspomniał pan, że...

Wiem, do czego zmierza. Od początku wiedziałem. Niedbale macham ręką i zerkam w stronę drzwi. Stojący przy nich strażnik udaje, że jest całkowicie pochłonięty kontemplacją pęknięcia na ścianie. W rzeczywistości łakomie wylapuje każde słowo padające z moich ust. Kiedy tylko skończy zmianę, sprzeda je za kilka dolarów pismakowi, który nie dostał zgody na przeprowadzenie ze mną wywiadu. Wszystko jest jedynie biznesem. Relacje nas wszystkich oparte są wyłącznie na

własnej korzyści. Zapamiętajcie to sobie, bo nikt inny wam tego nie powie.

Odwracam się do dziennikarza i pochylam głowę na bok. Wiem, że w tej pozycji nieco przypominam niezdarneho chłopca.

- Jestem niewinny - rzucam na tyle głośno, by usłyszał mnie strażnik. - To wszystko jest jedynie grą. Kiedy mówiłem policji o trzydziestu lub stu trzydziestu ofiarach, używałem jedynie figury retorycznej. Stawiałem tezę. Obaj panowie wiecie, czym jest teza?

Strażnik nerwowo zmienia nacisk z prawej na lewą nogę, ale powstrzymuje się przed spojrzeniem w moją stronę. Tymczasem dziennikarz wzdycha. Hamuje emocje, aby nie pokazać, że jest rozczarowany. Liczył na mocniejszy materiał.

- Przepraszam, że pana zawiodłem... - stwierdzam smutnym tonem.

- Naprawdę zależało mi, aby ten wywiad wypadł jak najlepiej.

- Wypadł doskonale.

- Naprawdę tak pan uważa? - Nie mogę się powstrzymać przed tym pytaniem. Nagle odzyskuję naturalny entuzjazm. - Proszę być całkowicie szczerym.

- Jak najbardziej.

- Ale... Czy jest jakieś ale?

- Nie. Mam jeszcze jedno zagadnienie, a raczej prośbę. Zapozuje pan do zdjęcia?

Tylko na to czekałem. Rozkładał dłonie w geście, jakby nie pozostawiono mi innego wyboru niż się zgodzić.

- Oczywiście. Nie chciałbym, żeby pan całkowicie zmarnował tu czas.

Dziennikarz mruży oczy, zastanawiając się nad czymś przez chwilę. Wreszcie, podjąwszy jakąś decyzję, kiwa do strażnika, a ten podaje mu przechowywaną dotąd torbę. Wszystko odbywa się tak, jak planowałem.

Przechesuję palcami włosy i rozglądam się za dobrym kadrem. Muszę dbać o swój wizerunek. Tę fotografię mogą zobaczyć setki tysięcy

osób. Kiedy reporter przygotowuje aparat, podchodzę do ściany i niedbale się o nią opieram. Robię nonszalancką minę. Po chwili spoglądam wprost w obiektyw. Ponownie się uśmiecham, lekko odsłaniając zęby. Z tym wyrazem twarzy wyglądam najlepiej. Mówiło mi o tym wiele kobiet.

Trzydzieści, a może sto trzydzieści z nich leży rozkawałkowanych w różnych zakamarkach Ameryki. Tęsknię za nimi.

2.

Tęsknię za Rachel, której nazwiska niestety zapomniałem. Zresztą może nigdy mi go nie podała. W końcu nie przedstawialiśmy się sobie... Przynajmniej nie tak, jak zazwyczaj przedstawiają się sobie zwykli ludzie.

Miała ładne blond włosy, które pachniały kwiatami, i duże niebieskie oczy. Mówię wam, poezja. Palce lizać, jak to określiliby żartownisie. Przyklaskuję im, bo Rachel zasługiwała na wszelkie komplementy.

Nie widzieliśmy się od jakiegoś czasu i miałem na nią straszną ochotę. Czasem popęd wygrywa z wszelkimi innymi instynktami. Nie potrafię go powstrzymać, ale też nie rozumiem, dlaczego miałbym to robić. Społeczeństwo zmusza nas do życia w klatkach. Ciosa charaktery według ogólnych oczekiwań oraz wydumanej moralności. Kastruje mężczyzn, czyniąc z dzikich drapieżników posłuszne kanapowe pieski. Wielokrotnie o tym myślałem, choć nigdy nie przyznam tego na głos. W końcu teraz sam trafiłem do klatki, a miliony osób przyglądają się mojemu życiu, jakbym był jedynym tygrysem albinosem w całej cholernej Ameryce. Rozumiecie, w czym rzecz?

W każdym razie, gdy przypomniałem sobie o Rachel, nie zamierzałem się hamować. Ukryłem ją w bezpiecznym miejscu, z dala

od oczu ciekawskich. Wsiadłem do auta i wybrałem się w czterogodzinną podróż.

Jak miło jest to wspominać. Zielone lasy, łagodne wzgórza i gładki asfalt prościutkiej drogi. Letni intensywny zapach ściółki oraz pierwszych grzybów. Szczątki potraconego jelenia na poboczu. Doskonale pamiętam wszystkie szczegóły. Odrzucony do tyłu łeb, szeroko rozwarte nozdrza, z których wyciekła krew, oraz wydęty brzuch. Robactwo już zaczynało dobierać się do jego otwartych oczu. Wystający z pyska język miał fioletowosiny kolor, który czasami widywałem u ludzi... Co za niefortunne skojarzenie.

Oderwałem wzrok od zwierzęcia i ponownie przyśpieszyłem. Kilka minut później zatrzymałem auto na ubitym terenie przy zjeździe do lasu. Dziarskim krokiem ruszyłem przed siebie. Pamiętałem każdy kamień i każdą charakterystyczną gałąź. Nie musiałem rysować na drzewach strzałek albo innych znaków. Bez problemu dotarłem do miejsca, w którym ją zostawiłem. Przyciągało mnie jak magnes i choć możecie myśleć, że to bzdury, traktuję je niczym jakiś święty krąg. To moja własna świątynia.

Kolejne wspomnienia sprawiają, że przenoszę się w czasie, jakbym był tam właśnie teraz.

– Rachel! – witam się radośnie. – Miło cię widzieć.

Nie odpowiada mi. W jej ustach tkwi knebel.

– Tęskniłem – stwierdzam, siadając tuż obok. – Ile to już dni? Zbyt wiele, przepraszam. Ale popatrz, coś ci przywiozłem!

Sięgam do kieszeni i wyciągam z niej czarny lakier do paznokci. Potrząsam małą buteleczką. Odkręcam ją, po czym podsuwam pędzelek prawie do samego nosa. Wciągam spirytusowy, duszący zapach.

– Będzie ci pasował, nie sądzisz?

Rachel oczywiście nadal milczy, więc delikatnie biorę jej dłoń. Gładzę ją i się uśmiecham.

– Nie walcz ze mną – proszę łagodnie. – Będzie naprawdę ładnie. Powinnaś go używać częściej.

Zaczynam drobny zabieg. W pełnym skupieniu maluję jej paznokcie. Nie chcę, aby lakier był rozmazany ani położony zbyt grubo. To trwa zdecydowanie dłużej niż kwadrans.

Wreszcie zadowolony z efektu dmucham na jej palce. Ponownie głaszczę dłoń, z której łuszczy się płat sinobrazowej skóry.

Rachel nie żyje od prawie dwóch tygodni. Zaczyna cuchnąć.

3.

Do pierwszego ciała przywiozłem drugie. To uduszona dziewczyna w wieku piętnastu, może szesnastu lat, której twarz roztlukłem grubym prętem. Ma zdeformowany nos, kilka wybitych lub połamanych zębów i włosy zlepione krwią. Zazwyczaj w ogóle mi to nie przeszkadza, nie zwracam uwagi na detale i pamiętam jej rysy, kiedy jeszcze żyła, ale skoro mam możliwości... Czemu z nich nie skorzystać.

– Obie jesteście moje – szepczę, myjąc jej włosy. – Widzicie się? Co powiecie o swoich piersiach?

Zwłoki nastolatek ustawione są naprzeciwko siebie. Są całkowicie nagie. Tę, przy której teraz stoję, przywiązałem do krzesła cienką linką. Druga znajduje się w pozycji półleżącej, z szeroko rozstawionymi nogami, jakby miała zaraz rodzić. W jej pochwę wepchnąłem nóż tak głęboko, że wystaje jedynie trzonek.

Sięgam po wiaderko z wodą i spłukuję pianę z włosów brunetki. Później zmyję podłogę, ale teraz nie przejmuję się tworzącą się na niej kałużą. Ogarnia mnie podniecenie.

– Jeszcze chwilka...

Szczotka do włosów jest już przygotowana. Przeczesauję nią długie kosmyki, co chwilę delikatnie dotykając ich palcami. Staram się uczesać włosy tej dziewczyny, by na środku miała przedziałek. Tak jak lubię

najbardziej. To ładne, po prostu ładne. A do tego podoba mi się, gdy kobiety słuchają tego, co chcę. Gdy się ubierają wedle moich wskazówek, czeszą, pieprzą...

Odkładam szczotkę i spoglądam na swoje dzieło. Obie zamordowane wyglądają doskonale. Mógłbym jeszcze staranniej zmyć krew z twarzy tej świeższej, lecz to zbędne. Ważne, że spłynęła z niej większość strupów, które dosłownie oklejały nos.

To moje dzieło. Na zawsze będę pamiętał to miejsce i ten dzień. Nikt inny nie zrobił czegoś podobnego. Mam teraz mnóstwo czasu, aby zrealizować swoje wszystkie fantazje. Mam ich naprawdę wiele.

Przesuwam krzesło ostrożnie, by dziewczyna z niego nie spadła. Robię to delikatnie, nie chcąc, aby protestowała. Trupy nie protestują, no nie? Ale przecież wszystko jest jedynie kwestią wyobraźni.

– Chciałybyście się ze sobą pobawić? – pytam, gdy zwłoki znajdują się już bardzo blisko siebie. – Potrzebujecie do pomocy trzeciego, prawda? No dobrze... Jak bym mógł się nie zgodzić?

Wymyślenie całej scenki zajmuje mi jedynie chwilę. Inspiracją są komiksy detektywistyczne, które czytywałem przed laty, oraz pornosy. Efekt wymieszania jednego z drugim jest pierwszorzędny. Zacieram rękę i przystępuję do działania. Nie mogę doczekać się sceny finałowej.

Odwiązuję dziewczynę od krzesła, po czym układam ją przy tej drugiej. Opieram jej głowę o siwofioletowe udo towarzyszki. Nie powstrzymuję się przed dotknięciem to jednej, to drugiej. Spoglądam na nie pod rozmaitymi kątami niczym malarz badający detale portretowanych postaci. Ja portretuję ich okolice intymne, znamiona i blizny. Zapamiętuję każdy szczegół, bo od tego momentu na zawsze stajemy się jednością.

– To co, jesteście gotowe?

Uśmiecham się, po czym zaczynam się rozbierać. Ja też jestem gotowy.

4.

Już mnie nienawidzicie? Brzydzicie się mną? Macie do tego pełne prawo. Nawet was doskonale rozumiem.

A gdybym powiedział, że to, co przeczytaliście przed chwilą, to wymysł jakiegoś dziennikarzyni, który szukał sensacji? Albo pismaka, który pragnie zarobić na makabrze? Są ich tysiące i każdy ma interes w przedstawieniu mnie w jak najgorszym świetle.

Już chyba wspominałem, że jestem niewinny, a wszystkie oskarżenia to tylko pomówienie. Wrobiono mnie, bo doskonale pasowałem na kozła ofiarnego. Okazało się, że byłem w paru miejscach, gdzie doszło do zbrodni. Ogromny komputer, który FBI zaprzął do pracy, wytypował moje nazwisko. Wiecie, że to słabo wygląda. Zeznania świadków, przypadkowe wyciągi z karty kredytowej, podpisy w hotelach. Przecież nie ukrywałem się, do cholery!

Statystyka zrobiła ze mnie zbrodniarza. Ba! Uczyniła ze mnie seryjnego mordercę, degenerata i sadystę. Nekrofila, gwałciiciela, potwora w ludzkiej skórze. Szaleńca i psychopatę. Manipulatora, uwodziciela i geniusza zła. To ostatnie określenie nawet mi się podoba, ale nie aspirowałem do niego.

Opowiem wam swoją historię. Krok po kroku, bez zbędnych fajerwerków i nieprzewidzianych zwrotów akcji. Nie potrzebuję niczego komplikować. Choć wczesne dzieciństwo pamiętam jak przez mgłę, późniejsze wspomnienia są już bardzo, ale to bardzo wyraźne. Potrafię zanurzyć się w nie niczym w sen i przeżywać wszystko na nowo. Zupełnie jakbym po raz kolejny przeżywał to wszystko, co już się wydarzyło. Zaręczam, że nigdy nie czytaliście o nikim podobnym do mnie. Niczyja historia nie była tak ponura, a zarazem zabawna. Tak nędzna, a zarazem inspirująca. To moja historia.

Karty na stół. Odkryję przed wami całą prawdę. Boicie się?

TED BUNDY

5.

Zacznijmy od tego, że wcale nie nazywam się Bundy. Dokumenty mówią, że przyszedłem na świat jako Theodore Robert Cowell. To ważne wydarzenie. Czasem nie doceniamy roli urodzin, ale spójrzmy na to z pewnej perspektywy. Ile rzeczy mogłoby się wydarzyć, a ani ja, ani wy nigdy byśmy nie powstałi. Dajmy spokój temu legendarnemu zbiegowi okoliczności, że to właśnie ten, a nie inny plemnik zapładnia komórkę jajową. Nie w tym rzecz.

Rzecz również nie w tym, że do zapłodnienia potrzeba dwóch osób, które spotkają się i trafią do łóżka albo gdziekolwiek indziej, gdzie będzie im wygodnie pobaraszkować. To przerost formy nad treścią. Zdarzają się przecież dzieci z gwałtów dokonanych w brudnym zaułku wprost na ulicy. W śmietniku, krzakach albo nawet na cmentarzu.

Jak wiele może wydarzyć się później? Alkohol i narkotyki działają jeszcze skuteczniej jako środki depopulacji niż tabletki antykoncepcyjne. Nie zdajecie sobie sprawy, jak wiele matek odurzonych zanieczyszczonym crackiem albo pijanych w sztok roni kilkutygodniowe płody w swoich norach, squatach albo w innych kątach, czasem dokładnie tych samych, w których zostały zapłodnione. A nawet w których same się urodziły.

Nie myślście o tych kobietach ani nienarodzonych dzieciach, bo to wyjątkowo nieprzyjemne tematy. Społeczeństwo się nimi brzydzi. W swoich pięknych domach, posprzątanym mieszkaniach i pachnących samochodach nie chcecie myśleć o brudzie. Sięgacie po książki takie jak ta, bo spodziewacie się przyspieszonego bicia serca przy opisach popełnianych zbrodni albo wymierzonej kary. To nie one są najważniejsze i nie one spowodują prawdziwy dyskomfort.

Powiedziałem, że zagramy w otwarte karty, więc proszę bardzo. Zajrzyście w pokręcony umysł największego zbrodniarza, jaki chodził po

tej cholernej ziemi. A ja już od najmłodszych lat wiele dumałem o śmierci i o umieraniu. Naprawdę wiele... Nawet o dzieciach myślę z perspektywy śmierci.

Więc kiedy już odrzucimy te wszystkie przypadki poronień po narkotykach i innym świństwie, spójrzmy na kobietę ciężarną jako na żonę lub kochankę. Jej brzuch rośnie z dnia na dzień, czuć w nim już ruchy dziecka, czasem nawet widać naprężenia skóry. Cud przyszłego rodzicielstwa. Obrazek uwieczniany na setkach zdjęć oraz filmów. Wspomnienie, którego żadna matka nie chce zapomnieć.

Zmieńmy również scenerię. Zapomnijmy o ruderze albo cuchnącym namiocie wyłożonym kartonami. Przenieśmy się do porządnego domu z garażem i podjazdem na dwa auta. Takiego domu, przed którym rozciąga się równy zielony trawnik, a w skrzynce na listy jest prenumerata kilku kolorowych czasopism. Dodajmy do tego drzewo, bo drzewa zawsze kojarzą się z uczciwą rodziną. Wiatr rozwiewa jego opadłe liście po idealnym kamiennym chodniczku.

Ktoś stanął w progu i przez kilka sekund spokojnie czeka. Na co? Może potrzebuje chwili, aby zebrać myśli. Tym razem to nie kobieta piła wódkę i nie ona łyknęła żółtą tabletkę zakupioną u dilerza za pół dolara. To jej mąż albo kochanek wraca do domu. Ostatnia próba oprzytomnienia kończy się niepowodzeniem. Mężczyzna naciska dzwonek, jakby był kimś obcym. Nie wie, dlaczego to robi, choć może chodzi o ten uspokajający odgłos. Ding-dong. „Hej, witaj w domu, kochanie!” Te słowa jednak nie padają.

Kobieta spogląda na męża lub kochanka i złość wykrzywia jej twarz. Jest w cholernej ciąży, spodziewa się dziecka, a jej facet znów się upodlił. Owszem, zarabia całkiem nieźle, stać ich na to wszystko, o czym już przeczytaliście, lecz chodzi o dojrzałość. O odpowiedzialność za swoje czyny oraz decyzje.

Wtedy następuje kolejna z setek kłótni. Od słowa do słowa, od bełkotu do bełkotu i mężczyzna rzuca o ścianę skórzaną teczką z dokumentami. Dyszy, a żyły na jego skroniach nabrzmiewają.

Przypominają rury, którymi tłoczone są rozgrzane kamienie. Tego dnia facet kupił od dilera coś całkiem nowego, dającego przyjemny, ale niezbyt długi odlot. Jednak specyfik działa pobudzająco i nakręca agresję.

Mężczyzna zachowuje się zupełnie inaczej niż zwykle i na krzyk kobiety reaguje potokiem siarczystych bluzg. Odwraca się, chwyta żonę albo kochankę za nadgarstki i popycha ją na ścianę. Ciężarna płacze. Znosi się spazmatycznym szlochem, co jeszcze bardziej nakręca amatora lekkich narkotyków. Uderza tylko raz, ale za to celnie. Trafia prosto w okrągły, wydatny brzuch z wystającym pępkiem, w który wsłuchiwał się jeszcze poprzedniego wieczora. Akcja wywołuje reakcję, cios powoduje skurcze, w nieprzygotowanym do porodu organizmie dochodzi do krwotoku, dziecko zamiast przyjść na świat, dosłownie topi się w brzuchu matki. Topi się w wodach płodowych oraz we krwi.

Mówiłem, że będziecie czuli dyskomfort. Ale to tylko kolejny ze scenariuszy, który mógł uniemożliwić moje przyjście na świat. Powinien się wam podobać. W akcie urodzenia mój ojciec figuruje pod nazwiskiem Lloyda Marshalla – żołnierza Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Czasem wyobrażam go sobie jako niewydarzonego oferme wyrzuconego z wojska, który musi ćpać, aby pozbierać się do kupy.

Snuję też rozmaite fantazje. Kobiety ciężarne bywają pociągające, wiem coś o tym. Jeżeli sama nie zamorduje swojego dziecka ani nie zrobi tego jej partner, może pojawić się jeszcze ktoś z zewnątrz. Ktoś, kto zechce zawlec ją do piwnicy i zgwałciwszy, rozpruć jej brzuch. Wiecie przecież, że Kuba Rozpruwacz to nie tylko legenda.

W każdym razie mojej matki nie spotkało nic z tych rzeczy. Mówiłem, że nie doceniamy roli urodzeń. Pewnym jest, że cud przyjścia na świat dokonał się w domu samotnych matek w Burlington w stanie Vermont. Stało się to 24 listopada 1946 roku. Taki był początek.

6.

Pierwsze lata życia oczywiście skrywają mi się za przesłaną niepamięć oraz domysłów, ale to szybko się zmienia. Umysł klaruje się, a wspomnienia stają się ostre. Powracają nie tylko obrazy, lecz również zapachy i smaki.

Mam cztery, może pięć lat. Spoglądam w oczy uroczej blondynki, która szeroko się do mnie uśmiecha. Wyciąga do mnie dłoń i gładzi mnie po policzku. To moja siostra.

– Louise! – krzyczę wesoło. – Louise!

Blondynka ucieka przede mną dokoła stołu, ale robi to tak, abym mógł ją złapać za skraj sukienki. Śmieje się na głos. Odskakuje i chowa się za krzesłem.

– No, dalej, Ted! Szybko, szybko!

Jej policzki są zaczerwienione, a oczy błyszczą. Kiedy ponownie chwytam ją za sukienkę, już nie ucieka. Zatrzymuje się, kuca i bierze mnie na ręce. Unosi, po czym zatacza koło. Wirujemy. Ja mam cztery lub pięć, ona ponad dwadzieścia lat.

– Tata! – Wyciągam rączkę ku drzwiom.

W progu stoi szpakowaty mężczyzna z wysokim czołem, dość wydatnym nosem i mięsistymi wargami. Ubrany jest w wykrochmaloną białą koszulę, szarą kamizelkę i ciemne spodnie.

– Przestańcie się wygłupiać – rzuca oschle. – Zaraz któreś się potknie i będzie nieszczęście. Dawno stłukliście wazon? Do tej pory mam wrażenie, że pieprzone szkło brzęczy mi pod stopami.

Rzuca mojej siostrze ostre spojrzenie i zerka na zegarek.

– Eleanor! – krzyczy na cały głos, przyzywając moją mamę. – Kiedy obiad? Już najwyższy czas.

Kobięcy głos dobiega z kuchni.

– Jezus Maria, Samuel, uspokój się. Mam tu mały pożar.

– I nie pomagacie matce? Ja czekam na obiad, ona ma pożary, a wy się bawicie?

Słowa są skierowane do mnie oraz do Louise. Siostra opuszcza mnie i ostrożnie stawia na podłodze. Bagatelizując surowy ton ojca, dłonią wicherzy mi włosy.

– Chodź ze mną. Zobaczymy, jak wygląda sytuacja w kuchni.

Bez słowa idę za nią. Mijając ojca, odruchowo zwieszam głowę. Robię wszystko, aby nie zwrócił na mnie uwagi. Przechodzimy wąskim korytarzem prosto do kuchni. Z daleka czuję swąd przypalonego mięsa oraz czegoś jeszcze. Nie widzę jednak mamy.

Nagle Louise rzuca się biegiem przed siebie. Nie nadażam za nią i zloszczę się, że nie pozwala mi chwycić skraju swojej sukienki. To nasza zwykła zabawa. Teraz jednak nie zwraca na mnie żadnej uwagi. Wpada do kuchni i kuca.

Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że na podłodze leży nasza mama.

7.

2 WRZEŚNIA 1974 R.

O matce myślę rzadko. Minęło niemal ćwierć wieku od tamtych wydarzeń. Przed oczami staje mi jej twarz. Na dawnych fotografiach prezentowała się znacznie lepiej, ale wtedy już mocno się zapuściła. Straciła swój urok. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Urok natomiast ma dwudziestokilkuletnia blondynka, która nachyla się przy drzwiach mojego auta. Zatrzymuje się w pół ruchu i uważnie się mi przygląda. Stała przy bocznej trasie stanowej w Idaho, wymachując do przejeżdżających kierowców.

– Skończyła mi się benzyna... – rzuca żałośnie. – Ma pan kanister?
Kręcę głową. Robię smutną minę i wzdycham.

- Niestety. Nic na to nie poradzę, sam ciągnę jedynie na oparach.
- Mój Boże. Co ja zrobię...
- Przykro mi.

Udaje, że chce jechać dalej. Chwytam kierownicę, ale dziewczyna zaciska usta. W oczach ma łzy.

- Niech pani wsiada. - Z aktorską rezygnacją ruchem głowy zapraszam ją do środka. - Pojedziemy na stację, a potem podwiozę tu panią z kanistrem. Trudno. Aż tak mi się nie śpieszy.

- Naprawdę? - pyta dziewczyna z niedowierzaniem. - Zrobi to pan dla mnie?

- Tylko jeżeli pani wsiądzie i wreszcie ruszymy z miejsca. Nie śpieszy mi się, ale niestety nie mam też całego wieczoru. Choć chciałbym mieć...

Dziewczyna rezerolucnie wsiada do auta i zamyka drzwi. Ma ciemne blond włosy, przedziałek na środku i nieco wystający podbródek. Jest ładna. Nawet bardzo ładna, choć mogłaby zrzucić kilka kilogramów.

- Ted... - przedstawiam się, wyjeżdżając na drogę.
- Barbara.

Uśmiechamy się do siebie, a ja dodaję gazu. Przez kilka minut rozmawiamy o tym, jak doszło do tego, że skończyła się jej benzyna. Trzpiocze, śmieje się niskim głosikiem i raz po raz nazywa się „tępą wariatką”.

- Zdaje się, że stacja jest przy tej drodze. - Skręcam w podrzędna szutrówkę prowadzącą nad mostkiem i między nieużytkami. - O tutaj, widzisz? Co za piękna stacja benzynowa!

Barbara odwraca się i jestem przekonany, że do tej pory potrafię odtworzyć jej wyraz twarzy. Mruży oczy, a jej brwi zbiegają się niemal w jedną linię.

- Gdzie? - dopytuje zdumiona. - Nie widzę żadnej stacji...
- O tam, tam...

Zatrzymuję samochód. Jedną dłoń przykładam niemal do szyby po jej stronie, jakbym wskazywał jakiś odległy punkt. Drugą błyskawicznie chwytam ją za kark. Z całej siły uderzam jej głową o boczny słupek auta. Słyszę chrupnięcie chrząstki nosa. Dziewczyna wciąga powietrze wraz z krwią i zaczyna charczeć. Nadal jest przytomna.

Uderzam ją raz jeszcze. Tym razem chyba pęka jej oczodół. Krew zabryzguje szybę i przez głowę przechodzi mi gniewna myśl, że będę musiał to wszystko posprzątać. Pobudzony wypadam z auta i obiegam je dokoła. Otwieram drzwi po stronie pasażera, chwytam bezwładne ciało kobiety, po czym ciągnę je ku pobliskim krzakom. Ożywa we mnie dziki popęd. Nie potrafię się powstrzymać.

8.

Prawie przez całą noc sprzątałem auto. Na tapicerce oraz szybie były ślady krwi, których pozbycie okazało się trudniejsze, niż sądziłem. Mam w tym spore doświadczenie, ale zazwyczaj staram się działać nieco rozsądniej. W końcu chodzi o moją wygodę. Jednak tym razem poniosła mnie okazja. Bywa.

Bębniąc palcami w kierownicę, wracam na miejsce, gdzie wyrzuciłem z samochodu blondynkę.

Barbara.

Jej imię wybrzmiewa mi w głowie. Ponownie nasuwa się wspomnienie matki upadającej w kuchni. Może sama również kiedyś miałaby dzieci? A może je ma? Nie zdążyliśmy o tym porozmawiać.

Zatrzymuję samochód i bacznie rozglądam się po okolicy. Nigdzie nie widzę ani policji, ani żadnych ciekawskich. To dobrze.

To bardzo dobrze.

Wczoraj bałem się, że ktoś mnie nakryje. Wolałbym nie zostać przyłapanym na gorącym uczynku z ptaszkiem w dogorywającej

dziewczyźnie. Załatwiłem wszystko tak szybko, jak mogłem, i ją zostawiłem.

No dobrze. Wcześniej ją udusiłem. Była nieprzytomna, więc nie stawiała oporu, a z jej ust dobyło się jedynie ciche cmoknięcie, jakby pękł maleńki balonik. Po brodzie pociekła strużka śliny zmieszanej z krwią. Nic więcej.

Jej ciało odnajduję dokładnie tam, gdzie je zostawiłem. Bałem się, że dzikie zwierzęta już się nią zdażyły zająć.

Za niespełna pół godziny zacznie świtać. Muszę się śpieszyć. Mam ze sobą latarkę, którą oświetlam jej sinozielonkawą twarz. Drugą ręką wyciągam z kieszeni polaroida, którym robię jej zdjęcie. W mroku zawsze wychodzą słabe, ale to dobra pamiątka.

Następnie poprawiam ciało. Ściągam spodnie, które wiszą na jej kostkach i rozkładam jej nogi. Wykonuję kolejne dwie fotografie. Zerkam na jej biust, ale ten mi się nie podoba. Obnażyłem go, zerwałem z niego biustonosz, lecz piersi są bezkształtne, a sutki nieproporcjonalnie wielkie.

Chrzanić to. Przekładam latarkę do ust.

Chowam aparat do kieszeni i zdejmuję plecak. Mam w nim schowaną długą, ząbkowaną piłę. Chwytam ją i przykładam ostrze do szyi blondynki. Zaczynam piłować, jakbym obrabiał kurczaka. Przecinam jej tchawicę, aż wreszcie ostrze chrobocze o kręgosłup. Klękam na piersi dziewczyny i odginam jej niemal odciętą głowę do tyłu. Piła zaplątuje się w pukiel jej włosów. Przeszkadza mi również obwisły płat skóry karku.

– Kurwa – syczę. – Niech to...

Poprawiam uchwyt, po czym energicznie tnę dalej. Wreszcie głowa oddziela się od korpusu. Zmieniam pozycję i unoszę rękę trupa. Zaczynam piłować pod pachą. Aby sobie ułatwić zadanie, układam pozbawione głowy zwłoki na boku. O dziwo ze stawem barkowym idzie mi gorzej niż z karkiem. Muszę się sporo namęczyć, aby odkroić rękę za pomocą tej piły. To badziew, który powinienem zastąpić czymś innym.

Już od dawna myślałem o tasaku albo pile mechanicznej. Muszę jednak zachowywać się cicho.

Pracuję przez dwadzieścia, może trzydzieści minut. Gdy słońce pojawia się na horyzoncie, przede mną leżą korpus, oddzielnie nogi oraz ręce blondynki i jej głowa. Teraz muszę to wszystko przenieść do nieodległej rzeki. To będzie jej grób³.

9.

Mama miała wylew, albo coś. Nigdy się nie dopytywałem. W każdym razie trafiła na długi do łóżka, choć raz na jakiś czas wstawała i udawało się jej kuśtykać po domu. Nie wyszła już na dłużej poza jego próg. Zdaje mi się, że ojciec kilkakrotnie powiedział, że to sprawka depresji, melancholii czy jakoś tak. Leczą ją ponoć elektrowstrząsami, i to w domu, tuż za ścianą mojego pokoju. Słuchałem, jak telepie się na łóżku, jak jej zęby trzaskają, wbijając się w owiązany materiałem drewniany knebel, i jak bije nogami o zaszcpany materac. Potem następowała cisza. Po takich sesjach zdarzało się, że nie widziałem mamy przez dwa lub trzy dni.

Wraz z siostrą byłem zdany na niepodzielną władzę ojca. A musicie wiedzieć, że Samuel Cowell nie należał do miłych osób. Pamiętacie tego mężczyznę, który wchodzi do domu na haju i tłucze ciężarną żonę, aż ta roni? Z łatwością potrafię nadać mu twarz ojca.

Ach, nie wyjaśniłem pewnej kwestii. Zapewne pogubiliście się w moich sprawach rodzinnych. Przecież napisałem, że moim ojcem był weteran sił powietrznych, Lloyd Marshall, ale to nie jest takie proste. Z czasem wszystko zrozumiecie, pozwólcie mi to wyjaśnić krok po kroku. Dokładnie tak, jak poznawał moją historię sąd. Przecież wy również już zaczęliście mnie osądzać, prawda? No, śmiało, przyznajcie się, że robicie to od samego początku.

– Tato, zobacz, kotek!

Doskonale pamiętam ten moment. Mama leży na górze i jest z nią moja siostra. Tymczasem ja wraz z ojcem zostaliśmy w kuchni. Tata chyba przyrządza sobie kanapkę i co chwilę popija piwo. Ja... Co do roboty ma czteroletni chłopiec? Siedzę na wysokim krześle i gapię się przez okno na przejeżdżające auta. Przed chwilą moją uwagę zwrócił łaciaty kot, który wszedł na nasze podwórko.

- Kotek? - Ojciec odstawia butelkę i wygląda na dwór. - Gdzie?

- Tam! - Wyciągam dłoń. - Widzisz? Może go przygarniemy?

- Czemu nie. Chodź.

Ojciec szybkim krokiem przemierza hall i wypada na dwór. Zachowuje się zaskakująco cicho. Tak cicho, że kot, który grzebie w naszych śmieciach, nie zwraca na niego uwagi.

- Pieprzony drań! - Ojciec chwyta go za kark. Kot szarpie się i wierzga, lecz on nie zwraca na to uwagi. - To ty porzuciłeś mi wszystko po trawniku?! Cholerne cuchnące stworzenie!

- Tato!

Ojciec obrzuca mnie drwiącym wzrokiem i odpycha. Potykam się o własne nogi, ale nie upadam. Zaczynam płakać. Pamiętam, że łyż cisną mi się do oczu i ściekają do gardła. Dławię się.

- Chciałbyś przygarnąć takiego śmieciarza? Cuchnącego śmierdziela?

Ojciec chwyta kota za ogon i zaczyna nim kręcić. Zwierzę przeraźliwie miauczy. Wydaje się, jakby jego futro miało zaraz się rozerwać. Słyszę trzask pękających kości i wtedy kot wypada z dłoni mojego ojca. Uderza o śmietnik. Otumaniony, z zakrwawionym pyskiem oraz zdeformowanym ogonem ucieka. Kuśtyka, a mój ojciec dyszy z wściekłości.

- Już tu nie wróci - syczy. - Zapamięta sobie to miejsce.

Nad nami trzaska okno. Podnoszę głowę i widzę cień mojej siostry przesuwaną się za szybą sypialni mamy. Musiała przypatrywać się całej scenie. Ojciec nie zwraca na nią uwagi.

– Przez niego wygazuje mi się piwo. – Klnie pod nosem, po czym wraca do domu. – Idziesz ze mną czy chcesz dziś spać na dworze?

10.

– Wstawaj, idziemy. Ted, do diabła! Obudź się!

Otwieram oczy i mrugam. Nie wiem, gdzie się znajduję. Dopiero po chwili dociera do mnie, że jestem w swoim łóżku w Roxborough, Filadelfia, Pensylwania. W tej kolejności uczono mnie adresu, na wypadek gdybym się zgubił.

– Wstawaj...

W świetle księżycy dostrzegam twarz siostry. Louise delikatnie potrząsa mnie za ramię.

– Idziemy. Ubieraj się.

– Co? Gdzie mamy iść? Co się dzieje?!

– Tsss...

Moja siostra przykłada palec do ust i przez chwilę nasłuchuje. Z domu nie dobiegają żadne dźwięki. Rodzice śpią. Gdzieś w oddali, chyba u Johnsonów, szczeka pies. Potrafi tak drzeć się całymi nocami, co wścieka ojca.

– Dokąd mamy iść? – dopytuję.

Louise odeszła od mojego łóżka i stoi przy szafie. Pośpiesznie w niej przebiera, raz po raz odsuwając się tak, by cokolwiek widzieć. Wreszcie rzuca na moje łóżko parę ubrań. Kilka kolejnych upycha do worka albo plecaka, nie widzę zbyt dobrze. Nagle odwraca się i wpada na stolik.

– Boże... – krzyczy, szepcząc.

Krzyk szeptem, to się wydaje niemożliwe, ale każdy z was dobrze wie, o co mi chodzi. Z łatwością można go sobie wyobrazić. Tak krzyczy wiele kobiet.

– Boże! – powtarza ponownie.

Szklany wazon tańczy na drewnianym blacie i o mały włos nie spada. W ostatniej chwili Louise udaje się go złapać.

– Chodź, idziemy. – Szarpie mnie za rękę i narzuca na ramiona jakąś kurtkę. – Szybko. I nie odzywaj się ani słowem.

Jestem zaszpany i nie rozumiem, co się dzieje. Moja siostra sprowadza mnie po schodach, trzymając za rękę. Skołowany milczę. Staram się nawet nie oddychać. Chwilę później znajdujemy się na dworze. Chłodny nocny wiatr sprawia, że drzę z zimna.

Pies Johnsonów szczeka jeszcze głośniejszy. Chyba nas zwietrzył albo usłyszał – zdawałoby się – bezgłośny ruch drzwi. Louise zatrzymuje się i kuca tuż przy mnie. Poprawia moją bluzę, po czym delikatnie ścisną za ręce.

– Uciekamy stąd – szepcze. – Zorganizujemy sobie nowe, znacznie lepsze życie. Ufasz mi?

Nie odpowiadam. Nie mam bladego pojęcia, co mógłbym powiedzieć. Dokąd mielibyśmy uciekać i dlaczego? Tata bywa wybuchowy, ale jest przecież dla mnie wzorem. Obiecał niedługo pokazać mi obsługę strzelby. Nie mogę się tego doczekać.

– Nie, Louise! Ja nie chcę!

Usiłuję krzyknąć, lecz moja siostra zatyka mi usta. Prowadzi mnie do zaparkowanego na poboczu auta.

– Nie bój się – szepcze. – Tak trzeba⁴.

11.

Nie wiecie, co jest prawdą. Nikt się nie dowie. Jeśli zaczęliście mi współczuć, możecie przestać. Powiedziałem, że będę grał z wami w otwarte karty, ale nie powiedziałem, że nie ubarwię wspomnień. W końcu wszyscy idealizujemy swoje dzieciństwo lub miłe chwile. Dlaczego ja nie miałbym zrobić tego samego? Czyż w moim przypadku

idealizacja nie polega na tym, że odnajdę w nim mechanizmy, przez które stałem się tym, kim się stałem?

Dajcie spokój. To nie ja poszukuję odpowiedzi na te pytania. Nigdy nie zamierzałem dokonać autoanalizy. To prowadziłoby jedynie do szaleństwa. Badało mnie paru psychiatrów, psychologów i Bóg jeden wie jakich specjalistów. Wszystkim zależało na tym samym. Chcieli zrozumieć. Jak powstaje zło albo szatan? W ten sposób pytanie formułowali ci, którzy byli religijni. Ateiści natomiast roztrząsali sposób powstania seryjnego mordercy. Jeszcze inni, posługujący się socjologicznym nurtem analizy, zastanawiali się, jak społeczeństwo ukształtowało wynaturzenie samego siebie. Nowotwór, który pochłaniał zdrową tkankę. Byłem w ich rękach narzędziem do przeprowadzenia eksperymentów, ale do tego jeszcze wrócimy. Poza zrozumieniem chcieli na mnie zarobić oraz tak jak ja, przejść do historii. Nie sądzę, żeby im się to udało.

W trakcie badań oraz rozpraw wspominałem o Samuelu Cowellu jako o tyranie, w którego byłem zapatrzony niczym w święty obrazek. Bez problemu jednak traficie na relacje członków mojej rodziny oraz znajomych, którzy utrzymywali, że ten despota był idealnym człowiekiem. Wiecie, tym przysłowiowym sąsiadem, który w razie potrzeby zdejmie waszego kota z dachu albo z drzewa, skosi trawnik lub nareperuje auto. Taka była ich perspektywa. Każdy ma do niej prawo. Wiedźcie jednak, że moje najgorsze wypowiedzi o Samuelu Cowellu również znalazły potwierdzenie w słowach paru osób, które go znały. Ale to i tak nie wszystko... Kiedy jest się sądem i ma się cały materiał dowodowy, czasem można dostać schizofrenii.

Kilkoro moich kuzynów stanowczo zaprzeczało, że matka miała depresję albo inne problemy psychiczne. Przebąkiwali, że owszem, dostała udaru albo że była tak gruba, że nie mogła zmieścić się w drzwiach, by wyjść na dwór. Nie wiem, która wersja brzmi bardziej żałośnie.

Co by nie było, w 1950 roku moja siostra Louise (jej pierwsze imię brzmiało Eleanor, ale go nie cierpiała i używała tylko w sytuacjach urzędowych) faktycznie prysnęła z domu. Zabrała mnie ze sobą, co miało odmienić całe moje życie. Nie sądzicie chyba, że pryska się z domów, gdzie wszystko jest w idealnym porządku? Oj, nie.

Ale bądźcie cierpliwi. Niebawem odkryję przed wami pewien rodzinny sekret, przez który żółć podejdzie wam do gardła. I to sekret, na który nie można spojrzeć z paru perspektyw. Jednoznaczny i boleśnie prawdziwy. Sekret, jaki ma niewiele rodzin i który najchętniej zamyka się w sejfie zapomnienia. Zdziwicie się.

12.

Są osoby, które mój wyjazd z Filadelfii opisywały nieco mniej dramatycznie niż ja, ale przecież przede wszystkim liczą się konsekwencje.

Zachowywaliśmy się, jakbyśmy uciekali przed najmocniejszym huraganem w historii. Pokonaliśmy prawie trzy tysiące mil w linii prostej, czyli niewiele mniej niż to w ogóle możliwe bez opuszczania terytorium Stanów Zjednoczonych, i zamieszkaliśmy w Tacomie w stanie Waszyngton.

Pod dach przyjęli nas kuzyni – Jane oraz Alan. Louise zajęła się różnymi pracami dorywczymi, a ja zostałem sam. To znaczy niby zawsze ktoś się mną miał zajmować, ale w rzeczywistości mogłem robić, co tylko chciałem. Nie miałem tam ani przyjaciół, ani choćby kolegów. Tęskniłem za tatą. Tęskniłem za naszym domem.

Samotne dzieci szybko znajdują sobie zajęcie. Mimo że byłem małym gówniarzem, podkradałem zapalki i obserwowałem, jak płoną stosy pomiętych kartek. Buszowałem po śmietnikach, by zdobyć materiał na swoje ogniska. Doskonale pamiętam jeden z takich dni...

Pamiętam, jak idę jedną z przecznic w stronę górującej nad miastem Mount Rainier. Ta ogromna góra zawsze mnie fascynowała. Wydawało się, że wznosi się zupełnie w oderwaniu od całej okolicy. Poza tym Alan straszy mnie, że jest wulkanem, który w każdej chwili może eksplodować i zalać lawą miasto. Być może... A może to tylko bajki?

Co rusz zerkam na nią, jakby wybuch miał nadejść właśnie teraz. Wracam do domu. Serce mi łomocze, a nogi się płaczą. Nie. To nie chodzi o górę ani o wulkan, ale o moje dłonie.

Papier, który wyjąłem ze śmietnika pana Collinsa, był czymś nasączony. Kiedy przyłożyłem do niego zapalną, buchnął ogniem, jakbym podpalił cały skład drewna.

Moje dłonie...

Co chwilę je unoszę i obracam. Bardzo mnie pieką. Są czerwone od poparzeń i mają kilka białych bąbli. Ból promieniuje aż do łokci, ale nie płaczę. Tata zawsze mówił, że płaczą tylko bekisy. Prawdziwy mężczyzna musi wytrzymać ból, a przede wszystkim wypić piwo, którego nawarzył.

Jeżeli go dobrze rozumiem, tamten ogień i poparzone dłonie to właśnie moje piwo. Pierwsze w życiu.

Martwię się jednak, że Louise mnie skrzyczy. Otwieram drzwi naszego domu i nieśmiało wkradam się do środka. Staram się być niewidzialny. Tyle że... Tyle że potrzebuję jej przytulenia. Wtedy zawsze robi mi się lepiej. Jestem pewny, że zna jakiś sposób, aby tak nie bolało. Musi go znać!

Dostrzegam zarys jej sylwetki w kuchni. Z kimś rozmawia. Zatrzymuję się i zerkam na wysokiego, gładko ogolonego mężczyznę. On również wychwytuje mój wzrok. Odwraca się i szeroko się uśmiecha. Moja siostra zdaje sobie sprawę z mojej obecności dopiero po chwili.

- Ach, to ty!

Nawet nie zauważa moich poparzonych dłoni. Podchodzi do mnie, kładzie mi jedną dłoń na ramieniu, a drugą wskazuje na towarzysza.

– Poznaj pana Johnny’ego Bundy’ego – oznajmia słodkim tonem. –
Być może będzie tu mieszkał. Na pewno się polubicie.

13.

Louise wzięła ślub z panem Bundym. Miałem wtedy sześć lat i niewiele rozumiałem z całego zamieszania. Na ceremonii pojawił się tata, który chyba już nie czuł złości do mojej siostry. Sam nie wiem. Ich relacje są zagmatwane jak węzeł. Nie potrafię z tego nic pojąć, tym bardziej że Johnny powiedział, że do niego również mogę się zwracać jak do ojca.

„Tato?” – myślę, spoglądając na jego łagodną, podłużną twarz.

Nie, to mi nie pasuje. Jak mógłbym nazywać go ojcem? Poza tym jest w nim coś, co mnie odpycha. Jakaś dziwna flegmatyczność, powolność ruchów, czasem nawet niezdarność. Ma stanowczo za mało pieniędzy i ludzie go nie szanują. Nie chcę takiego taty.

Zapytałem go, czy pokaże mi, jak się strzela z dubeltówki, a on powiedział, że wybierzemy się do wesołego miasteczka. Boże! Nie jestem aż tak tępym dzieckiem. Nie o takiej dubeltówce mówił mój prawdziwy tata.

Zacząłem zwracać się do Johnny’ego w formie bezosobowej. Tak, bym nie musiał używać żadnego określenia, i przyznam, że stałem się w tym mistrzem. Na przykład zamiast krzyknąć „tato”, wołam: „Chodźcie! Zobaczcie!”. Albo po prostu robię wiele hałasu.

Louise niemal co roku zachodziła w ciążę. To jest oczywiście następny problem. Kolejne dzieci miałem traktować jako rodzeństwo, lecz dobrze wiem, że powinno to wyglądać inaczej. W końcu jestem ich wujkiem, tak?

Moje włóczki po okolicy trwają coraz dłużej. Snuję się wśród śmietników, szukając dobrego materiału do podpalenia. Prawdę mówiąc, ogniska już mnie znudziły i cieszę się, że oparzenie sprzed lat nie zostawiło śladu.

Hmmm. Coś zwraca moją uwagę. Na samym wierzchu sterty śmieci leży czasopismo z nagą kobietą na okładce. Rozglądam się jak złodziej, lecz nikt mnie nie widzi. Wyciągam je i szybko chowam pod kurtkę. Po raz pierwszy czuję dziwne uderzenie w klatkę piersiową. Coś się ze mną dzieje. Coś przyjemnego i zarazem ekscytującego. Drżę.

Wystarczyło zerknięcie na piersi tej kobiety i świadomość, że jest naga. Nie mogę się doczekać, aż w spokoju przyjrzę się temu zdjęciu. Pędzę ile sił w nogach do mojej samotni na tyłach opuszczonego składu metalu. Kiedyś podpalałem tam ogniska, a przez ostatnie lata głównie grałem w puszki albo kapsle. Oczywiście sam ze sobą. Moja własna wyobraźnia starczała za najlepszych przeciwników.

Przechodzę między dwoma rozchylonymi prętami i wkraczam na wybetonowany plac. Tu i ówdzie poniewierają się rozmaite metalowe przedmioty, a cała sterta rdzewiejącego żelastwa wznosi się pod ceglana ścianą podłużnego budynku. To za nią chowam się przed ruchem ulicy. Nikt nie mógłby mnie tu znaleźć. Brama składu jest zamknięta na potężną kłódkę, a pomiędzy prętami mógłby przejść tylko ktoś równie szczupły jak ja. Nie znam chyba nikogo takiego.

Omijam górę ułożoną z drzwi samochodowych i kieruję się ku głównemu budynkowi. Wreszcie siadam na metalowym stolku, który jest moim tutejszym tronem. Wyciągam zza kurtki gazetę. Serce bije mi jak oszałałe.

Wpatruję się w blondynkę ze zdjęcia. Przez chwilę skupiam uwagę na jej twarzy i lekko rozchylonych wargach, wreszcie kieruję wzrok niżej...

14.

19 PAŹDZIERNIKA 1974 R.

– Pięknie wyglądasz. Musimy jeszcze minimalnie popracować nad twoim makijażem, ale jesteś naprawdę piękna. Wiesz o tym, prawda?

- Mmm...

Z ust Melissy wydobywa się jęk. Ma w nie włożony knebel z grubej pończochy. Płacze. A mimo to naprawdę wygląda pięknie. Powiedziała mi, że ma siedemnaście lat i znajomi na pewno nadal na nią czekają w pizzerii. Nie sądzę. Kiedy porwałem ją sprzed wejścia do budynku, zadałem jej cios w potylicę. Straciła przytomność prawie na dwanaście godzin.

- Nie bój się - szepczę. - Nie powinnaś płakać. To nic nie zmieni.

Jesteśmy w niewielkim górskim domku w pobliżu Salt Lake City. Natknąłem się na niego przez przypadek i postanowiłem wykorzystać jako kryjówkę. Ot, cudowny przypadek. Zapewne w sezonie wykorzystywany jest jako schronisko, ale nie trafiłem na jakiegokolwiek ślady czyjejś obecności w ostatnich latach. Przyznam, że nie szukałem ich nazbyt starannie.

- Melisso... - zwracam się do niej po imieniu. - Wszystko przygotowałem. Zobacz.

Pokazuję jej wiadro z ciepłą wodą, którą podgrzałem na niewielkim ognisku, oraz butelkę szamponu.

- Teraz odchyl głowę. No, już!

Dziewczyna dalej płacze. Nie reaguje na moją komendę, a ja nie zamierzam się z nią cackać. Chlustom wodą prosto w jej twarz. Mimo że w chacie jest chłodno, zdarłem z niej koszulę. Teraz strużki wody ściekają prosto na jej sterczące sutki. Dziewczyna jest przywiązana do krzesła, a mimo to odruchowo stara się zasłaniać. Podnieca mnie to.

- Musimy umyć ci włosy - mówię ponownie łagodnym tonem. - Poczujesz się bardziej komfortowo.

Podchodzę do niej i wylewam na jej włosy szampon. Zaczynam go rozprowadzać, wdychając przyjemny zapach. Głęboko wciągam powietrze. Nachylam się tuż nad karkiem Melissy. Szampon nie pieni się tak mocno, jak bym chciał. Woda była nieco zbyt chłodna.

- I co? Nie jest ci przyjemniej?

Dziewczyna nie odpowiada. Z jej nosa ponownie wydobywa się pisk. Przynajmniej nie walczy. Wolę uniknąć ochłapania i przemoczenia swojego ubrania, bo posiadam tu tylko jeden komplet.

- Rozluźnij się. Pomyśl o czymś przyjemnym. Przecież na pewno lubisz się pielęgnować, prawda? Jesteś taką zadbaną dziewczyną. To właśnie dlatego zwróciłem na ciebie uwagę... Musimy teraz splukać ten szampon, zamknij, proszę, oczy.

Ponownie sięgam po wiadro i od razu wylewam jego zawartość na dziewczynę. Przypominam sobie, że mówiła coś o tym, że jest córką szefa miejscowej policji. Ciekawe, czy to prawda. Właściwie nie robi mi to żadnej różnicy, ale fakt wydaje się interesujący. Porwanym dziewczynom do głowy przychodzą rozmaite pomysły. Kiedy wam o nich opowiem, to nie uwierzycie. Będziecie się śmiali, naprawdę!

- No i jak? - pytam. - Teraz zrobimy makijaż, dobrze? Tak, wiem, ja też nie mogę się tego doczekać.

15.

Nie potrafię posługiwać się kredką do oczu. Podobają mi się kobiety, które zgodnie z modą sprzed paru lat malują się niczym Kleopatra. A raczej niczym Elizabeth Taylor, która swoją drogą nigdy nie była w moim typie. Pamiętam te rozmowy z tamtych czasów: „Hej, Ted, zobacz, jaka laska, chciałoby się ją zobaczyć w rozkładówce, no nie?”.

No nie. Taylor sprawiała dla mnie wrażenie brudnej i starej. Bez względu na film. „Kto się boi Virginii Woolf”? Proszę was. Przecież wyglądała w niej jak niewyżyta starucha, która permanentnie zapomina o prysznicu. No i ten jej nos! Długi i pociągły jak u jakiejś ryby. Każdy może lubić, co chce, ale to nie był mój typ.

Mniejsza o Taylor. Gdybym umiał lepiej prowadzić kreski, a Melissa by nie płakała, zrobiłbym z niej prawdziwą boginię. Uczesałem jej

włosy, które są już zupełnie suche, lecz pachną szamponem. To uroczy, uspokajający zapach.

– Wydmij wargi – szepczę. – Knebel jest tak włożony, że możesz to zrobić. Nie udawaj, że nie.

Łka. Z jej oczu wciąż ciekną łzy. Spazmatycznie pociąga nosem, pod którym zebrały się smarki. To mi się wcale nie podoba. Chwytam nóż leżący na połamanym stołku i przykładam go do jej szyi.

– Wydmij te cholerne wargi! Albo już teraz poderżnę ci gardło!

Jej oczy niemal wychodzą z orbit. Przerazenie rozszerza źrenice. Chyba po raz pierwszy dałem jej do zrozumienia, co z nią zrobię. I że jakkolwiek by się zachowywała, skończy tak samo. To niepotrzebne. Muszę na przyszłość zapamiętać, by hamować się z takimi tekstami.

Dziewczyna wpada w histerię. Moje groźby, zamiast ją uspokoić, wywołują furję. Rzuca się i wierzga. Z nosa cieką jej smarki, a do tego zaczyna się dławić. Lada moment zwymiotuje prosto w knebel.

– Jeżeli zamierzasz się udławić, proszę bardzo – rzucam obojętnym tonem. – Jesteś taka ładna, ale beznadziejnie głupiutka. Nie wykorzystasz swoich atutów? No... Śmiało, wydmij te wargi, a może pomyślimy nad twoją przyszłością. Chciałabyś wrócić do domu?

Moje słowa działają cuda. Melissa uspokaja się w jednej chwili. Spogląda na mnie ze strachem, ale również z na nowo odżyłą nadzieją.

– Jeśli będziesz grzeczna, wszystko jest możliwe – zapewniam ją. – Właściwie wcale nie chciałem cię zabić.

Kłamię jak z nut, ale widzę, że odnoszę właściwy efekt. Dziewczyna jest coraz spokojniejsza. Spowolniła oddech, przestała rzeźić i niemal nie płacze.

– Bardzo dobrze. Zuch dziewczyna. A teraz wargi...

Wydyma je dokładnie tak, jak chciałem. Powoli, starannie maluję je czerwoną pomadką. Staram się nie wyjść poza krawędź ust.

– Ślicznie. Wydaje mi się, że dobrałem właściwy kolor. – Uśmiecham się i odsuwam jak malarz spoglądający z dystansu na wykonany właśnie

portret. – Żałuję, że nie mam tu lusterka, bo byłabyś ze mnie dumna. Zresztą zaraz coś na to poradzimy.

Z plecaka wyciągam polaroid. Włączam go i upewniam się, że wkłady są w środku.

– Spójrz prosto w obiektyw, kochanie. O tak, wspaniale! Powinnaś zostać modelką.

Robię dwa zdjęcia i wachluję kartonikami, by szybciej nabrały barw. Odwracam je w stronę Melissy.

– Ładnie, prawda? Jesteśmy idealnym duetem... Modelka oraz fotograf.

Czubkiem buta przesuwam plecak, z którego wystaje gruba lina. Lepiej, żeby na razie jej nie zobaczyła. Kiedy nie płacze, wygląda naprawdę ślicznie⁵.

16.

KILKANAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

W napięciu przerzucam kolejne strony magazynu. Niemal z każdej z nich spogląda na mnie roznegliżowana kobieta. Blondynki, brunetki, rude... Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jasne, parę razy przez przypadek wszedłem do łazienki, gdy była w niej Louise, dwa razy nakryłem ją również w sypialni, ale to moja siostra... Nigdy nie patrzyłem na nią w ten sposób. A teraz... Coś dzieje się z moim ciałem. Wstrząsa mną dreszcz i czuję przyjemne mrowienie w podbrzuszu.

Wiem, że coś się zmieniło. Być może właśnie dorosłem, co chyba wcale nie równa się staniu się mężczyzną. A może? Czy pozory i formy mają jakiegokolwiek znaczenie? Wiecie, o co mi chodzi. Ja też coś niecoś wiem.

Ekstaza jest tak wielka, że czuję się jak pijany. Uginają się pode mną nogi, kręci mi się w głowie, a myśli rwą się i płaczą. Chowam magazyn

za zardzewiałą beczkę po ropie i upewniam się, że nie widać jej z oddali. Teraz te kilkadziesiąt kartek to mój największy skarb.

A jeśli spadnie deszcz?

Cholera.

Odsuwam beczkę i wyciągam gazetę. Rozglądam się po okolicy. W panice przebiegam kilka metrów w jedną i w drugą. Zachowuję się jak szalenię.

To mój skarb, to moje szczęście, to moja męskość...

Dostrzegam wnękę w murze, w której niegdyś znajdowała się skrzynka elektryczna lub coś takiego. Drzwiczki poluzowały się w zawiasach, ale dalej są na miejscu.

To tu. Jestem uratowany.

Wyrzucam ze środka jakieś stare butelki i puszkę, po czym wkładam tam magazyn. Przymykam drzwiczki. Zawiasy skrzypią, ale udaje mi się zamknąć skrzynkę niemal całkowicie szczelnie. Po przekręceniu metalowej gałki nie otworzy jej nawet huragan.

Świetnie. Już snuję plany, że wrócę tu jeszcze dzisiaj wieczorem albo najpóźniej za kilka dni. Kiedy tylko zechcę, no nie? Ta myśl wprawia mnie w dobry nastrój. Czuję się, jakbym miał pierwszą w życiu dziewczynę. Ba, mam ich wiele. I to na każde zawołanie. Wreszcie jestem kimś i nie potrzebuję do tego żadnych zasranych przyjaciół.

17.

- Nie, nie, nie! - krzyczę. - To niemożliwe!

Musiałem się pomylić. Na pewno włożyłem gazetę do innej skrytki. Gdzie ona jest? Coś przeoczyłem i straciłem orientację. Przecież nikt nie mógł jej zabrać. Nie, nie...

Biegam w tę i we w tę, lecz w murze budynku dawnego składu metalu nie ma żadnych innych wnęk. Jedna jedyna jest pusta. Drzwiczki

wyłamano, a gazeta zniknęła. Nie mam wątpliwości, że to właśnie ta skrytka. Tylko nie to...

Serce łomocze mi, jakbym stracił wszystkie pieniądze ze skarbonki. Albo gorzej! Jakbym został przyłapany na najgorszym możliwym uczynku. Zakrywam twarz dłońmi, obracam się na pięcie i mam ochotę przywalić sobie pięścią w nos.

Ty idioto. Powinieneś lepiej schować swój skarb. Ty beznadziejny głupku!

Chce mi się płakać. Nerwowo zaciskam szczęki i ciężko sapię. Nie mam pojęcia, co miałbym teraz zrobić. Wszystkie moje plany, wszystkie wyobrażenia, sprowadzały się właśnie do tej gazety. Wydaje mi się, jakbym stracił jakiegokolwiek perspektywy... Sytuacja dosłownie mnie przeraża. A jednocześnie... dopada mnie nuda.

Ogarnia mnie poczucie bezsensownej wiecznej nudy, bo jak miałbym sobie inaczej zorganizować cały wieczór? Co niby mam robić?

Przygotowałem się do nocnego oglądania zdjęć. Wziąłem latarkę oraz grubszą kurtkę. Zaczęły się już chłodne noce.

I co teraz?

Ze zwieszoną głową wychodzę z terenu dawnego składu. Nie mam żadnego planu. Idę prosto przed siebie, kopiąc wszystkie śmieci leżące na chodniku. O tej porze w okolicy nie ma zbyt wielu ludzi. Pojedyncze samochody suną ulicą, lecz miasto wydaje się całkowicie wymarłe. Od czasu do czasu pada nieprzyjemna, zimna mżawka, która pewnie w nocy zmieni się w pierwszy w tym roku śnieg. Przynajmniej tak mówi moja mama.

Patrzę po podwórzach i domach, w których palą się światła. Widzę przesuwane się cienie gospodarzy. Na mnie nikt nie czeka z utęsknieniem. Owszem, gdybym długo nie wrócił, narobiono by rabanu, ale mam więcej swobody niż moi rówieśnicy.

Nagle coś przykuwa moją uwagę. Do głowy przychodzi mi pewien pomysł, który boję się jasno sformułować. Działam w otumanieniu, zdając się na jakiś przebijający z głębi podświadomości instynkt. Może

właśnie taki instynkt towarzyszy wszystkim mężczyznom? Nie jestem pewny.

Rozglądam się, czy aby nikt mnie nie obserwuje. W tym miejscu nie ma latarni. Przecinam nieogrodzony trawnik i dopadam do parapetu niewielkiego, jednopiętrowego domu. W tej okolicy jest ich wiele, na pewno kojarzycie ich bryły. Być może część was mieszka w podobnych. Do idyllicznego obrazu brakuje tylko amerykańskiej flagi.

Pod wpływem emocji co chwilę tracę dech. Wciążam głęboko powietrze i drzę. Jest mi gorąco. Muszę rozpiąć durne guziki kurtki, ale to na niewiele się zdaje.

Na sztywnych nogach obchodzę dom od strony podwórza. Z drugiej strony ciągnie się długi mur starych kamienic. Gospodarze mogą mieć poczucie intymności, nie spodziewając się, by ktokolwiek pojawił się z tej strony. Właśnie na to liczyłem.

Tak! Światło w podłużnym oknie po lewej stronie tylnej werandy jest zapalone. Widzę koronkową firankę, przez którą przebija zarys pomieszczenia. Łazienka!

Rozglądam się po raz kolejny i niczym złodziej dopadam do domu. Krok po kroku skradam się ku oknu. Słyszę szmer szumiącej w rurach wody. Wreszcie chwytam się parapetu i staję na palcach. O mało nie tracę równowagi. Niewidzialna dłoń zaciska mi się na gardle.

Przez firankę wyraźnie widzę niewielką umywalnię, wannę oraz sedes. Pośrodku przed lustrem stoi kobieta. Ma około czterdziestu lat i długie włosy. Właśnie rozczesuje je grzebieniem. Jej ciało skrywa luźna koszula nocna, ale i tak wyraźnie widzę zarys jej pupy oraz bioder.

Czuję przyływ adrenaliny podobny do tego, gdy otworzyłem magazyn ze zdjęciami. Ledwie kontroluję własne ciało. Dotykam swojego krocza i niemal tracę dech.

W tym momencie gdzieś z głębi podwórza dobiega mnie szmer. Odskakuję od okna i gwałtownie się odwracam. Dostrzegam zarys dużego psa, który powarkując, idzie w moją stronę. Pieprzony kundel.

18.

Zemszczę się.

Za to, że ten cholerny kundel przepłoszył mnie w takiej chwili. Przynajmniej wiem, że magazyn ze zdjęciami można zastąpić. Skoro udało mi się trafić na niezasłonięte okno już za pierwszym razem, w okolicy muszą być ich setki. Wystarczy tylko się dobrze zacząć, a okazja nadarzy się sama.

To miłe wnioski. Przez całą noc fantazjowałem o tym, jakie kobiety uda mi się podglądać. Wyobrażałem sobie ich nagie ciała i to, jak je pielęgnują. Te myśli sprawiały mi nieznaną jeszcze przed paroma dniami przyjemność.

Nadrobię to, co mi nie wyszło. Mam plan. Tyle że wcześniej muszę wyrównać pewne porachunki i rozwiązać drobny problem, aby uniknąć kłopotów na przyszłość. Zawsze mieć bezpieczną alternatywę, tak to się chyba mówi, prawda?

Dzisiejszy dzień upłynął mi na przygotowaniach. Jestem skrupulatny i zaradny. Na całe szczęście ten nieudacznik Johnny przyniósł do naszego domu całe mnóstwo swoich narzędzi oraz sprzętu. Gwizdnąłem mu tylko kilka z nich, po czym opracowałem szczegółowy plan.

W plecaku czuję przyjemny ciężar. Idąc, pogwizduję, a co jakiś czas nawet skaczę. Jest późno, mniej więcej ta sama pora, o której wczoraj zaszedłem pod tamten dom. Zbliżam się do niego. W zasięgu wzroku nie ma nikogo, choć dzisiejszy wieczór jest bardziej pogodny. W nocy jednak nie spadł śnieg.

Mrużę oczy i wypatruję psa. W międzyczasie ściągam z ramienia plecak i go otwieram. Kundel jest na długim sznurze przyczepionym do ocieplanej budy przypominającej cholerny domek. Niejeden bezdomny mieszka w gorszych warunkach.

– Tu jesteś – szepczę, naśladowując akcent zasłyszany w jakimś filmie. Lubię to robić. Ostatnio udawanie tonu głosu innych osób sprawia mi przyjemność. – Witaj ponownie.

Pies, warcząc, zbliża się w moją stronę. Dokładnie zapamiętałem długość, na jaką wczoraj rozwinął się sznur.

– No, dalej.

Wymachuję rękoma, prowokując zwierzę. Zgodnie z moimi oczekiwaniami pies rzuca się w moją stronę. Działam bardzo sprawnie. Przez ostatnie godziny opracowałem niemal każdy ruch.

Odkręcam butelkę, do której przelałem benzynę i wylewam jej zawartość w stronę kundla. Ten zatrzymuje się, rozwinąwszy sznur do maksimum. Usiłuje ujadać, rzuca się, a jednocześnie otrząsa z benzyny. Bezszykownie, gdyż ta już oblepiła jego skłębione futro.

Podpalam zapalniczką przygotowany wcześniej strzęp materiału i rzucam nim w stronę psa. Ten, zamiast odskoczyć, dopada go z warkotem. W tym momencie jego futro zajmuje się ogniem. Zwierzę przypomina pochodnię. Przeróżliwie piszczy, biega wokół własnej osi i skomle. Przypatruję się temu widowisku przez kilka sekund, ale kiedy tylko trzaskają drzwi któregoś domu, rzucam się do ucieczki. Czuję bezgraniczną satysfakcję.

Po kilkudziesięciu metrach, zrozumiawszy, że nikt mnie nie ściga, odwracam się i zerkam w stronę ogrodu. Jakiś mężczyzna stara się gasić swoim szlafrokiem płonącego psa. Nie sądzę, żeby mu się udało. A nawet jeśli, to kundel już ma nauczki. Będzie się mnie bał. Tak jak tamten kot, który miał się bać naszego podwórza.

Odwracam się i zadowolony odchodzę.

19.

Wspominałem wam o pewnym sekrecie i o tym, że opadną wam szczęki, gdy o tym wam powiem. Wytrzymajcie jeszcze przez chwilę.

Jak widzicie, wszystko może mieć swoje znaczenie. Dziesiątki mądrych głów pracowało nad tym, by mnie zrozumieć. Za wszelką cenę chcieli pokazać, że każde zachowanie ma jakąś przyczynę. Nie wiem, czy tak jest, choć rzeczywiście dostrzegam pewne zależności.

Przytoczę wam jeszcze dwa fakty, które warto zapamiętać. Przynajmniej jeśli zajmujecie się dogłębną analizą szaleństwa. Oba wspomnienia wracają z zaskakującą łatwością, kiedy tylko przymykam oczy.

– Ted! – Ktoś krzyczy za mną na szkolnym korytarzu. Odwracam się i dostrzegam Boba Wellsa, najpopularniejszego dzieciaka w klasie. – Ted!

– Co jest?

– Moi starszycy potrzebują na przyjęcie kucharza. Ktoś mówił, że twój ojciec chyba nim jest? Może byś zagadał i...

– Nie ma mowy.

Nagle oblewa mnie wstyd. Johnny miałby gotować na przyjęciu Wellsów? Co za ohydne upokorzenie. Zupełnie jakbym to ja był ich służącym.

– Nie ma mowy? Więc nawet z nim nie pogadasz?

– Nie.

– Ale...

– To nie jest mój ojciec, rozumiesz? – rzucam ostro i kręcę głową. Pani Simpson, nauczycielka angielskiego, przygląda się nam z głębi korytarza. Wolę nie zwracać na siebie uwagi, więc obniżam ton. – Johnny przypałał się do mojej siostry, a do tego nie jest moim cholernym ojcem.

Bob wytrzeszcza oczy, a jego usta wyginają się w uśmiechu. Nagle klaszcze. Macha do przechodzących korytarzem chłopaków ze swojej paczki. Jest z nimi Linda, dziewczyna, która była obiektem moich rozmaitych fantazji.

– Słyszycie?! – krzyczy Bob. – Kucharz wcale nie jest ojcem Teda! To nie tylko plotka. Nasz kmiotek jest bękartem! Nie ma ojca, a jego siostra się puszcza.

Kmiotek – właśnie tak nazywają mnie ze względu na drobną posturę, dość długie ręce i słabą formę fizyczną.

– Bękart! – podłapuje dzieciak z innej klasy. Wytyka mnie palcem i wybucha śmiechem.

– Bękart – śmieją się kolejni uczniowie, a wśród nich jest Linda.

Sam się wrobiłem, jak zwykle. Jestem wściekły, ale nie chce mi się nawet wdawać w dyskusje. Mam tych gnojów w dupie. Żałuję tylko Lindy... Jak bardzo nie pasuje do jej twarzy kpiący, ironiczny uśmieszek... Jak bardzo nie pasuje, aby to właśnie ona ze mnie drwiła... Przynajmniej widzę czarno na białym, że ma mnie w głębokim poważaniu. Sprawa się wyjaśniła. Mogę skończyć z fantazjowaniem.

20.

Wypadam ze szkoły i biegnę na niewielki plac. To na nim parkują nauczyciele oraz tych paru uczniów, którzy już mają prawa jazdy.

Bękart.

To słowo rozsadza mi czaszkę. Nie jestem żadnym cholernym bękartem. Moim ojcem jest Samuel Cowell, choć nie ma go tutaj ze mną. Skąd w ogóle myśl, że jestem jakimś bękartem? Nigdy nie ukrywałem, że Louise to moja siostra. Moi rodzice żyją kilka tysięcy mil stąd. Choć w sumie widuję ich tak rzadko, że straciliśmy głębszą więź.

Lubię Johnny'ego. Posługuję się jego cholernym nazwiskiem i parę razy faktycznie zwróciłem się do niego jak do ojca. Forma bezosobowa nie zawsze jest możliwa. Mamy jednak kumpelską relację, i tyle. Choć pamiętam, że jeszcze w Filadelfii podsłuchałem jakąś rozmowę mamy, z której domyśliłem się, że to wcale nie Cowellowie są moimi rodzicami. Albo że nie jest to takie proste, jak się wydaje.

Boże. Kim ja, do cholery, jestem? Może to miano bękarta wcale nie jest oszczerstwem, tylko zwykłą prawdą?

Przechodzę między samochodami i wypatruję jakiegoś z kluczykiem w środku. W tej okolicy o to nietrudno. Żyjemy w jednym z najbezpieczniejszych miast całych Stanów Zjednoczonych.

Jest. Nie mam nawet pojęcia, do kogo należy pudroworóżowy buick special, ale sięgam do klamki. Zerkam ponad białym dachem w stronę szkoły. Przy wejściu płacze się kilka osób, lecz nie zwracają na mnie uwagi. Otwieram drzwi i wsiadam do środka. To ładny wóz. Z przodu znajduje się pojedyncza kanapa z wygodnymi sprężynami. Koło kierownicy jest duże, z chromowaną wstawką pośrodku. Prędkościomierz posiada skalę do stu dwudziestu mil na godzinę. Nieźle. Ciekawe, czy tyle pojedzie?

Przekręcam kluczyk i wrzucam bieg. Trzyipółlitrowy, ośmiocylindrowy silnik zaczyna przyjemnie bulgotać. Dodaję gazu, po czym nieśpiesznie wyjeżdżam z parkingu. Jeden z nauczycieli zerka w moją stronę, lecz zaraz wraca do rozmowy z panią Crimson. Swego czasu kilka nocy z rzędu zakradałem się do jej ogródka, by ją podejrzeć, ale zawsze opuszczała żaluzje. Nawet te od strony podwórza. To ładna kobieta o smukłej figurze, złocistych włosach oraz zadartym nosku. Nago musi wyglądać świetnie. Odrywam od niej wzrok i skupiam się na prowadzeniu.

Nikt mnie nie uczył jazdy samochodem. Johnny ma stare auto, które ciągle się psuje, a moja siostra nie lubi prowadzić. Wszystkiego musiałem nauczyć się sam, choć do perfekcji jeszcze mi nieco brakuje. Dlatego jadę wolno, bardzo wolno. Lubię prowadzić po swojemu.

W lusterku dostrzegam policyjny radiowóz. Najwyraźniej zwróciłem uwagę funkcjonariusza, lecz przecież nie ma powodu, by mnie zatrzymać. Chyba że już zgłoszono zniknięcie buicka z parkingu...

Cholera. Powstrzymuję się przed dodaniem gazu. W tym momencie syreny radiowozu włączają się i auto zrównuje się z moim. Policjant przez szybę daje mi znać, bym się zatrzymał.

Jasne. Uśmiecham się jakby nigdy nic. Co mi mogą zrobić za pożyczanie buicka? Wystarczy, że zmyślę jakąś historyjkę, i ci durnie muszą w nią uwierzyć. Poza tym przecież zasługuję, by mieć taki samochód⁶.

21.

16 SIERPNIĄ 1975 R.

Doskonale pamiętam pierwsze zatrzymanie przez policję. Zgodnie z prawem stanu Waszyngton moja kartoteka została wyczyszczona w dniu, gdy ukończyłem osiemnaście lat. Otrzymałem wtedy nowe życie. Jednak zawsze lubiłem wspomnienie tamtego niewinnego dreszczyku emocji. Nie bałem się.

Teraz również się nie boję. Pędzę po Granger, mieście przyległej do Salt Lake City, dokąd lubię wypaść coś przekąsić. Szczególnie lubię jedną z pizzerii. Przesiaduję w niej, obserwuję kobiety, a czasem...

Wiecie już, jak skończyła Melissa. Ją również dopadłem w tej okolicy po tym, jak wyszła z lokalu, gdzie siedziała z przyjaciółmi. Pomyślcie o tym. Nigdy nie zwracacie uwagi, czy przy stoliku obok ktoś wam się nie przygląda. A nawet jeśli uchwycicie czyjeś spojrzenie, bagatelizujecie je. Wydaje się wam nieważne. Co najwyżej potraktujecie kogoś jako natręta, który chce was zaczepić. Jeżeli wspomnicie moje słowa przy kolejnym lunchu w restauracji, może zmądrzejecie. A może zrobi się wam niedobrze.

Owszem, zdarzało mi się zaczepiać takie osoby jak wy. Nawet nie sądzicie, jakie to łatwe. Myślicie, że życie w bezpiecznym świecie, a zbrodnia jest gdzieś tam daleko... Najlepiej na innym kontynencie.

Ciało Melissy porzuciłem przed dziesięcioma miesiącami w górach, które w ciągu dnia doskonale widać z tej okolicy. Zapamiętajcie sobie. Była taka sama jak wy albo jak wasze żony lub córki. Siedziała kilka

stolików dalej, obżerając się pizzą z pepperoni. Śmiała się z dowcipów przyjaciółek.

Chciałem ponownie trafić na kogoś takiego jak ona. Najadłem się, lecz w lokalu, gdzie byłem, nie dostrzegłem nikogo w moim stylu. Od razu odrzucam te wszystkie tłuszciszki albo szczupłe tyczki przewyższające mnie wzrostem o głowę. Odrzucam dziewczęta, które wyglądają na brudne i cuchnące.

Cholera.

Zakradłem się pod pewien dom, w którym wiedziałem, że są nastoletnie dziewczęta. Wyłamałem zamek, lecz musiały mnie usłyszeć i narobiły rabanu. Ledwie uciekłem do auta. Do tej pory czuję wściekłość, że zachowałem się tak nieostrożnie. Powinienem być cichszy. Znacznie cichszy.

Świat rozbłyskuje na niebiesko i na czerwono. W uszy wżyna mi się jazgot syreny policyjnej. Dodaję gazu i zerkam w lusterko. Radiowóz ma znacznie lepszy silnik niż mój volkswagen garbus. Ucieczka nie ma żadnego sensu.

Teraz nie chodzi o kradzież. Papiery się zgadzają, ale zapewne przekroczyłem prędkość. No cóż... Zdarza się. Niektórzy gliniarze są upierdliwi i lubią kontrolnie zatrzymać kierowcę, który porusza się ich rewirem o dziwnej porze. Jest trzecia rano, a oni codziennie mają odprawy, w trakcie których mówi się o zaginionych kobietach. Choć podejrzewam, że ten gliniarz mógł widzieć volkswagena pod domem tamtych dziewcząt. Mógł widzieć również wyłamany zamek.

Zatrzymuję się na opuszczonej stacji benzynowej. Nabieram powietrza i odchylam się w fotelu. Opuszczam szybę, po czym kładę dłonie na kierownicy tak, by policjant dobrze je widział. Obserwuję w lusterku, jak podchodzi do mnie wysoki gliniarz w tym kretyńskim kapeluszu ze sztywnym rondem.

- Sierżant Bob Hayward, policja hrabstwa Salt Lake City - przedstawia się. - Proszę opuścić pojazd.

Zwraca się do mnie całkiem łagodnie. Problem jest jednak nieco gdzie indziej. Przez cały czas mierzy do mnie z pistoletu.

22.

– Co pan tu robi o tej porze? – pytanie zostaje zadane pozornie obojętnym tonem.

– Zgubiłem się – stwierdzam również bez emocji. – Byłem w kinie samochodowym i oglądałem Towering Inferno. To zabronione?

Sierżant kręci głową i przypatruje mi się jeszcze uważniej.

– Teraz w kinie nie grają tego filmu. Akurat dobrze znam jego repertuar.

Cholera. Wrobiłem się.

– Jechałem do motelu w górach – usiłuję zmienić temat. – Chyba skręciłem w złą przecnicę. Jutro planuję pojechać na nartach.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Na szczycie ma być doskonała pogoda. Wykupiłem karnet...

– Aha.

Krótkie, zdawkowe „aha” nie brzmi optymistycznie.

– Proszę się nie ruszać. Rozumie pan?

– Jasne.

Rozglądam się po okolicy, ale fatalnie wybrałem miejsce postoju. Opuszczona stacja benzynowa jest oświetlona przez kilka wysokich latarni. Stanowi właściwie pusty plac, pośrodku którego znajduje się niewielki budynek. Gdybym rzucił się do ucieczki, policjant wpakowałby mi kulę w plecy. Nawet jeśli mnie nie zabije, będę miał problem, żeby się wywinąć.

– Nie zrobiłem nic złego – ciągnę. – Proszę mnie puścić, chciałbym się wyspać przed rankiem.

– Powiedziałem, żeby pan się nie ruszał!

Ostry ton gliniarza nie budzi wątpliwości. Tym bardziej że zerkając ku mnie, nie spuszcza z muszki. Powoli obchodzi auto. Zerka po jego porysowanym błotniku, wreszcie zatrzymuje się przy kabinie od strony pasażera. Zagląda do środka tak, by nie rzucić cienia.

– A to co?

Wiem, co ma na myśli. Już przygotowałem się na to pytanie.

– Drobną modyfikacja – stwierdzam niedbale. – Wymontowałem fotel, żeby przewozić większe pakunki. Często potrzebuję dodatkowego miejsca w kabinie... Wie pan, jak to jest. Choć wystarczy porównać volkswagena i pański radiowóz i od razu widać, że to prawie zabawka...²

Gliniarz nie daje się zagadać. Co rusz na mnie zerkając, otwiera drzwi volkswagena. Brak fotela wystarczająco rozbudził jego ciekawość. Sięga ku leżącej w jego miejscu sportowej torbie.

– No to jestem załatwiony – szepczę i zwieszam głowę.

W tym samym momencie z ust policjanta dobywa się przekleństwo.

23.

1967 R.

Nie miałem jasnych planów na dorosłość. Po ukończeniu liceum znalazłem się na życiowym rozdrożu. Wiedziałem, że sobie poradzę i że osiągnę to, czego zapragnę, ale problemem było to, że nie miałem konkretnych pragnień.

Oczywiście, jak każdy chciałem mieć trochę forsy i fajną dziewczynę. Marzyłem o porządnym wozie, dużym domu i bogatych znajomych. Broń Boże nie chodzi mi o przyjaciół. Nigdy nie nawiązywałem głębszych przyjaźni, ale znajomi to co innego. Otaczasz się nimi, mogą ci pomóc, a ty możesz się na nich powołać. Poklepujecie się po plecach, palicie razem cygara i chodzicie na partyjkę golfa lub

tenisa. Kiedy człowiek wda się w dobre środowisko, już nigdy z niego nie wypadnie. Zawsze się znajdzie pomocna dłoń, otwarty portfel lub po prostu czyjś autorytet, którym można się podetrzeć, gdy legitymuje nas gliniarz. Rozumiecie, o czym mówię. „Hej, panie sierżancie, pański szef to mój kumpel. Razem z senatorem Ginsonem grywamy w brydża”.

W 1965 roku zapisałem się na uniwersytet Puget Sound w Tacomie. Niechęć opuszczenia przytulnego gniazda? Być może. Co więcej, uniwersytet był powiązany z Kościołem metodystycznym, do którego należeli moja matka oraz Johnny. Ba, oni nawet poznali się na wieczorku organizowanym przez lokalnego pastora dla samotnych kawalerów i panien. Znali również kilka osób z władz tej uczelni i obiecali mi pomóc. Pozycję w środowisku należy budować powoli, wychodząc od tych znajomości, którymi się już dysponuje.

Nie odpowiadała mi jednak duszna, nudna atmosfera Tacomy. Nie tak wyobrażałem sobie życie akademickie. Poza tym na pierwszym roku nie zbliżyłem się do żadnej dziewczyny, a to był jedyny cel, jaki sobie wyznaczyłem. Porażka na całym froncie. Musiałem zrewidować plany i zacząć działać.

Po roku przenieśliem się na Uniwersytet Waszyngtoński. Ktoś mi powiedział, że na fakultet z chińskiego uczęszczają głównie kobiety. To wystarczyło, abym podjął decyzję. Poza tym wydawało mi się, że ten kierunek będzie perspektywiczny. Gospodarka chińska, mimo ich systemu politycznego, ciągle rosła, a ich pozycja stawała się ugruntowana. To już nie było to samo państwo, o którym mój ojciec wypowiadał się jako o średniowiecznej monarchii na wschód od imperium brytyjskiego. Niestety, to imperium brytyjskie razem ze średniowieczem trafiło na śmietnik historii. Chiny trwały nadal.

- Chcę zostać politykiem - naśladowuję ohydny, irlandzki akcent Kennedy'ego i wruszam ramionami. Spoglądam na szczupłą brunetkę o lśniących włosach z mocnym przedziałkiem, bystrych oczach i ładnym uśmiechu. - Myślisz, że mi się uda?

Dziewczyna wybuchła śmiechem. Przysłania dłońią usta, ale zaraz znowu parska.

– Mówisz zupełnie jak Kennedy.

– Doprawdy? – dopytuję tonem Eisenhowera. – Wydaje mi się, że zamiast na chiński powinienem udać się na japoński. Może zbombardujemy razem Nagasaki?

Studentka zanosi się śmiechem. Nie potrafi się powstrzymać, a jej piersi drżą pod cienką sukienką. Inni studenci mijają nas, zerkając z zainteresowaniem na przyczynę tego nagłego wybuchu niepohamowanej wesołości.

– Ted Bundy – przedstawiam się, wyciągając do niej dłoń. Chrzącić konwenansie.

– Diane E.

„Jesteś moim ideałem, Diane E.” – mówię w myślach. Już wyobrażam sobie naszą wspólną przyszłość.

24.

1968 R.

Nigdy dotąd nie byłem zakochany. Właściwie nie wiedziałem, co to miłość i pożądanie. Różne dziewczyny podobały mi się, a podglądane kobiety podniecały mnie. Wywoływały emocje. Owszem. Jednocześnie snułem rozmaite fantazje, lecz nigdy nie było w nich „tego czegoś”. Każdy, kto się zakochał, wie, o czym mówię. To jak różnica między pocałunkiem z języczkiem i seksem. Oczywiście pocałunek też może być bombowy, ale...

No właśnie. Wystarczy, że jest jakiegokolwiek ale.

Zwariowałem na punkcie Diane. Spotykaliśmy się, kiedy tylko mogliśmy, chodziliśmy do kina i na dalekie spacer. Jej jedyną wadą, którą dostrzegałem, była ambicja. Przesadna, niemal drapieżna i być

może oparta na jakimś głębokim kompleksie. Chciała być kimś, chciała zarabiać i spełniać swoje zachcianki. Chciała przebić swoich rodziców, którzy byli wisienką na torcie lokalnej śmietanki towarzyskiej.

Pamiętacie, jak wspominałem, że dobrze jest mieć usytuowanych znajomych? To moje podejście do życia. Wiem, że ich można wykorzystać. Jednak Diane nie dopuszczała myśli, że to nie ona byłaby tą wpływową osobą, do której zwracają się inni. Duma nie pozwoliłaby jej poprosić kogoś o pomoc. I właśnie w tym widziałem swoją szansę. W końcu ja też miałem swoje ambicje. Pragnąłem całkowicie zapanować nad jej sercem i umysłem. Chciałem opętać ją tak mocno, jak ona opętała mnie. Nieważne, czy Ted Bundy jest do tego zdolny. Mógłbym przybrać dowolną maskę.

Po raz pierwszy pomyślałem o tym w ten sposób.

– Wiesz co, pieprzę te studia – mówię. – Zostało mi parę lat, które niczego nie zmieniają. Mogę starać się dostać na studia prawnicze, i to zrobię. Ale chcę czegoś więcej.

– Czego? – Diane patrzy na mnie, swoim zwyczajem nieco unosząc podbródek. – Co wymyśliłeś?

– Na razie pracuję. Za jakąkolwiek stawkę, ale dorobię sobie.

– Nie masz pieniędzy na studia?

Auc. Nie zrobiła tego specjalnie, ale ubodła mnie w najczulszy punkt i postawiła prawidłową diagnozę. Wzdycham, po czym bezradnie rozkładam dłonie. Uśmiecham się, bo wiem, że uśmiech to mój najlepszy atut.

– Nie o pieniądze chodzi. Mam pewien plan na życie.

– Aleś dziś tajemniczy, Ted.

– Długo nad tym myślałem...

– I co wymyśliłeś? No, nie daj się prosić i zmuszać do gadania. Wiesz, że mój ojciec zna szeryfa? Chcesz, żeby cię zakuli w kajdanki i zabrali do komisariatu?

Ten żart powraca regularnie. Diane stawia kołnierz eleganckiego, różowego płaszcza i jeszcze wyżej unosi podróbek. Jest w niej coś wyzywającego. Całuję ją w czoło, a potem biorę za dłoń.

- Chodź, przejdźmy się. Opowiem ci wszystko.

25.

Boże, jak dobrze mieć ją u swojego boku. Czuję się pewniej i lepiej. Jakbym, będąc sobą, był jednocześnie kimś innym. Trudno to wytłumaczyć, lecz właśnie tak jest. Oto tworzy się nowy Ted Bundy.

- Diane, stworzyłaś mnie na nowo - wyrażam ostatnią myśl. -
Dziękuję ci za to.

Przechadzamy się kampusem, mijają nas inne pary i spacerowicze. Jest piękna wiosenna pogoda. Choć ta zima również zapisała mi się w pamięci jako pasmo najpiękniejszej pogody.

- No, ale miałeś mi coś wyznać! Swoje plany czy coś! - Diane mierzy we mnie palcem. Odrzuca pukiel włosów, który opadł jej na czoło, i idzie dalej. - Słucham, kochaniutki.

- Lubię, kiedy tak do mnie mówisz.

- Lepiej mów, co chciałeś powiedzieć.

Nie zatrzymuje się. Nadszedł czas na najważniejsze wyznanie. Przez kilka godzin trenowałem, co i jak powiedzieć.

- Zakręcę się przy biurze Rockefellera w Seattle - rzucam. - Uda mi się tam zdobyć pewne układy i wkręcić w politykę.

Diane jedynie lekko zwalnia kroku.

- Naprawdę chcesz to zrobić? Nie sądziłam, że na serio pójdziesz w tę stronę.

- A więc nie masz nic przeciwko?

- Dlaczego miałabym mieć! Trzymam za ciebie kciuki tak mocno, jak potrafię. Bez względu na wszystko.

No tak. Przeszywa mnie nagły dreszcz. Nie wiem, czy powinienem być zadowolony, czy rozczarowany jej reakcją. Skoro tak mnie popiera, znaczy to, że dotąd czegoś mi brakowało. Że właśnie tego ode mnie oczekiwała. Nie wystarczyła jej Ted Bundy, student. Tak jak sądziłem, potrzebuje znajomości, układów i kogoś ważnego u boku.

A może zbyttno analizuję?

– Postaram się zostać członkiem jego sztabu – rzucam chępliwie. – Wiem, że może mi się udać. Wysłałem już CV i zacząłem szukać kogoś, kto mógłby mnie poprzeć.

Diane szturcha mnie w bok.

– Wiesz, że mój ojciec mógłby to zrobić. Szepnie słówko tu i tam...

– Nie chcę jego pomocy. Chcę osiągnąć to sam.

Gram *va banque*, choć wiem, jak wysoka jest stawka.

– No dobrze, ale jakby co...

Świetnie. A więc połknęła haczyk. Jednak nim udaje mi się uznać swój tryumf, Diane gwałtownie poważnieje.

– Ja też podjęłam decyzję – stwierdza.

Zatrzymuję się i zerkam na nią niepewnie. Po chwili się opanowuję i udaję beztroskę.

– Że?

– Za dwa miesiące, po ukończeniu szkoły, przenoszę się do San Francisco. Tam będę kontynuowała naukę.

Świat osuwa mi się spod stóp, lecz wtedy Diane dodaje:

– Przylecisz do mnie, dobrze?⁸

26.

– Ale korek! Jesteśmy dokumentnie spóźnieni. Co tam się, do cholery, dzieje?

Zerkam w lusterko. Arthur Fletcher nerwowo porusza się na tylnej kanapie auta i łypie za okno. To smukły Murzyn, z delikatnym wąsikiem, jajowatą głową i początkami łysiny. Ubiera się w tandetne garnitury i paskowane krawaty, przez co przypomina podrzędnego urzędnika albo akwizytora. Nosi okulary, które teraz obraca w dłoni.

– Wyborcy nie cierpią spóźnionych polityków – dodaje zirytowany. – Niech to...

Muszę dodać, że Fletcher to kandydat na wicegubernatora stanu Waszyngton z ramienia Partii Republikańskiej. Zostałem jego kierowcą i ochroniarzem.

– Możemy poprosić policję... – proponuję. – Tam stoi radiowóz.

– Nie.

– To ułatwiłoby sprawę.

– I zrobiło ze mnie waźniaka, który posiłkuje się wsparciem funkcjonariuszy. Odpada. Koniec kropka.

Jeżeli ktoś wypowiada się w ten sposób, to pozuje na waźniaka. Fletcher ma momenty pyszałkowatości, chociaż ogólnie cenię go za przebojowość. Sam pewnie na niego nigdy bym nie zagłosował, lecz biorąc pod uwagę czasy i nastroje, udział w jego kampanii jest dla mnie najbardziej korzystny.

Uchyłam drzwi, po czym spoglądam na stojące przed nami auta. Gdzieś na kolejnej przecznicy odbywa się jakiś protest. Słysząc ludzi skandujących hasła, lecz ciężko je rozróżnić. Zza jazgotu silników oraz przekleństw dobywa się jedynie rytmiczny szmer. Wszyscy przed nami czekają.

– Mam pomysł – rzucam nagle.

Fletcher zerka na mnie w lusterku z zaciekawieniem.

– Jaki?

– Proszę o wolną rękę w wyborze trasy.

– Tylko tyle? Proszę bardzo. Z Bogiem.

Uśmiecham się i wrzucam bieg wsteczny. Ostrożnie wyjeżdżam ze sznura aut i kieruję się kilkadziesiąt metrów pasem pod prąd. Stojący nieopodal policjanci tylko mi grożą. Macham do nich przez szybę, po czym skręcam w wąską uliczkę na tyłach kamienic.

- Znasz Tacomeę? - Fletcher wygodniej rozsiada się w kanapie. Zakłada obie ręce za zagłówek. Jakby obejmował dwie kobiety.

- Jak własną kieszeń.

Przemierzamy starą drogę dojazdową do składu żelaza. Kiedyś to właśnie tutaj zakradałem się, by obejrzeć magazyn z gołymi babkami. Pokonujemy parę opuszczonych placyków oraz dróg technicznych. Niedaleko stąd po przeskoczeniu długiego ceglanego muru można było wejść na podwórza pani Wilson, panny Copper oraz na tył tego domu, w którym mieszkwały dwie nastoletnie siostry. Brały prysznic jedna po drugiej i zawsze miały uchylone okno, aby łazienka nie zaparowywała. Na samo wspomnienie czuję podniecenie. Mógłbym w tej chwili zostawić auto i pobiec zobaczyć, co dzieje się tam teraz.

- Panie Fletcher...

- Tak?

- Zdążymy bez problemu. Już prawie objechaliśmy okolicę.

Mój szef z uznaniem kiwa głową. Uśmiecha się, a ja postanawiam wykorzystać moment.

- Kiedy kampania dobiegnie końca, poproszę o wolne - nadmieniam mimochodem. - Muszę zrobić krótki wypad. Kilka dni, ale to dla mnie bardzo ważne.

Oczywiście zgadza się na wszystko. A ja wiem, że to nie jest człowiek, który łatwo zapomina o tym, co powiedział. Pod tym względem jesteśmy bardzo podobni.

Listy i telefony to zbyt mało. Jeśli zwariowało się na czyimś punkcie, pragnie się znacznie więcej. Pragnie się drugą osobę mieć na wyłączność, posiadać ją i niemal zniewolić. Nie zrozumcie mnie źle. Jest takie powiedzenie, że kocha się kogoś tak, że aż by się go zjadło. Kojarzycie? Czasem matki mówią w ten sposób do dzieci. To całkowicie naturalna chęć zlania się z kimś kochanym w jedną całość. „Pożarcia go”. I nie mówię tu o żadnym kanibalizmie, przynajmniej w kontekście kazirodczym, ale... Mniejsza o to.

Diane prowadzi wóz pewnie, choć przestrzega wszystkich ograniczeń prędkości. Z tyłu leżą moja walizka oraz torba podróżna. Za oknem przesuwały się niskie, tandetne zabudowania północnego San Francisco. Jest gorąco, a wiatr znad oceanu porusza ogromnymi palmami. Chyba nigdy wcześniej nie widziałem, by osiągały takie wysokości.

Co jakiś czas zabudowania przerzedzają się, a wzgórze opada tak, że widzę rozległą panoramę zatoki. Woda mieni się w promieniach słońca, zachęcając do kąpieli. Mimo wszystko nie czuję się tu najlepiej. Wolę dziksze góry Północy, chłód i nasycone kolory, choćby tym kolorem miałyby być biel zaśnieżonych szczytów.

Nie widzieliśmy się niemal trzy miesiące, ale Diane nie okazuje przesadnej radości ze spotkania. Przypatruję się jej i analizuję każdy gest. Rzadko odwraca się w moją stronę, na moje opowieści reaguje milczeniem lub lakonicznym kiwaniem głową. Nagle jednak się uśmiecha. Przez jej twarz przebiega wyraz, jaki znam sprzed jej wyjazdu do Kalifornii.

– Wieczorem pojedziemy do kina, dobrze? – proponuje. – Masz ochotę na seans?

– Oczywiście.

– Musimy tylko sprawdzić, co grają.

– Wszystko jedno. – Zawadiacko wruszam ramionami. – Przecież to nie o film chodzi, no nie?

Nadal się uśmiecha. Odwraca się do mnie i puszcza mi oko.

„Co cię gryzie, Diane?” Chcę o to zapytać, ale wiem, że podobne pytania nie mają sensu. Nigdy nie otrzymuje się na nie szczerych odpowiedzi. Najczęściej powodują irytację lub jeszcze głębsze ukrycie swoich emocji.

– Najpierw wyskoczmy na kolację do Santoriniego – decyduje Diane. – Podają tam doskonale krewetki z rusztu. Mówię ci, palce lizać. Potem kino.

– Zgadzasz się na wszystko – odzywam się, naśladując jak dawniej akcent Kennedy’ego. – Zrób ze mną, co zechcesz. Zabierz mnie aż na Księżyc.

Diane nagle poważnieje. Nie podłapuje tego żartu. Odkąd wsiadłem do samochodu, nie rozmawialiśmy na temat moich planów ani działań w sztabie wyborczym. Nie wspominałem jej nawet o wielkiej konwencji republikanów.

Wzdycham i siadam w fotelu bokiem. Zerkam na tylną kanapę, gdzie leżą moje rzeczy.

28.

16 SIERPNIĄ 1975 R.

Obserwuję, jak policjant przebiera dłonią w mojej torbie sportowej. Co rusz na mnie zerka i nie spuszcza z muszki. Wkłada głowę do auta, a ja mam wrażenie, że musi wyczuwać zapach. Ich. Kobiet. Dziewczyn. I jej. Śmierci. Słyszę, jak głęboko oddycha.

Drogą obok opuszczonej stacji benzynowej przejeżdża radiowóz. To zapewne posiłki ściągnięte przez sierżanta, gdyż na nasz widok kierowca zwalnia i skręca w boczną uliczkę. Po chwili policyjne auto wynurza się zza betonowego budynku.

– Cofnij się! – nakazuje sierżant. – Ręce na głowę.

Posłusznie robię krok w tył. W tym samym momencie z drugiego radiowozu wysiada kolejny gliniarz w tym debilnym kapeluszu leśnika. Widząc zdenerwowanie towarzysza, również wyciąga broń.

- Co się dzieje? - rzuca, podchodząc ku nam na szeroko rozstawionych nogach. Zgrywa kowboja, co w tych stronach zdarza się równie często jak w Arizonie. - Kogo tam masz?

- To chyba ten włamywacz.

Włamywacz? Natychmiast wychwytyję to słowo i analizuję je na wszystkie sposoby. Według tego policjanta jestem „włamywaczem”, a to ma istotne znaczenie dla mojej sytuacji. Widział mnie przy tamtym domu albo połączył z tamtym wezwaniem. To bez znaczenia. Równie dobrze mógł dokonać oględzin wyłamanego zamka, a któryś z sąsiadów powiedzieć o moim volkswagenie.

- Patrz, co tu mamy.

Sierżant wyjmuję z auta moją torbę i stawia ją na ziemi. Kolejno wyciąga ze środka rajstopy z dziurami na oczy, worki na śmieci, linę oraz maskę narciarską.

- A to co? - zwraca się do towarzysza, obracając w dłoni niewielki przedmiot.

- Szpikulec do lodu.

- Po jasną cholere był ci szpikulec do lodu?

To ostatnie pytanie zostaje skierowane do mnie. Sierżant najwyraźniej rozluźnił się dzięki obecności drugiego funkcjonariusza. Mimo że nadal co chwilę do mnie mierzy, z konsternacją kręci głową. Sądzę, że na jego twarzy może majaczyć nawet pogardliwy uśmieszek. O tak, ma mnie po prostu za nieudolnego włamywacza.

- Szpikulca używam w trakcie zjazdów... - wyjaśniam oględnie. - W górach czasem się przydają. Nie lubię też zostawiać śmieci, stąd te worki...

- A kajdanki?

Cholera.

- Znalazłem je niedawno w śmietniku, wziąłem ze sobą jako zabawkę. Wiecie, mężczyźni kręcą takie gadzety.

- Aha.

Policjanci zerkają po sobie. W ciemności nocy niełatwo dostrzec ich mimikę. To utrudnia mi rozpoznanie sytuacji. Sierżant wyciąga z torby jeszcze jeden przedmiot. Unosi go i odwraca się w moją stronę.

- Ten pieprzony łom też znalazłeś w śmietniku?

- Czasem przydaje się przy samochodzie...

Staram się być całkowicie rozluźniony. Udaje mi się nawet zaśmiać. W sumie jeżeli wzięli mnie za złodzieja, mam powody do radości.

- Panowie, dajcie spokój... - rzucam. - Robi się późno. Nie macie żadnych powodów, aby mnie zatrzymywać.

- Proszę o cierpliwość, panie...

- Bundy - ochoczo kończę za niego. To niemal jak przejście na „ty”. Uśmiecham się, lecz wtedy moją uwagę przykuwa drugi gliniarz. Nerwowo porusza się i pochyla głowę. Przygląda mi się uważnie, starając się ustawić tak, by światło latarni padało zza jego pleców.

- Bundy... - szepcze. - Coś mi mówi to nazwisko⁹. Chwileczkę...

Gliniarz rusza w moją stronę.

- Bundy? Theodor Bundy?

29.

SAN FRANCISCO, 1968 R.

- To było świetne. Dawno nie bawiłem się tak dobrze. I wszystko dzięki tobie...

Nachylałem się ku Diane, by ją pocałować, lecz ona nagle się odsuwa. Nie pozwala mi się również złapać za dłoń. Wyszliśmy z niewielkiego kina i kierujemy się mocno oświetloną uliczką, po której obu stronach ciągną się azjatyckie knajpy. Wokół kręci się mnóstwo ludzi. Życie

nocne San Francisco jest chyba jeszcze intensywniejsze od tego w ciągu dnia. Choć być może od rana do wieczora większość mieszkańców spędza czas w oceanie.

– Hej, co jest? Powiesz mi, co cię gryzie?

W końcu wypowiadałam to pytanie. Diane zatrzymuje się i zerka na mnie z nienawiścią. Nigdy nie zachowywała się w ten sposób.

– Jesteś niedojrzałym dzieckiem – rzuca gniewnie.

Marszczę czoło i podchodzę bliżej. Zatrzymuję się kilkanaście centymetrów od niej i spoglądam jej prosto w oczy. Hardo odpowiada na moje spojrzenie.

– O co ci chodzi? – dopytuję. – Niedojrzałym dzieckiem? Co cię naszło?

– Będziesz studiował?

Te dwa słowa wyjaśniają wszystko. Wydaje się nieprawdopodobne, że to przyczyna jej boczenia się na mnie, ale przypuszczam, że to może być sprawka jej rodziców. Już po tonie ostatnich listów wyczułem, że Diane ponownie znalazła się pod ich zbyt mocnym wpływem. A oni traktują mnie jako nic nieznaczącą przeszkodę na drodze ich córki. Szlaban utrudniający jej wejście w sfery, w których powinna się obracać już od dawna. Albo wręcz jako balast ciągnący ją w dół.

– Mam stypendium na Stanfordzie – odpowiadam. – Wiesz o tym.

Diane parska.

– Chiński? Nie szkoda ci na to czasu?

– To język przyszłości, zobaczysz, że miałem rację... Kiedy rozmawiam z politykami, z członkami sztabu albo...

Powołanie się na „kontakty” to miała być moja najmocniejsza karta. Tymczasem Diane nerwowo macha ręką. Mruży oczy i marszczy nosek. To grymas jej najgłębszej dezaprobaty.

– Politycy? Członkowie sztabu? Naprawdę traktujesz tę zabawę na serio?

Z niedowierzaniem kręcę głową. Przecież to miała być furtka na salony.

- Sama mnie w tym wspierałaś. Proponowałaś mi nawet pomoc rodziców!

- Myślałam, że zejdiesz na ziemię. Że zobaczysz, że twoje marzenia są kompletnie oderwane od rzeczywistości. Polityka? - Diane uśmiecha się pogardliwie i rusza dalej bulwarem. - Bycie kierowcą jakiejś republikańskiej płotki to dla ciebie świat polityki? Jesteś w nim nikim, Ted. I nigdy nie zostaniesz kimś ważnym, pogódź się z tym. To nie dla ciebie.

Zagryzam zęby, ale hamuję wściekłość. Awantura na środku ulicy do niczego nie doprowadzi. Czuję mdłości. Diane ugodziła w mój najczulszy punkt. W marzenia.

- To koniec - oznajmia na dobitkę. - Myślałam, że przez te miesiące rozłąki dorośniesz, że pomyślisz o nas poważnie, ale ty... Ty myślisz, że masz w tym świecie na coś wpływ. Mylisz się. Cholernie się mylisz.

Staję jak wryty. Spoglądam, jak Diane odchodzi, i zaciskam pięści. Po całym ciele przelewa mi się fala adrenaliny. Drzę. Chce mi się płakać i krzyczeć.

„Gdybym miał nóż...” - myślę, choć nie kończę tego zdania. Nie wiem, co by było „gdyby”. Teraz stoję, niemo patrząc, jak oddala się być może jedyna osoba, którą kiedykolwiek pokochałem. Co będzie dalej?

30.

BURLINGTON, STYCZEŃ 1969 R.

Powiem wam, że każdą porażkę można przekuć w zwycięstwo. Albo przynajmniej w życiowy przełom. Przełomy są lepsze od stagnacji, tak mi się przynajmniej wydaje. A już na pewno od stagnacji w kłamstwie. Za moment zapłaczę się w tej metaforze, więc przejdźmy do rzeczy.

Pamiętacie o pewnym sekrecie, który miałem wam wyznać? O drobnym odkryciu, którego dokonałem przypadkiem?

Nasze życia są cholernymi zbiegami okoliczności. Serią ciągów przyczynowo-skutkowych, które nie mają żadnego logicznego uzasadnienia. Już chyba wspominałem o swojej teorii dotyczącej losowości poczęcia. Przyznam, że sporo o tym myślę.

Mój ojciec... Kogo miałbym tak nazwać?

Johnny'ego Bundy'ego? Lloyda Marshalla? Jakiegoś żołnierza o nazwisku Worthington, o którym parę razy słyszałem w domu?

Nie. Jedynym człowiekiem, którego naprawdę uważam za ojca, jest Samuel Cowell. Choć ma mnóstwo wad, choć nasze kontakty się rozluźniły po tym, co chcę nazywać ucieczką z domu, a co mogło być zwykłą przeprowadzką do krewnych, ale to jest mój tata.

A jednak w tym temacie powstało mnóstwo niedomówień. Półśłówka, dziwne spojrzenia, ukradkowe gesty wymieniane za moimi plecami, kiedy się myśli, że dziecko nie widzi. Dziecko widzi znacznie więcej, niż myślą dorośli, i do tego zapamiętuje ich fałsz na całe życie. Nieważne, jak bardzo staraliby się to zatuszować.

Po tym, jak Diane niespodziewanie mnie porzuciła, kompletnie się rozsypałem. Przez kilka dni włóczyłem się po San Francisco, potem wybrałem się do rodziny w Arkansas. Widziałem tych ludzi raz w życiu, ale zgodzili się dać mi na jakiś czas dach nad głową. Kompletnie nie miałem pojęcia, co robić. I co gorsza, niezbyt miałem na cokolwiek ochotę. Mimo to pewne pytania nadal mnie napędzały do działania. To, co niektórzy filozofowie nazywają siłą życia, a inni lejtmotywem, ja nazywam po prostu ciekawością. Chyba czasem jest ze mnie wiejski filozof, który musi uporządkować otaczający go świat... Wybaczcie mi te dygresje.

- Ted Bundy - przedstawiam się i poprawiam okulary przeciwsłoneczne, jakbym, mając czarne szkła na nosie, mógł uniknąć wstydu. - Rozmawialiśmy przez telefon.

Spoglądam na drobną brunetkę, która siedzi przy biurku. Kobieta kiwa głową. Daje mi do zrozumienia, że wie, z kim ma do czynienia.

- Ach, tak... Oczywiście... - mamrocze bardzo cicho. - Proszę mi dać chwileczkę.

- Spokojnie. Jechałem tu ponad godzinę, więc przyda mi się rozprostowanie nóg.

- Gdyby każdy był tak wyrozumiały.

Kobieta podpisuje jakiś wydruk, po czym obraca się na krześle i wstaje. Ma ładne ciało, wydatne piersi, a do tego zgrabną pupę. Podkreśla ją granatową, obcisłą spódnicą z wysokim stanem oraz paskiem ciasno zawiązanym w talii. Jej pośladki może są nieco zbyt pociągłe. Zdecydowanie wolę te bardziej krągłe.

- Wszystko jest przygotowane.

Podchodzi do metalowego stojaka, po czym przerzuca ustawione na nim teczki. Zawieszony na ścianie zegar wskazuje dokładnie południe. Nagle kobieta wyciąga plik dokumentów i kładzie je na biurku przede mną.

- Proszę bardzo. To wszystko, co pan zamówił.

Natychmiast chcę je otworzyć, lecz brunetka mnie powstrzymuje.

- Najpierw podpis - wskazuje na rubrykę formularza - a potem proszę przejść do stolika.

- Rozkaz!

Staram się uśmiechnąć, ale mi nie wychodzi. Kobieta zerka na mnie z mieszaniną zaciekawienia i współczucia. Być może nie jestem pierwszym petentem, który wygląda tak samo gównianie jak ja w tej chwili.

Wlokę się do stolika i odstawiam krzesło. Siadam na nim, lecz nie otwieram teczki. Trzymam ją na blacie przed sobą. Gładzę okładkę, bębnię w nią palcami, wreszcie nabieram powietrza. Nie mogę dłużej zwlekać. Całe moje życie jest zamknięte w tej krótkiej chwili. Biuro

aktów stanu cywilnego ma mnie określić na nowo. To kolejne narodziny.

A może nie powinienem się niczego bać? Nie mam żadnych konkretnych podejrzeń, tylko jakieś idiotyczne przecucie powracające raz na jakiś czas. Przecucie, które niszczy mi duszę i wżera się w mózg.

Kim jesteś, Theodorze?

Kim jesteś, Ted?

Otwieram teczkę, a mój wzrok od razu pada na właściwą rubrykę. Przebiega mnie dreszcz, a serce wyrzuca podwójną porcję krwi. Kręci mi się w głowie, jakbym miał zaraz stracić przytomność.

31.

1975 R.

Jerry Thompson. Dobrze zapamiętam to imię. Detektyw Jerry Thompson. Oficer lokalnej policji hrabstwa Salt Lake City. To przez jego skojarzenia zostałem zapuszkowany. To zaskakujące, ale torba z pończochą, łomem, maską oraz kajdankami zapewne uszłaby mi płazem, gdyby nie ten drań.

- Dokąd jedziemy? - pytam z tylnej kanapy radiowozu. Mam skrepowane ręce, a z kieszeni wyjęto mi wszystkie rzeczy.

- Na posterunek. Już mówiłem. Zostanie pan oficjalnie przesłuchany.

- Czy nasza rozmowa nie była oficjalnym przesłuchaniem? Proszę nie mówić, że tylko traciliśmy czas... Chcecie mnie zrobić w jakieś włamanie?

Staram się wybadać grunt. Niestety Thompson nie podłapuje tematu. Przez kolejne dziesięć minut prowadzi w milczeniu. Wreszcie zatrzymujemy się przed oświetlonym wejściem do komisariatu. Obok latarni wisi amerykańska flaga. Kolejna to proporzec stanu Utah -

przedstawia ul obrazujący nadgorliwą pracowitość tutejszych mieszkańców. Jakie to wymowne. Jakby zaprojektowano ten symbol specjalnie na tę okazję.

- Wyłaż. Uważaj na głowę.

Posłusznie wychodzę z radiowozu i w obstawie glińiarzy idę do głównego wejścia. Na korytarzu poza nami nie ma nikogo. W bocznej kanciapie drzemie strażnik. To dobre znaki. Gdyby podejrzewali mnie o coś poważniejszego, z pewnością powiadomiliby przełożonych i ściągnęli na miejsce cały komitet powitalny.

- Tam. - Thompson wskazuje, bym skręcił do sporego pomieszczenia po lewej. Znajduje się w nim kilka tandetnych biurków oraz metalowych szafek. To nie jest typowy pokój przesłuchań. - Zaczekaj.

- Nigdzie się nie wybieram.

Uśmiecham się, ale on teraz na mnie nie patrzy. Odruchowo upewnia się, że kajdanki na moich nadgarstkach są właściwie zapięte, i odchodzi na bok. Trzyma dłoń na kaburze.

- Zepsuliście mi cały ranek, panowie - wzdycham. - To jakieś nieporozumienie.

Jednocześnie nachylam się w stronę, gdzie stanęli policjanci. Przymykam oczy, starając się wychwycić z ich rozmowy każde słowo. Naradzają się jednak tak cicho, że dobiegają mnie jedynie strzępy. Są zdenerwowani. Sierżant przestępuje z nogi na nogę, a Thompson co rusz łypie w moją stronę. Po senności na ich twarzach nie pozostał już choćby ślad. Obaj dostali wypieków na policzkach. Atmosferę podkreśla brzęczenie jarzeniówek zamontowanych niemal na całym suficie ponad naszymi głowami.

Nagle pada zdanie, które słyszę całkowicie wyraźnie. A może właściwie odczytuję je z ust detektywa?

- Ten samochód pasuje do opisu porwania tej dziewczyny... Jak jej tam? - szepcze i nagle pstryka palcami. - Carol D. Pamiętasz?

Gliniarze jednocześnie ukradkowo na mnie zerkają. Robią to w taki sam sposób, jak dawniej robili Samuel i Eleanor Cowellowie. Ludzie, którzy chcieli uchodzić za moich rodziców. Oszuści.

32.

8 LISTOPADA 1974 R., MURRAY, UTAH

Błądę między sklepowymi półkami. Właściwie nie potrzebuję niczego konkretnego. To znaczy... Potrzebuję. Ale nie tak jak reszta osób w tym centrum handlowym.

Napoje. Cola, tonik, soki pomarańczowe w pięciolitrowych kartonach, które przypominają kanistry benzyny. Te akurat bardzo lubię od dziecka.

Napiłbym się czegoś, bo po dokończeniu flaszki ginu nieco mnie suszy. Czuję lekkie rozluźnienie, ale nie jestem pijany. Muszę być całkowicie sprawny.

Powstrzymuję się przed pokusą sięgnięcia po sok. To mogłoby wiele skomplikować, poza tym nie mam czasu. Potrzebuję kobiety. Już, teraz. Tylko po to tu przyszedłem. Muszę ją osiąść i zniewolić. To znacznie mocniejsze instynkty niż pragnienie napicia się. Momentalnie zapominam o soku.

Wyciągam portfel i poprawiam kurtkę. Z chęcią zerknąłbym na siebie w jakimś lustrze, lecz to niemożliwe. Przeczesuję palcami włosy, jednocześnie powoli się rozglądając. Dostrzegam dziewczynę samotnie stojącą przy regale z tanimi książkami. Ma niezwykle odcień włosów. Określiłbym go jako rdzawy bardzo ciemny blond, ale jest w nim również domieszka brązu. To przykuwa moją uwagę.

Ładne usta z nieco zbyt wąską górną wargą oraz duże oczy. Nieco zdziwione spojrzenie. Wszystko to sprawia, że nie potrafię oderwać od niej wzroku.

Prostuję się i pewnym krokiem ruszam w jej stronę. Odchrząkuję, zwracając uwagę dziewczyny. Nie uśmiecham się. To by było nieprofesjonalne.

Nasze spojrzenia spotykają się i czuję narastające napięcie. Przyjemne łaskotanie w piersi miesza się ze skokiem adrenaliny. Moje ciało przygotowuje się do wysiłku oraz działania. Mięśnie są niemal do niego zaprogramowane. Napięte, rozgrzane i mocne.

Ta dziewczyna pięknie wyglądałaby całkowicie rozebrana. Ma wydatne piersi, choć wydaje się, że modeluje je stanik. Bez niego być może opadają. Ale jej sutki...

Przed oczami pojawia mi się wizja jej nagiego ciała. Ogarnia mnie kompletne podniecenie. Spuszczam wzrok niżej i zerkam na kroczę dziewczyny. Depiluje się jak te nastolatki z Kalifornii czy... Momentalnie przerywam kolejne wyobrażenia. Nie mogę pozwolić się im ponieść.

Ponownie spoglądam prosto w jej oczy. Kiwam głową i wyciągam przed siebie portfel. Macham nim wyćwiczonym ruchem. Tak by nie można było dostrzec, że w środku jest tylko moja karta kredytowa i kilka nieistotnych papierów.

- Oficer Roseland - przedstawiam się pewnym tonem. -
Departament Policji Murray.

- Carol D. - niepewnie odpowiada dziewczyna. - O co chodzi? Coś się stało?

Na jej twarzy pojawia się niepokój. Oczy wyrażają jeszcze mocniejsze zdziwienie niż dotychczas, a wargi delikatnie się rozchylają.

- Proszę się nie martwić. Musimy tylko coś ustalić w sprawie pani samochodu. Chyba planowano się do niego włamać. Wyjdźmy na zewnątrz, dobrze?

Nie czekam na jej reakcję. Chowam portfel do wewnętrznej kieszeni kurtki i ruszam w stronę wyjścia. Dziewczyna potulnie podąża za mną.

Carol, zgodnie z moim planem, kieruje się do swojego auta. Zatrzymuje się przed nowiutkim camaro z czarnym dachem i uważnie na niego spogląda.

- A więc to pani samochód... - mamroczę. - Czyli wszystko się zgadza. No dobrze...

- Co się zgadza? Nie widzę śladów włamania.

- To było usiłowanie. Udało się spłoszyć włamywacza, ale trzeba będzie wykonać całą procedurę... Wie pani, mamy tu ostatnio sporo podobnych wybrków. Trzeba z tym skończyć raz na zawsze.

- Oczywiście, ale jak ja mogę w tym pomóc?

Wzdycham, udając zmęczonego i niezadowolonego z obrotu spraw. Wbijam wzrok w ziemię, wreszcie ponownie przenoszę go na dziewczynę. Jest cholernie ładna. Lepiej wyglądałaby w ciemnym blondzie, ale ma w sobie to coś. Ciekawe, jak pachną jej majtki. Ciekawe, jakiego dezodorantu używa.

- Pojedziemy na posterunek - stwierdzam od niechcenia. - Pomogę pani wypełnić kilka druczków, ale to ułatwi nam sprawę. Będziemy mogli wszcząć śledztwo.

- Tyle że...

- W przeciwnym razie mamy związane ręce i ten drań znowu nam ucieknie. Ludzie nie chcą tracić czasu na formalności, a później tak to się kończy. Dostają rozumu, gdy w rezultacie ich auto naprawdę znika.

Carol zaciska usta. Spogląda na mnie i kiwa głową.

- Dobrze. Pojadę za panem.

- Nie, lepiej nie - protestuję. Mam już gotowy cały plan. - On pewnie zostawił jakieś ślady. Pojedziemy na posterunek, technicy sprawdzą pani auto, a potem wróci pani do domu. To nie potrwa długo. Obiecuję. Ma pani moje słowo, że wszystkiego dopilnuję.

- Skoro tak... Niech będzie.

- Świetnie. Jestem pani bardzo wdzięczny.

Skinieniem głowy pokazuję, w którą stronę powinniśmy iść. Przechodzimy między autami stojącymi na parkingu. O tej porze nie ma ich wiele i na szczęście nie sędzę, by ktoś mnie zapamiętał. Staram się, by moje spojrzenie nie spotkało się z niczym wzrokiem.

- Tak to się kończy... - Mlaskam. - Człowiek chce zejść ze służby i masz ci los... Nawet nie może zrobić zakupów.

- Ciężka praca. Ale podziwiam was za to.

- Nas?

- No... Policjantów.

- Aaa, tak.

Zatrzymuję się przy garbusie i otwieram drzwi. To najważniejszy moment. Jeżeli teraz wszystko pójdzie po mojej myśli, nie będzie odwrotu. Czuję narastające podniecenie i ekscytację. Zwierzę może się jeszcze wywinąć z mojej pułapki. Ale jeśli nie...

- Gdzie jest radiowóz? - Carol zatrzymuje się i spogląda na mnie z obawą. Waha się. - To...

- Moje prywatne auto. Jak już mówiłem, godzinę temu zakończyłem dyżur. Proszę wybaczyć brak luksusów, ale pocziwego gliniarza nie stać na cadillaca.

- Nie o to mi chodziło, panie...

- Roseland. Chce pani jeszcze raz zobaczyć moją legitymację?

Przytrzymuję jej drzwi i obrzucam ją znudzonym spojrzeniem. Powoli kieruję dłoń do wewnętrznej kieszeni kurtki. Serce zaczyna mi bić w przyspieszonym tempie. Uspokajam oddech, aby dziewczyna nie spostrzegła, że nieco się denerwuję. Jeżeli się nie odezwie, wszystko może szlag trafić. Czasem staję się nazbyt zuchwały. Powinienem po prostu wziąć łom i walnąć ją w łeb. A tak? Co zrobię, jeśli będzie się opierała? Na parkingu jest mało ludzi, ale nie jest on całkowicie pusty. Szamotanina zakończyłaby się problemami.

- Proszę bardzo - wzdycham, odchylając połę kurtki. - Jeśli pani chce...

Carol uśmiecha się i macha ręką. Przytrzymując się porysowanego dachu, wsiada do volkswagena.

– Niech pan da spokój. Nie traćmy czasu.

– Świetnie.

Zamykam za nią drzwi i z trudem powstrzymuję się przed wybuchem radości.

34.

– Pracuje pan pod przykrywką, jeżdżąc tym autem? Jest naprawdę wygodne.

Dziewczyna stara się mnie zagadać. Być może naszły ją wątpliwości, czy dobrze zrobiła, wsiadając ze mną do volkswagena.

– Zapnij pasy – proszę.

– Wolałabym nie. Nigdy tego nie robię.

– Ale...

– Krępują mi ruchy, czuję się, jakbym była związana.

Zerkam na nią kątem oka i daję spokój. Nie mogę naciskać. Lepiej jej nie spłoszyć. Zresztą pasy wcale nie ułatwiają jakoś znacząco całej akcji. Spowalniają reakcję ofiary, lecz jej nie powstrzymują. Wszystko zależy ode mnie.

„Wszystko zależy ode mnie” – powtarzam sobie w myślach. To diabelnie przyjemne. Jeżeli czegoś nie zepsuję, ona za chwilę będzie wyłącznie moja. Zrobię z nią, co tylko zapragnę. Nikt mnie nie powstrzyma.

Od czego najlepiej zacząć?

Wdycham głęboko powietrze, starając się wyczuć zapach jej włosów. Nie czuję niczego. To niedobrze. W takim razie wypadałoby użyć szamponu, a może zrobić jej także makijaż. Jest bardzo słabo

umalowana. Warto podkreślić jej usta oraz oczy. Ma ładny kształt twarzy i regularny nos.

Carol chyba zdaje sobie sprawę, że na nią zerkam, i nieswojo porusza się w fotelu. Staram się skupić na prowadzeniu.

Kiedy będzie nieprzytomna, zerwę z niej stanik. Podetrę jej nim tyłek. Pewnie zśiska się ze strachu, dokładnie tak, jak robi to większość. Potem porządnie ją umyję. A gdybym pofarbował jej włosy?

Z podniecenia aż ciężko mi oddychać. Zaciskam dłonie na kierownicy i przeciągam się, rozprostowując plecy. Ukradkiem jeszcze raz łypię na siedzącą obok mnie dziewczynę. Ile może mieć lat? Osiemnaście? Dziewiętnaście? Na pewno nie więcej niż dwadzieścia.

– Niedługo będziemy na miejscu – rzucam. – Postaram się załatwić to jak najszybciej.

Carol marszczy czoło i rozgląda się po okolicy. Jedziemy wśród domów jednorodzinnych oraz niskich zabudowań. To typowa sypialnia miasta. Na ulicach nie ma nikogo. Wiatr niesie opadłe liście, a gdzieś tam skrzą się kałuże po ulewie sprzed paru dni.

Skrećam w boczną uliczkę i zwalniam. Jestem w pełni gotowy do działania. Dziewczyna coraz bardziej nerwowo przypatruje się otoczeniu.

– Komisariat jest zupełnie gdzie indziej – mówi nagle. – Dokąd jedziemy? Przecież...

Przebieram palcami w zagłębieniu przy fotelu. Wyciągam kajdanki tak, by nie brzęknęły. Ukradkiem wsuwam je do kieszeni i przytrzymuję lewą dłonią.

– Chwileczkę.

– Co pan robi? Przecież tu nie ma komisariatu?! Co jest... Proszę się zatrzymać!

Dziewczyna wpada w panikę. Błyskawicznie odwracam się do niej i zapinam kajdanki na jej nadgarstku. Jest w całkowitym szoku.

35.

Szok Carol trwa tylko ułamek sekundy. Nagle przytomnieje i zaczyna się szamotać. Rzuca się i krzyczy. Mam problem, by nad nią zapanować, gdyż jednocześnie muszę prowadzić. Volkswagen bardzo powoli toczy się ulicą. Choć nie ma ruchu, muszę uważać.

– Wypuść mnie! Wypuść! Boże, co ty robisz?!

Gdyby zapięła pasy, wszystko byłoby łatwiejsze. Teraz ma jednak duże pole działania.

Niech to szlag!

Uświadamiam sobie, że zapiąłem kajdanki tylko na jej jednej ręce. Zatrzasnęły się i teraz, by ich ponownie użyć, potrzebowalbym kluczyka. Nie mam na to czasu. A przede wszystkim nie jestem w stanie tego zrobić jedną ręką. Kurwa!

Carol uderza mnie w udo i rzuca się do klamki. Gdy chwytam ją za ramię, błyskawicznie się odwraca i usiłuje mnie ugryźć. Na jej twarzy rozlały się czerwone wypieki, oczy zaszkliły się, a z kącika ust cieknie krew. Ma potargane włosy. We wnętrzu auta roznosi się zapach jej strachu.

Puszczam ją, jeszcze mocniej wyhamowując volkswagena. Sięgam do schowka i po omacku wyciągam z niego rewolwer. Mierzę ku niej.

– Jeśli się ruszysz, rozwalę ci łeb, rozumiesz?! – wrzeszczę. – Uspokój się!

Jednak robię to zbyt późno. Dokładnie w tym momencie dziewczyna pociąga za klamkę i wypada z samochodu. Ja pieprzę! Jestem wściekły. Tak wściekły nie byłem od bardzo dawna. Całe dotychczasowe podniecenie przemienia się w dziką furję. Naciskam pedał hamulca, a volkswagenem aż zarzuca. Z piskiem opon uderza bokiem koła w wysoki krawężnik.

Wypadam ze środka, lecz momentalnie wracam do auta. Spod siedzenia wyciągam łom. Ściskam metal w dłoni i wymachując nim,

pędzę ku leżącej na ziemi dziewczynie. Zatłukę ją. Roztrzaskam ją na kawałki. Rozsiekam na miazgę.

- Ty dziwko... - cedzę.

Zamachuję się i spoglądam prosto w jej szeroko rozwarte oczy. Carol zwija się w kłębek, ale kiedy uderzam, nagle przetacza się na bok. Mój cios spada na beton chodnika. Biorę kolejny zamach. Choć usiłuje mnie kopnąć, odsuwam się. Celuję prosto w jej głowę.

W tym momencie pada na mnie światło reflektorów przejeżdżającego samochodu. Cholera. Uchylam się, osłaniając ramieniem twarz. To błąd.

Kierowca auta musiał domyślić się, co się dzieje. Boi się zareagować osobiście, lecz zatrzymuje wóz. Carol zrywa się na nogi, a ktoś otwiera jej drzwi. Z kajdankami na ręku wbiega do środka i wtedy samochód gwałtownie rusza.

Niech to szlag.

Głęboko dyszę, starając się zebrać myśli. Nie sędzę, aby zapamiętano moją twarz. Jest mrok, a najbliższa lampa znajduje się za moimi plecami.

Tylko ta pieprzona Carol. Będzie w stanie mnie wyczerpująco opisać.

Chrzanić to. Nie powinienem martwić się na wyrost, tym bardziej że ta siksa nie wyglądała na bystrą. Poza tym przecież nic jej nie zrobiłem. Tymczasem muszę...

Muszę kogoś zabić. Jeszcze dziś. Tej nocy¹⁰.

36.

1975 R.

Niecierpliwę się. Formalnie aresztowano mnie na czterdzieści osiem godzin i wszystko zależy od tego, co wydarzy się w najbliższym czasie.

Gliniarzom coś dzwoni, ale nie są zbyt dobrzy w logicznym myśleniu. Łączą fakty ze zdumiewającą ociężałością.

Martwi mnie jedynie ten Thompson. Nie tylko przypomniało mu się moje nazwisko, ale i volkswagen pasuje mu do opisu auta, do którego uprowadzono Carol D. Nie wydaje się jednak, by zamierzali ją ściągnąć w celu dokonania identyfikacji. Zresztą czy nadal mnie pamięta?

Nie mam co do tego wątpliwości.

Poza tym „identyfikacja” to obrzydliwe słowo. Identyfikuje się zwłoki. A podejrzanego? Jak nazywa się ta cholerna czynność, gdy świadkowi pokazuje się kilka podobnych osób? Okazanie? Prezentacja? Mniejsza z tym. Mogliby to nawet nazywać wybiegiem.

Siedzę w pojedynczej celi i nasłuchuję. Gdzieś z głębi dobiegają krzyki jakiegoś ćpuna. To się od razu rozpoznaje. Darcie dzikiej bestii, której co rusz łamie się głos. Jeszcze dalej ktoś inny uderza czymś w kratę. Strażnik usiłuje go powstrzymać, ale ten przestaje tylko na kilka sekund i walenie zaczyna się na nowo. Zabawa trwa od paru godzin.

Cela jest mała i ma murowaną ścianę. Za niewielkim przepierzeniem przymocowanym do zabetonowanego drutu znajduje się kibel. Drzwi są solidne, a zamek skomplikowany. Już to sprawdziłem.

Poza tym zdaję sobie sprawę, że nie pobędę tu długo. Za kilka godzin albo zapuszczają mnie na dobre, albo wyjdę na wolność. Podjęcie próby ucieczki w tym momencie nie ma żadnego sensu. Jeżeli okaże się, że nie mają na mnie żadnych dowodów, jedynie bym się obciążył.

A czy mogą je mieć?

To kwestia dyskusyjna. Tamten zamek, od którego zaczął się mój pech, wyłamałem w rękawiczkach. Nie zostawiłem odcisków palców. Samochód... Lepiej, żeby zbyt pilnie go nie oglądali. Ale mogę być dobrej myśli.

Co jeszcze są w stanie zrobić? Ściągnąć tę Carol? Okej, niech to zrobią, powiem, że umówiliśmy się na randkę, a w trakcie drogi się

pokłóciliśmy. Łom? Nie sędzę, żeby ktoś go widział. Broń? Nikt mi nie udowodni, że nią jej groziłem. Na szczęście w tym kraju jeszcze nikogo nie zapuszkowali za awanturowanie się. Co innego, gdybym chociaż walnął ją w łeb. Albo w ogóle uderzył, zostawiwszy ślady.

W trakcie szarpaniny mogłem jej nabić parę siniaków... To może być drobny problem. Ale jedynie drobny. Prace społeczne? Parę miesięcy odsiadki? To wszystko jest do przeżycia.

Chyba że...

Nie, nie. Nie mogą mieć na mnie nic więcej. O ile nie połączą kolejnych spraw i nie ściągną rozmaitych świadków. Wiem, że widziano mnie to tu, to tam. Jednak niewykonalne jest, żeby policja federalna skontaktowała się ze służbami konkretnych stanów i utworzyła jakąś ogólną bazę danych. Po co mieliby to robić?

A może? W końcu o paru sprawach pisały największe dzienniki. Niepotrzebnie zabierałem się za tamtą córeczkę szeryfa. Mogłem dać sobie spokój.

W głębi korytarza szczęka zasuwa i rozlegają się kroki. Rozpoznaję je.

A więc to już...

Po chwili w drzwiach mojej celi staje detektyw Thompson oraz dwóch nieznanymi mi ludzi. Bacznie się mi przyglądają.

- Przeszukaliśmy pańskie mieszkanie - rzuca detektyw. - Chyba musimy porozmawiać.

Cholera. Tego się nie spodziewałem.

37.

- Papierosa?

- Nie, dziękuję.

- Kawy?

- Zamierzacie rozmawiać ze mną aż tak długo, że potrzebuję rozbudzenia?

- Widzę, że trzyma się pana dobry humor, panie Bundy. Ciekawe, jak długo.

Dwóch gliniarzy spaceruje po kwadratowym pokoju. Pośrodku stoi metalowe biurko, przy którym kazano mi usiąść. Pomieszczenie nie ma okien. Znajdują się w nim jeszcze niewielka szafka na dokumenty oraz duży kaloryfer. Podejrzewam, że ogrzewanie jest regulowane, by ukropem zmusić przesłuchiwanego do współdziałania. Rzeczywiście w pokoju panuje potworny zaduch.

Nagle Thompson podchodzi do biurka i opiera się o nie rękoma. Spogląda mi prosto w oczy, po czym bierze głośny wdech. Przez chwilę wstrzymuje powietrze, a wreszcie wypuszcza mi je prosto w twarz. Czuję smród papierosów.

- No, dobrze. Skoro mamy przejść do rzeczy, a pan nie chce zacząć sam z siebie... To mogłoby rzucić na pańską sprawę miłe światło. Wie pan, chęć współpracy jest zawsze dobrze widziana.

Znam te sztuczki. I od razu czuję się nieco raźniej. Skoro detektyw musi usiłować rozgrywać sprawę w ten sposób, znaczy, że nie jest zbyt pewny swoich dowodów.

Uśmiecham się i odchylam w krześle.

- Proszę mówić, panie oficerze. - Wzruszam ramionami. - Nie wiem, o czym ja miałbym opowiadać. To potworne nieporozumienie, na skutek którego niszczyacie mi urlop.

Policjanci wymieniają spojrzenia. Thompson się wyprostowuje i sięga gdzieś za biurko. Tak sądziłem. Ma tam teczkę z dokumentami, które przygotował przed przesłuchaniem. Będzie teraz atakował mnie nimi, jednym po drugim, licząc, że pęknę. Każdy kolejny będzie coraz słabszy, a zapewne detektyw rozpocznie z niezbyt wysokiego poziomu. Za moment wszystko będzie jasne.

- Domyśla się pan, co tu mam? - Teatralnym gestem unosi torebkę na dowody. Sztuczne światło odbija się od folii i nie widzę, co w niej

jest.

- Nie mam pojęcia, proszę pana - odpowiadam grzecznie. - Ale liczę, że zaraz mi pan powie.

- Tak... Proszę bardzo.

Policjant kładzie torebkę na biurku i przesuwają ją w moją stronę.

- Nie waż się jej dotknąć.

- Jasne. Rozumiem, że to dowód.

Pochyliłam się w stronę blatu i mrużę oczy. Mogłam się tego spodziewać.

- Broszurka z jakiegoś liceum? - Udaję zdziwienie. - Pewnie gdzieś ją dostałem i chciałem wyrzucić, a w pobliżu nie było śmietnika. Nie znoszę śmieci, chyba już o tym mówiłem.

- To ulotka reklamowa przedstawienia w Viewmont High School. - Thompson wypowiada tę nazwę ze szczególnym naciskiem. Uważnie obserwuje przy tym moją reakcję.

- Nie brałem w nim udziału, jeśli o to pan pyta, detektywie. Wyrosłem i nie chcieli mnie w ogóle brać pod uwagę przy obsadzie. Niestety...

Wybucham śmiechem. Mój żart całkiem mi się podoba, ale detektyw pozostaje poważny.

- Czyli nie był pan w Viewmont High School?

- Broń Boże. Przynajmniej kompletnie tego nie pamiętam... Może mnie porwano i kazano oglądać jedno z tych szkolnych przedstawień? Nie, naprawdę, nic o tym nie wiem.

Nie jestem do końca szczery.

38.

**8 LISTOPADA 1974 R., BOUNTIFUL, PRZEDMIEŚCIA
SALT LAKE CITY**

Jestem wściekły. Co rusz zerkam na leżący obok łom. Mam wrażenie, jakby ta siksa nadal tu siedziała i drwiła sobie ze mnie. Wymyślam miny, jakie mogłaby robić, a potem wyobrażam sobie jej roztrzaskaną twarz. Zrobiła mnie jak dziecko. Pieprzona suka.

Mogłem wystrzelić jej w głowę. Powstrzymała mnie tylko podświadoma obawa o to, że po takiej egzekucji nie uda mi się posprzątać auta. W każdym zakamarku zostaną strzępy tkanki, ciała i plamy krwi. Tapicerka nie będzie nadawała się do niczego.

To zaklinanie rzeczywistości. Staram się uzasadnić swój błąd jakimś rzekomym przeczuciem lub instynktem. Prawda jest taka, że się zawahałem. O sekundę zbyt długo. Zamiast nacisnąć spust, pojawiły się we mnie obawy lub wątpliwości. Nieważne przed czym.

Dostrzegam światelka mieniące się przed jednym z budynków. Na parkingu jest sporo aut, ale mało osób. Właściwie widzę tylko jedną kobietę, która zmierza w stronę drzwi. Nie zdążę jej zatrzymać.

Mimo to zjeżdżam z drogi i zatrzymuję samochód. Buzuje we mnie napięcie. Wciąż mam erekcję i pomiędzy wszystkimi innymi wyobrażeniami przewija się to, jak wyglądałaby tamta dziwka nago. Co bym z nią zrobił? Spenetrowałbym ją butelką albo drutem. Rozerwałbym ją i nie przestawał. A kiedy bym wreszcie doszedł, poszatkowałbym jej ciało. Na drobne kawałki, które nadawałyby się, żeby trafić na śmietnik. A może zatrzymałbym ją w swoim mieszkaniu?

Dość. Nie mogę więcej o niej myśleć. Muszę skupić się na terażniejszości i tym, jak sobie poradzić. Carol to już przeszłość.

Odkąd wróciłem do volkswagena, pokonałem kilkadziesiąt mil. A może wcale nie? Właściwie nie do końca zdaję sobie sprawę, gdzie jestem. Rozcieram opuszkami palców skronie i otwieram drzwi.

Viewmont High School. Baner nad wejściem do budynku informuje, że w środku dzisiaj trwa festyn. Bardzo dobrze. Uznaję to za szczęśliwy znak i ruszam w stronę szkoły. Na szczęście nie jest to jedna z tych placówek, które mają ochroniarzy oraz parkingowych w eleganckich

uniformach. W tym momencie w zasięgu wzroku nie ma tu nikogo. Ze środka dobiegają oklaski oraz gwizdy. To nie na moją cześć... A może?

- Bądźcie grzeczni, Ted Bundy nadchodzi - szepczę do siebie. - No, dalej. Bijcie brawo.

39.

Sala jest pełna gości. Dorośli, dzieciaki w różnym wieku, nastolatki. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Wszyscy są zwróceny w stronę sceny, choć nie obserwują przedstawienia tak, jak robi się to w teatrze. Rozmawiają, wymieniają się uwagami, komentują. Wiele osób się śmieje, jakby licealni aktorzy rzucali najlepsze żarty. Nawet ich nie słucham.

Zatrzymuję się przy wysokiej szafce przy wejściu. Na jej półkach leżą dziesiątki ulotek reklamujących przedstawienie oraz streszczających dotychczasową działalność artystyczną szkoły. Oglądam jedną z nich i odruchowo chowam do kieszeni.

Przenoszę wzrok na grupkę uczennic stojących na uboczu sali. Rozmawiają szeptem, w ogóle nie interesując się przedstawieniem. To ładne, zadbane dziewczyny z długimi włosami, w białych spódniczkach i rajstopach. Na ramiona mają zarzucone takie same czerwone pelerynki. Zapewne należą do poczty sztandarowej szkoły albo klubu cheerleaderek. Jedna z nich ma duże piersi, a dwie pozostałe wydają się niemal całkowicie płaskie. Mają piętnaście, może szesnaście lat. Są młodsze od Carol, a do tego jest w nich więcej świeżości. Zaczynam czuć zadowolenie, że tamtej suce udało się uciec. Właściwie nawet nie była w moim typie i w markecie mogłem wybrać zdecydowanie lepiej.

„Wybrałem bezpiecznie” - poprawiam się. Była sama, sprawiała wrażenie gotowej do pomocy i sympatycznej. Miała ładną figurę. Zresztą nie chodzi o bezpieczeństwo, lecz o wygodę.

Nagle wybuchają gromkie oklaski. Wyrwany ze wspomnień aż podskakuję. Jakaś krępa, niska kobieta nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy. Robię krok w jej stronę.

– Czy tamten niebieski buick to pani auto? – pytam, przekrzykując wrzawę. – Ten, który stoi przed wejściem.

– Nie. A czy coś się stało?

– Muszę zidentyfikować jego właściciela.

– Pan jest...

– Z policji. Detektyw...

Bełkotliwie wymawiam nazwisko. Sięgam do kurtki, ale nawet nie wyjmuję portfela. Przechodzę obok kobiety, która zaczyna rozmowę z kimś innym. Jakieś dziewczęta przytulają się do niej. To pewnie nauczycielka, która miała swój wkład w organizację przedstawienia.

– Muszę odebrać brata z lodowiska.

Wyraźnie słyszę to zdanie i zamieram w bezruchu. Stoję odwrócony plecami, lecz wiem, po prostu podświadomie wyczuwam, że jedna z nastolatek kieruje się do wyjścia. Zmierza w stronę korytarza. Spuszczam głowę, a po chwili słyszę brzęknięcie otwieranych drzwi. Do szkoły wpada powiew chłodnego powietrza.

Przyśpieszam kroku. Dostrzegam jasną brunetkę z przedziałkiem pośrodku głowy, która poprawia kurtkę przed samym wejściem. Obraca się bokiem i kiedy wychodzę, nasze spojrzenia się spotykają. To ta nastolatka z dużymi piersiami.

– Cześć! – Uśmiecham się do niej. Omiotam wzrokiem okolice, ale teraz poza nami na parkingu nie ma nikogo. W końcu to kulminacyjny moment przedstawienia. – Czy tamten buick to twoje auto?

– Tamten?

– O tam, widzisz? Ten niebieski...

Dziewczyna marszczy czoło i mruży oczy. W tym momencie zatykam dłonią jej usta, po czym natychmiast włokę ją do stojącego tuż obok volkswagena. Wreszcie. Udało mi się. Nie pozwolę jej uciec.

Licealistka szamocze się, lecz nie ma ze mną żadnych szans. Bez problemu wrzucam ją do auta. Zupełnie jak szmacianą lalkę.

40.

– Krzyczenie nie ma sensu. Nikt cię nie usłyszy.

Dziewczyna milczy. Jest posłuszna i zrezygnowana. Kiwa głową. Przyciska ręce do nagich piersi. Ma na sobie spódniczkę, gdyż zostawiłem ją sobie na koniec. Po kolei. Wszystko należy smakować, a nie ma nic przyjemniejszego niż stopniowe delectowanie się podnieceniem.

– Czekałem na ciebie cały wieczór – ciągnę. – To coś wyjątkowego. W samych gwiazdach zostało zapisane, że trafię właśnie na ciebie. Nie można z tym walczyć.

– Proszę... – skomle dziewczyna. – Wypuść mnie.

Drży i głośno pociąga nosem. Widzę gęsią skórę na jej skórze. To mnie dodatkowo podnieca.

– Proszę... – powtarza.

Głośno wzdycham. Robię kilka kroków to w jedną, to w drugą stronę i nagle chwytam łom. Znajdujemy się w niewielkim pomieszczeniu o drewnianej podłodze i szczelnych oknach. Przysłoniłem je folią. W rogu stoi zapalona lampka. Jej klosz skierowałem tak, by światło padało tylko w najbliższym promieniu.

Robię zawrót i podchodzę do dziewczyny. Unoszę łom, a ona niemo się kuli. Nie krzyczy ani nie płacze. Po prostu wciąga powietrze, jakby była świadoma, że to jej ostatni oddech. Zaciska oczy.

– Obrywasz przez Carol – rzucam, choć nie może wiedzieć, o co mi chodzi. – To do niej miej pretensję. Mała pinda uciekła przede mną. Rozumiesz?

– Ja...

– Mogła tu trafić zamiast ciebie, ale cię wystawiła.

Odrzucam pręt na bok, a dziewczyna nieco się rozluźnia. Była przekonana, że spadną na nią kolejne razy zadane łomem. Przeciagam chwilę najwyższej ekscytacji. Mogę zrobić z nią, co tylko zapragnę, i nikt mnie nie powstrzyma. To dziewica. Jestem o tym przekonany, choć wszystko okaże się niebawem.

– Nie zabiję cię – szepczę. – Jeszcze nie. Chyba że będziesz mi się opierała...

– Nie, proszę... Zrobię, co zechcesz... Ale wypuścisz mnie, prawda? Wypuścisz?

Licealistka skomle. Łka, ale co rusz przełyka łyzy. Stara się mnie nie zdenerwować. Już poznałem te sposoby wkradania się w moje łaski.

– Ściągaj spódnice. I majtki.

– Proszę...

– Zrób to!

Robię krok w stronę łomu. Dziewczyna, cicho popłakując, zaczyna się rozbierać. Wyprostowuję się i spoglądam na jej drżące gołe ciało. To na pewno dziewica. Wyczuwam je z odległości paru mil.

Zagryzam usta, szykując się na wyborną ucztę. Ponownie kręci mi się w głowie i miękną pode mną nogi. Uwielbiam ten stan. Warto było czekać.

41.

1975 R.

– Dziewczyna, która zaginęła, ma na imię Debra. Debra Jean K. Ma siedemnaście lat i uchodzi za jedną z najlepszych uczennic w szkole.

Thompson uważnie się mi przypatruje. Nie wiem, czego się spodziewa. Że wybuchnę płaczem? Przyznam się do morderstwa? Właściwie na wspomnienie tamtej dziewczyny robi mi się dość przyjemnie. Spędziliśmy miłe chwile. A potem...

- Co się z nią stało? - dopytuję niewinnie. - Udało się ją odnaleźć?

- Na razie nie.

- Uch. Może wyjechała gdzieś z chłopakiem? Pewnie ma chłopaka? - Rozkładam ręce i robię minę, jakbym naprawdę chciał im pomóc w poszukiwaniach. - Albo znalazła gdzieś pracę i chce dorobić z dala od rodzinnego zgiełku?

Thompson parska. Drugi policjant przez cały czas notuje, choć moje zeznania nie trafiają chyba do oficjalnego protokołu. To nieformalna rozmowa. Obaj gliniarze są zdenerwowani. Dłonie detektywa drżą i co chwilę to je zaciska, to rozluźnia. Drugi policjant zerka na mnie tylko wtedy, gdy zdaje mu się, że na niego nie patrzę. Jeżeli nasze spojrzenia się krzyżują, natychmiast odwraca wzrok. Nie odzywa się.

- Więc? - Odchyłam się w krześle i unoszę brwi. - Chcieliście panowie porozmawiać o zaginionej? Nie pomogę wam. Przykro mi.

Detektyw powoli obchodzi biurko. Po raz kolejny nerwowo bębni w nie palcem. Pot skrzy się na jego skroniach oraz podbródku. Podkręcone grzanie to broń obosieczna. Zerka na mnie, lecz milczy. Sięga do teczki pozostającej poza moim wzrokiem i znowu z niej coś wyciąga.

- To też przypadek? - pyta kpiącym tonem. - A może jednak nie?

Thompson kładzie przede mną kolejną torebkę na dowody. Tym razem również znajduje się w niej jakaś broszura. Przysuwam się do biurka i uważnie przyglądam się zawiniątku. Tak. Doskonale wiem, co to jest. Rozluźniam się, gdyż nie spodziewam się, aby detektyw natrafił na jakieś mocniejsze tropy. Sądzę, że właśnie rozgrywa partię swoimi najmocniejszymi kartami. Uśmiecham się pogodnie.

- To mapa ośrodków narciarskich - stwierdzam. - Chce pan poszusować moim śladem? Chętnie polecę kilka z nich. Znam naprawdę świetne trasy.

Uśmiecham się jeszcze szerzej. Policjanci pozostają jednak śmiertelnie poważni. Thompson dotyka broszury przez folię. Puka opuszką palca w jakieś miejsce.

- A to? - pyta z wymownym grymasem na twarzy. Porusza nozdrzami jak pies, który zwęszył trop. Zaczyna się irytować. - Co to jest, do cholery?

- Zakreślone miejsce w Snowmass Village. Przypuszczam, że Wildwood Inn.

- Właśnie.

- Chyba był tam niezły parking, na którym zrobiłem postój. Szuka pan dobrych miejsc parkingowych? Mogę panu kilka polecić.

Thompson zbywa moją uwagę gniewnym parsknięciem. Na twarzy ma coraz mocniejsze wypieki.

- Wie pan, co tam się stało? - pyta niemal sykiem.

- Nie mam zielonego pojęcia. Ale strzelam, że mnie pan oświeci?

Oczywiście, że to zrobi. Pewnie nie może się tego doczekać.

42.

2 STYCZNIA 1974 R., SNOWMASS VILLAGE

Wildwood Inn¹¹ to przyjemny motel. Kiedyś planowałem tu kilkudniowy pobyt, ale... Nie mam ochoty na narty. Odkąd tamta smarkuła uciekła mi sprzed nosa, zmieniłem się. Czuję potworne zmęczenie, a zarazem pobudzenie.

Dobrze poznałem ten stan. Liczyłem, że uda mi się od niego uwolnić. Wyrzuty sumienia nigdy się nie pojawiają, ale obawa, że mnie wytropią - owszem. Wciąż przed oczami mam tamto auto, do którego wsiadła... Już zapomniałem jej imienia. Clar... Cler... Ach, tak, Carol. Właśnie.

Spółeczeństwo wiele spraw kompletnie wypaczyło. Ludzie nie rozumieją, czym jest zło ani na czym powinien polegać system karny. Przydałaby się odrobina anarchii. Kiedy myślę o tym, jak na wiecu

republikanów z kamienną twarzą wygłaszałem farmazony, chce mi się śmiać.

Nie. Nigdy nie byłem naiwny. Chodziło wyłącznie o ustawienie się i zapewnienie sobie ciepłej posadki. Przyszłości. Wbrew temu, co uważała Diane. Miałem zdroworozsądkowe podejście, dla którego marzenia stanowiły jedynie punkt wyjścia.

Być kimś. Zostać ważniakiem z Waszyngtonu lub jakiegoś porządnego stanu. Czy to by mnie zmieniło? Czy gdybym wkręcił się w tryby polityki, a Diane nie zostawiła mnie na lodzie, byłbym kimś innym, niż jestem? A może uganiałbym się po podobnych motelach, tyle że w droższym garniturze i lepszym aucie? Co za różnica? Byłbym dokładnie taki sam, choć zapewne w inny sposób realizowałbym swoje pragnienia. Jakiś psychiatra nazwał je w artykule dla prasy instynktem. Niech mu będzie, to brzmi całkiem ciekawie. Wilki mają instynkt. Ale mają go również barany.

Nie przeniosłem rzeczy z auta do pokoju. Ciągle się waham, co zrobić. Jutrzejszy dzień zapowiada się potwornie nudno i nawet gdyby udało mi się pojeździć, wieczorem ponownie pojawi się rozczarowanie. Pustka. Poza tym właśnie oszukuję sam siebie. Nie przyjechałem tu, aby spędzić spokojną noc. Sam już nie wiem, czego chcę. Dawno nie byłem tak pobudzony.

Nagle gdzieś obok słyszę szmer rozsuwających się drzwi windy. Z kabiny wychodzi roześmiana dziewczyna w białym sweterku i z gładko uczesanymi włosami.

- Do widzenia. - Macha do kogoś, kto został w kabinie. - Do jutra.

Drzwi się zasuwiają, a dziewczyna, nie patrząc na mnie, rusza korytarzem.

- Przepraszam, czy mogłaby mi pani pomóc z walizką? - zagaduję, robiąc smutną minę. - Urwała mi się rączka. Czekam na żonę, ale gdzieś się rozminęliśmy...

Dziewczyna zerka na mnie, wyrwana z zamyślenia.

- Z walizką?

– Mam ją w aucie... Myślałem, że poproszę jakiegoś mężczyznę, ale na nikogo nie mogę trafić.

– A portier?

Odpowiadam automatycznie, jakbym od dawna miał przygotowaną odpowiedź. A może one wszystkie tkwią gdzieś we mnie, stanowiąc fragment alternatywnej rzeczywistości?

– Nie mogłem opuścić recepcji.

– Ach... Gdzie ta walizka?

– Zostawiłem ją w aucie. Rączka urwała się w momencie, gdy wyciągałem ją z bagażnika.

Dziewczyna obrzuca mnie zrezygnowanym spojrzeniem. Ma ładne, błyszczące oczy.

– No, dobrze. Czemu nie?

– Dziękuję! – Uśmiecham się, po czym dodaję: – Wcale nie jest ciężka, ale bardzo nieporęczna. Wystarczy, że wyjmiesz ją na zewnątrz, a potem jakoś ją dotaszczę.

– Pomogę panu.

Dziewczyna zerka w stronę drzwi najbliższego pokoju, jakby chciała jeszcze do nich zapukać. Widzę to i szybko ruszam ku klatce schodowej.

– Za minutę będzie pani wolna.

Kątem oka ponownie zerkam na dziewczynę. Na szczęście zarzuca zamiar powiadomienia kogoś o drobnym opóźnieniu, z którym pojawi się w pokoju. Rusza za mną. Po chwili znajdujemy się na dworze i kierujemy się do mojego volkswagena.

– To tutaj. – Wskazuję palcem i wyciągam kluczyki. – Zaraz otworzę bagażnik.

Dziewczyna się nie odzywa. Podchodzi do bagażnika, lecz najpierw otwieram drzwi pasażera. Nachylam się i ukradkiem sięgam po łom. Rozglądam się przez przednią szybę po okolicy. Na parkingu jesteśmy tylko we dwoje.

- Czy zamek się zwolnił? - pytam, choć garbus nie ma żadnego mechanizmu zwalniającego zamek. - Proszę zobaczyć.

Dziewczyna odwraca się do mnie bokiem. Ściskam łom i błyskawicznie do niej dopadam. Zadaję jej mocny cios prosto w czaszkę. Upada na auto, lecz nie pozwalam jej ciału runąć na ziemię. Chwytam ją pod ramiona i wlokę ku otwartym drzwiom volkswagena.

43.

Dziewczyna zaczyna odzyskiwać przytomność. Cicho mamrocze, jęczy i się wierci. Nagle otwiera oczy.

- Cześć - szepczę - to ja. Nie wiem, czy mnie pamiętasz.

Świecę jej prosto w twarz latarką. Nie może mnie widzieć. Znajduję się poza zasięgiem światła. Skupiają się na niej moja wściekłość i żądza, przez cały dzień szukająca ujścia.

- Będziesz moja. Tylko moja...

Dziewczyna nadal jest otumaniona, lecz zaczyna drżeć. Ułożyłem ją tuż obok auta na poboczu jednej z nieistotnych górskich drózek. Nawet gdyby ktoś tędy jakimś cudem przejeżdżał, niczego nie zobaczy. Na wszelki wypadek wsadziłem jej w usta knebel, a dłonie skrępowałem.

Przyglądam się jej przez chwilę. Na skroni ma roztartą smużkę krwi. Pukiel sklejonych włosów żałośnie przykleił się do jej czoła. Dziewczyna podkula nogi i stara się zwinąć w kłębek. Łka. Wpatruje się prosto w latarkę, usiłując rozróżnić zarys mojego ciała.

Ma zgrabne, chude łydki i kształtne uda. Mocno zarysowane piersi poruszają się pod białym swetrem, na który skapnęło kilka kropli krwi.

Dyszę. Przypatruję się jej, wiedząc, że jest całkowicie moja. Nie popełnię błędu sprzed parunastu tygodni. Nie pozwolę jej uciec.

Biorę zamach łomem. Dziewczyna tego nie widzi, ale zapewne słyszy świst przecinanego stałą powietrza. Odruchowo krzywi się i usiłuje skulić.

Cios rozwala jej czaszkę. Włosy zaplątują się w łom i wiem, że wyrrywam całe ich kosmyki. Nadrywam jej skórę. Ale to nic.

Uderzam jeszcze raz, teraz bliżej prawego ucha. Dziewczyna intensywnie mruga i dostaje drgawek. Jej dłonie oraz stopy drżą spazmatycznie. Wtedy zadaję trzeci cios. Ponownie niemal w sam środek czaszki. Przez otwarte drzwi wrzucam łom do volkswagena. Z kurtki wyciągam przygotowany wcześniej nóż.

– Nie opieraj się, to nic nie da – szepczę.

Zadaję jej kilka ciosów na oślep. W brzuch, w okolice krocza, w rękę. Dziewczyna przestaje drzeć, a jeden z moich ostatnich razów odcina kawałek jej lewego ucha. Ogarnia mnie niemożliwe do opanowania podniecenie.

Pośpiesznie rozrywam jej ubranie. Muszę zobaczyć jej piersi, jej brzuch, jej łono. Zrywam z niej postrzępiony sweter i zakrwawiony stanik. Co chwilę przyświecam sobie latarką. Piersi... Ma naprawdę ładne piersi. Dotykam ich i niemal tracę dech. Padam obok niej na kolana. Gładzę jej brodawkę sutkową. Ściskam ją między palcami. Z rany zadanej tuż obok wypływa spieniona ciemna krew. Uważam, aby jej nie rozmazać.

Mógłbym już dojść, bez dłuższego dotykania jej ciała i bez jakiegokolwiek penetracji. Ale wiem, że potem będę rozczarowany. Staram się nieco opanować. Ściągam z niej spodnie i majtki. To najpiękniejsze momenty mojego życia.

44.

1975 R.

– Nazywała się Caryn Eileen C. – Thompson spogląda na mnie z rękoma założonymi na piersiach. – Jej zamarznięte ciało znaleźliśmy miesiąc po jej śmierci. Leżała w krzakach przy drodze stanowej.

Teatralnie przewracam oczami.

- Przykro mi. Ale nie rozumiem, jaki miałbym mieć związek z tą dziewczyną. W tamtym motelu byłem jedynie przejazdem.

- Przypadkowo, no nie?

- Życie to seria przypadków. Niektórzy nazywają je zbiegami okoliczności, a inni wypadkową koniunkcji gwiazd. Ci ostatni to astrologodzy.

Detektyw zaciska szczęki. Mięśnie jego żuchwy drżą. Robi krok w moją stronę i zaciska pięści. Wygląda, jakby zamierzał mnie za moment uderzyć. Nie robi to na mnie żadnego wrażenia. Wyprostowuję się i spoglądam mu prosto w oczy.

- Morderca musi być debilem, skoro porzucił ją przy drodze stanowej - stwierdzam obojętnym tonem. - Mógł zrobić to gdzieś na uboczu.

Nagle Thompson się zatrzymuje i koniuszkiem języka oblizuje wargi. Na coś wpadł. Kiwa głową, po czym rękawem ociera pot z czoła. Przygląda mi się drapieżniej niż dotąd.

- Nie powiedziałem, że ją zamordowano - cedzi z chytrym uśmiechem. - Powiedziałem, że odnaleźliśmy jej ciało.

Drobna wpadka, ale i tak bez znaczenia. Wiem, że policjanci nie mają na mnie nic więcej. Za zbiegi okoliczności nikt nie trafił do pułta.

- Uznałem, że o to właśnie panu chodzi, detektywie. Wydaje mi się, że to sugerujecie. Chyba się nie myliłem?

- Równie dobrze mogłoby chodzić o wypadek samochodowy. Potrącenie albo coś.

Thompson zerka na drugiego policjanta, lecz ten niezmiennie nawet na mnie nie patrzy. Nie podnosi wzroku znad notatek.

- Wypadek samochodowy... - Wzruszam ramionami. - W takim razie dlaczego miałyby zaginać w motelu? I to w zupełnie innym miejscu? Chyba że chodzi o potrącenie wózkiem na pranie...

Ponownie się uśmiecham. Teraz już po minach obu gliniarzy wiem, że wyprztykali się z wszystkich kart. Z ulgą powoli nabieram powietrza i je wypuszczam.

- Panie Bundy... - Detektyw odzywa się formalnym, poważnym tonem. Sięga po notatnik drugiego funkcjonariusza, przebiega wzrokiem zapisane przez niego strony, po czym mlasnąwszy, odkłada go na biurko. - Panie Bundy... - powtarza - w uzgodnieniu z prokuratorem zdecydowaliśmy się nie przedstawiać panu jeszcze żadnych zarzutów.

- Jeszcze?

- Dobrze pan słyszał. Pozostanie pan pod dozorem policji, ale o tym porozmawiamy po wypełnieniu paru dokumentów.

- Świetnie. Przecież nie mam nic do ukrycia.

Zrywam się z krzesła i kieruję się do wyjścia. Thompson zachodzi mi drogę.

- Radziłbym panu uważać i być z nami całkowicie szczerym. To może wiele ułatwić.

- Ułatwić? Na przykład co?

- Uparci ludzie nie mają taryfy ulgowej. Kończą na pełnym napięciu i przy mrugającym świetle.

Rozumiem tę durną aluzję. Thompson bez słowa puszcza mi oko i przesuwam się spod drzwi. Staram się zachować niewzruszoną minę. Może i mają swoje atuty, ale popełnili ogromny błąd. Przegapili kolekcję zdjęć ukrytych w moim mieszkaniu. To kilkadziesiąt fotografii wykonanych polaroidem. Tak, dobrze się domyślacie, co na nich było.

45.

Wiem, że gliniarze mnie obserwują. Nieraz widuję dwóch tępych gostków obzerających się w aucie stojącym przed budynkiem, z którego akurat wychodzę. Czasem nawet się nie ukrywają. Opuszkami palców

zsuwają okulary na czubek nosa, jakby chcieli dać mi do zrozumienia, że śledzą każdy mój ruch. Proszę bardzo.

Gdybym miał na to ochotę, mógłbym zrobić, co tylko zechcę. Uciec im, zgubić trop, zmienić miejsce zamieszkania. Oni wszyscy są tak samo głupi. Nie ma policjantów mądrzejszych od rodziców chcących znaleźć swoje dzieci. A z takimi poszukiwaniami sami wiecie, jak jest...

Wychodzę przed ogromny budynek świątyni Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Więcej zapewne mówi wam nazwa – mormoni. Tak, właśnie się ochrzciłem. Nie czuję specjalnej odnowy w swoim życiu duchowym. Właściwie sam nie wiem, czy w cokolwiek wierzę, ale religia bywa wygodna. W razie spraw sądowych dobrze wygląda przedstawienie się jako żarliwy wyznawca lub przynajmniej członek jakiejś grupy religijnej.

Policyjny czarny wóz zaparkowany jest nieopodal wejścia, przed długim zielonym trawnikiem. Być może siedzi w nim sam Thompson albo ktoś bardzo do niego podobny. Przez myśl przechodzi mi, aby do niego podejść i się przywitać. Zarzucam jednak ten pomysł.

Wolę pozostać w roli gorliwego chrześcijanina. Chrzanić stanowisko katolików albo innych wyznań. Wszyscy wiedzą, że mormoni są nieszkodliwymi, pracowitymi ludźmi. A ich zasady... Umiarkowanie w jedzeniu i piciu, wstrzemięźliwość seksualna, unikanie hazardu – to wszystko brzmi jak wzorzec idealnego obywatela.

Z ubóstwionym wyrazem twarzy przechodzę obok nieoznakowanego radiowozu. Staram się cicho pogwizdywać. Pokój z wami, panowie. Życzę wam wszystkim jak najlepiej. Naprawdę.

Spoglądam na kobietę, która idzie w słońcu przede mną. Ma zwiewną sukienkę, długie nogi i nagie ramiona. Jak zwykle natychmiast staram się wyobrazić jej nagie ciało. To całkiem proste. Momentalnie zapominam o policjantach i przyspieszam kroku. W trzech, czterech susach mógłbym do niej dopaść i powalić ją na ziemię. A gdybym gdzieś tu, w pobliżu, miał swoje auto...

Dość. Przerywam fantazjowanie i wkładam dłonie do kieszeni. Jestem urodzony na nowo. Ochrzczony. Powinienem jeszcze raz udać się do tamtego cholernego biura w Burlington i zabrać z niego wszystkie dokumenty. Powinienem stworzyć się od początku. Dlaczego, u licha, człowiek nie ma takiej mocy? Dlaczego ja jej nie mam?

46.

STYCZEŃ 1969 R., BURLINGTON

Z niedowierzaniem spoglądam na kolejne rubryki. Przy biurku obok ktoś wstaje i głośno składa teczkę. Jakiś naukowiec z wielkimi okularami na czubku nosa przerzuca strony wielkiej księgi. Co rusz przy tym wzdycha i coś do siebie szepcze. Obok księgi ma rozłożony notes w skórzanej oprawie, w którym zapisuje coś piórem. Dziwny człowiek.

Zawsze to robię. Gdy coś mnie poruszy, skupiam uwagę na innych. Myślę o nich, analizuję ich i staram się zająć nieistotnymi szczegółami. Tyle że ja już to zobaczyłem i nie mogę o tym zapomnieć. Zrobiłem to, co chciałem od wielu lat. Kurtyna opadła, wszystko jest jasne.

Stukam palcami w blat biurka i nerwowo się poruszam. Wiercę się. Mam wrażenie, że wszystko mnie swędzi i że w pomieszczeniu zrobiło się bardzo duszno. Odciągam kołnierzyk koszuli, po czym zerkam ku urzędnicze. Nie. Jest krępa, nieświeża i w wieku poza moimi standardami. Nie zmuszę się, by myśleć o jej nagim ciele.

Opieram czoło na dłoni i biorę kilka głębokich oddechów. Czy mogłem spodziewać się czegokolwiek innego? Przecież wszystko jest jasne. Zgodne z różnymi przypuszczeniami.

A mimo to do gardła podchodzi mi żółć. Mam ochotę wymiotować. Wierzchem dłoni ocieram usta i kilkakrotnie przełykam ślinę. W ustach robi mi się zupełnie sucho.

„Jesteś bękartem” – doskonale pamiętam te słowa. Padły z ust kilku osób, które musiały wiedzieć o mnie więcej niż ja sam.

Ukradkowe spojrzenia oraz rozmowy prowadzone szeptem towarzyszyły mi od zawsze. Worthington, Marshal, Samuel Cowell.

Można stawiać na tego ostatniego. Tyle że w akcie urodzenia wyraźnie napisano, że moja matka to nie Eleanor Miriam, ale Eleanor Louise, czyli Louise – moja siostra! To dlatego bez problemu wyjechaliśmy z Filadelfii. To nie było porwanie brata, lecz wyjazd z synem u boku.

Nagle myślę o tych wszystkich sytuacjach, w których ją nakryłem na igraszkach z różnymi facetami albo przypadkowo widziałem ją nago. Matkę. Nie siostrę. A to jest spora różnica.

No i mój ojciec. Czas zdradzić wam plotkę, która krążyła przy mnie przez całe życie. Louise to moja mama, ale mawiano, że spłodziła mnie z Samuelem Cowellem. Własnym ojcem.

Oszukiwano mnie, odkąd się tylko urodziłem. A ja udawałem, że nic o tym nie wiem.

47.

1969 R., STAN WASZYNGTON

Wszystkie kobiety kłamią. Diane, Louise, moja matka, która tak naprawdę jest moją babcią. Niech to szlag. Dla żadnej z nich nie liczyło się nic poza własnym komfortem. Można się było mną posłużyć, byle tylko samemu nie miało się problemów. Kiedy o tym myślę, mam ochotę rozwalić sobie głowę o ścianę. Włożyłbym ją w imadło lub zacisnął na niej stalowe kleszcze. Roztłukłbym ją, żeby pękła jak jajko.

Od kilkunastu dni znów jestem w stanie Waszyngton. Włóczę się po okolicy i staram się odnaleźć w tym jakiś sens. Sens samego siebie. Ach, pieprzę jak potłuczony.

Wychyłam do dna szklanke piwa i wskazuję barmanowi, by nalał mi kolejne. Poprawiam się na obrotowym hokerze ustawionym przy kontuarze. Szumi mi w głowie i choć mam ochotę wypić coś mocniejszego, wiem, że to by mnie zabiło.

– Słaby dzień?

Zdaję sobie sprawę, że to pytanie skierowano do mnie. Podnoszę głowę i spoglądam na szczupłą brunetkę o owalnej twarzy, która wpatruje się we mnie z zadziornym uśmiechem. Popija przez słomkę jakiegoś kolorowego drinka. Zdaje się, że jest lekko wstawiona, ma na policzkach wypieki, a jej oczy się błyszczą. Siada na hokerze obok mnie i zaczyna wystukiwać stopami rytm piosenki wygrywanej przez jazzband.

– Słaby tydzień albo cały miesiąc, a może nawet całe życie – odpowiadam ponuro. Momentalnie jednak zmieniam ton. – Ale widzę, że może być zdecydowanie lepszy.

– Wiem coś o słabych tygodniach albo miesiącach. – Kobieta puszcza mi oko, po czym wyciąga do mnie dłoń. – Elizabeth K. Liza.

– Theodor... – Waham się, czy wypowiedzieć to nazwisko. Używam go jednak od wielu, wielu lat, więc unikając go, pozbawiłbym się własnej historii. – Theodor Bundy. Ted.

Ściskamy sobie dłonie i po chwili kobieta unosi szklanke w geście toastu. Stukam się z nią swoją szklanką.

– Za słabe tygodnie? – pytam.

– Nie. Za te lepsze.

– Ach. Właśnie. Za te lepsze.

– Do dna?

Rywalizacja jest nierówna, bo ona już kończy swojego drinka, a ja dopiero dostałem piwo, lecz wypijam całą zawartość szklanki. Natychmiast czuję, jak alkohol rozlewa się po moim ciele. Mięśnie się rozluźniają, krew uderza mi do głowy. Momentalnie czuję się lepiej. Uśmiecham się i spoglądam na Elizabeth. Jest ładna. Bardzo ładna.

- Może pójdziemy na spacer? - proponuję. - Chyba muszę się przewietrzyć. Załatwiłaś mnie tym toastem.

Kobieta chichocze. Klepie mnie po ramieniu i wskazuje palcem na swoje uszy. Daje mi do zrozumienia, żebym mówił głośniej, bo zagłusza mnie muzyka.

- Chodźmy na spacer! - krzyczę. - Spacer!

- Teraz usłyszałam - rzuca rozbawiona. - Chodźmy. Spacer to bardzo dobry pomysł.

48.

- To moja córka, Molly.

Spoglądam na dziecko, które Elizabeth trzyma za rękę. To dziewczynka, o której trudno powiedzieć cokolwiek konkretnego. Dla mnie wszystkie dzieci wyglądają tak samo, pachną tak samo i zachowują się tak samo. Nie znam się na nich. Nie przepadam za nimi, a jednak gdy Molly się do mnie uśmiecha, czuję się przyjemnie.

- Cześć, moja mała.

Ściskam malutką rączkę, a dziewczynka spuszcza wzrok. Nie boi się mnie, lecz chichocze.

- Ma trzy lata. - Elizabeth czuje się zobowiązana zreferować mi fakty dotyczące córki. - Z jej ojcem nie utrzymuję kontaktu. To sukinsyn.

Tyle mi wystarcza. Nie zamierzam dopytywać o nic innego. Poza tym już z wcześniejszych rozmów dowiedziałem się, że Elizabeth poznała tego faceta na Uniwersytecie Waszyngtońskim, gdzie jest sekretarką. Być może to wykładowca, a może student. Mniejsza z tym. Choć może, gdyby się dało, mógłbym jakoś wykorzystać jego pozycję? Ciekawe, czy jest kimś istotnym. Na razie zostawiam ten temat.

- Wejdz. Tam jest kuchnia, tam salon, a tam... Sypialnia.

Elizabeth wykonuje zapraszający gest. Przechodzę obok niej i wkraczam do niewielkiego pomieszczenia o nieregularnym kształcie. Pośrodku stoi stół nakryty obrusem oraz zastawą. Pali się na nim czerwona świeczka.

– Zupełnie jak w święta – rzucam i puszczam do Elizabeth oko.

Kobieta czerwieni się, a ja domyślam się, że ją zawstydzilem.

– To nasze małe święto. – Staram się wybrnąć. – No nie?

– Aha. Siadaj. Wybierz miejsce, gdzie ci najwygodniej.

Kieruję się do najbliższego krzesła, po czym zatrzymuję się tuż przy nim. Opieram się o drewniane wezglowie.

– Może ci w czymś pomóc?

– Nie, dzięki. Daj mi sekundkę i się rozgość. Molly! Idź do pana Teda.

– Teda – poprawiam ją. – Może mi mówić po imieniu.

Po chwili Elizabeth wychodzi z kuchni. W dłoni trzyma tacę z parującym daniem, a na jej twarzy figuruje wyraz mieszaniny wdzięczności oraz zakłopotania.

– Lasagne według przepisu mojej matki. Co by nie mówić, jej zawsze wychodzi fantastyczne, ale chyba nie poszłam w jej ślady.

– Pachnie wybornie. Nie mogę się doczekać!

– Aaa! Mam coś.

Zza poły marynarki wyjmuję butelkę wina. Uśmiecham się i stawiam ją na stole.

– Również będę miał swój wkład w świąteczną atmosferę. Mam nadzieję, że lubisz wino?

– Wszystko, co ma procenty, jest dobre. Och, nie zrozum mnie źle, ale...

Macham ręką. Elizabeth strasznie przejmuje się swoimi słowami. Pilnuje się, obawia się moich reakcji i sprawia wrażenie, jakby sądziła, że lada moment obrażą się i wyjdą z jej domu.

– Zgadzam się – mówię, zrywając banderolę. Odkręcam korek i nalewam wino prosto do szklanek. – Wszystko, co ma procenty, jest

dobre. I nie trzeba do tego królewskiej etykiety.

To wystarczy, by ją rozluźnić. Elizabeth uśmiecha się z ulgą, macha do córki i zaczyna kroić lasagne.

– To jak... Rodzinne święta – stwierdza nieśmiało. – Ale się cieszę, że tu jesteś, Ted. Dziękuję. Naprawdę bardzo ci dziękuję...

– Ja też się cieszę.

49.

1971 R.

Ciekawe, co teraz powiedziałyby o mnie Diane. Ułożone życie, wyróżniony student psychologii Uniwersytetu Waszyngtońskiego, kobieta, która mnie kocha, czeka na mnie w domu. Poukładane pod sufitem, niezłe perspektywy, odłożona gotówka.

A mimo to... Diane. Wciąż siedzi mi w głowie. Mimo że minęło kilka lat, jej wspomnienie powraca jak przekleństwo. Kompletnie zawróciła mi we łbie. Elizabeth jest całkowicie inna. Wiem, że przy Diane mógłbym osiągnąć znacznie więcej. Mógłbym z łatwością wspiąć się jeszcze wyżej i mieć ją przy swoim boku we wszelkich salonach tego świata.

A Elizabeth? Jest miła i troskliwa, lubi seks, nie ma żadnych oporów, a mimo to... Mimo to jest w niej coś, co sprawia, że nie pasuje do wykwintnego towarzystwa. Skromność? Jakieś dziwne wycofanie albo nawet brak pewności siebie? Nie do końca. To ona przecież zagadła do mnie w tamtym barze. Mogła to być jednak kwestia wypitego alkoholu i desperacji.

Czy jestem wytworem jej desperacji? Czy jest nim nasz związek?

Dość. Elizabeth często wywołuje we mnie myśli pełne napięcia. Frustrację. Dobrze mi z nią, ale wspomnienie Diane wraca zbyt często. Kim jest teraz? Jak potoczyło się jej życie?

Tak bardzo upierała się, żebym spojrział na świat zdroworozsądkowo. Żebym dał sobie spokój z polityką i wyrobił sobie jakiś zawód. Prawo, psychologia... No i praca. Tę również zdobyłem, i myślę, że Diane byłaby ze mnie zadowolona.

To wymagająca, a zarazem bardzo odpowiedzialna fucha w Centrum Kryzysowym dla Samobójców¹². Muszę wykorzystywać całą wiedzę, jaką zdobywam w trakcie studiów.

Wpatruję się w telefon i czekam, aż zadzwoni. Czasem zastygam w bezruchu na wiele minut. Zbieram wtedy myśli lub po prostu odpoczywam. Kilkadziesiąt sekund rozmowy z potencjalnym samobójcą potrafi wykończyć. Choć jest jednocześnie diabelnie fascynujące.

Kim trzeba być, aby chcieć ze sobą skończyć? Jak bardzo trzeba upaść, żeby poczuć do siebie aż taką nienawiść? I właściwie czy to nienawiść do siebie, czy raczej do świata? Ciągle szukam odpowiedzi na te pytania.

Zapała się czerwone światelko i dzwoni dzwonek. Niemal natychmiast podnoszę słuchawkę.

- Halo? Tu Ted Bundy, Centrum Kryzysowe...

- Ted Bundy? - dobiega mnie damski, niski głos. - Kim pan, do cholery, jest?

- Pracuję w Centrum Kryzysowym, do którego się pani dodzwoniła. Jak sądzę, potrzebuje pani drobnej pomocy?

- Facet?

- Tak, jestem mężczyzną. Czy woli pani porozmawiać z kobietą? To żaden problem, jeśli tylko pozostanie pani na linii...

Dzwoniąca wchodzi mi w słowo.

- Nie, do diabła. Nie obchodzi mnie, z kim rozmawiam.

- Dobrze, bardzo ważne, abyśmy mogli pomówić zupełnie szczerze. Dzwoniąc pod ten numer, wykonała pani naprawdę wspaniały krok.

- Nie mam pojęcia, kim oni są.

– Przepraszam, ale nie do końca rozumiem. Kim kto jest? Czy ktoś jest obok pani?

– Oni nie żyją. Przechodzą przez ściany i kłębią się wokół mnie w pokoju. Rozumie pan? Co mam, do cholery, z nimi zrobić?! No, co?! Mów!

Kobieta wpada w histerię i zaczyna płakać. Staram się błyskawicznie wymyślić sposób działania. Podręczniki operatora centrum mają naczelną zasadę: „Jeśli nie wiesz, co powiedzieć, mów cokolwiek. A jeśli nie wiesz, co mówić, po prostu rozmawiaj”. To złota rada, lecz nim ją wykorzystuję, kobieta cicho wzdycha.

– Podciąłam sobie wszystkie żyły. Dokoła jest krew... Ale oni nie chcą odejść.

Uśmiecham się. To mimowolny grymas zafascynowania. Do czego zdolny jest ludzki umysł? Muszę przysłonić usta, aby nikt nie widział mojej reakcji. Nie potrafię powstrzymać się od chichotu.

50.

– Może do mnie mówić jak do taty. Niech nazywa mnie tatą. To będzie miłe.

– Naprawdę? – Elizabeth chwyta mnie za dłoń, lecz zaraz się cofa. – Żartujesz sobie?

– Nie, wcale nie.

Spacerujemy we trójkę po parku niczym przykładowa amerykańska rodzina. Jest ciepłe popołudnie i zdaje się, jakby połowa miasta miała ten sam pomysł. Tłok jednak mi nie przeszkadza. Przez cały czas mogę sobie wyobrażać rozmaite kobiety w dowolnych sytuacjach. To wyjątkowe ćwiczenie wyobraźni.

– Chcesz mówić do Teda „tato”? – Elizabeth kuca i zwraca się do Molly. – Będziesz tak robiła?

Dziewczynka uśmiecha się i kręci nóżką. Nieśmiało na mnie lypie, po czym spuszcza głowę.

- Tak - szepcze.

- Podoba ci się nazywać Teda tatą?

- Tak, tak, mamusi - zapewnia dziewczynka. - Bardzo.

Elizabeth podnosi się i bierze mnie pod ramię. Przez kilka minut spacerujemy w milczeniu. Widzę, że jej pierś faluje w przyspieszonym oddechu. Jest szczęśliwa. Molly również. Dostrzegam, że co chwilę zerka na mnie, pokazując szczerbaty uśmiech.

Mijamy rodziny podobne do nas. Mijamy też pary bez dzieci oraz grupki starszych ludzi siedzących na ławkach. Wszyscy wydają się rozluźnieni i zadowoleni. Pogoda robi swoje. Umysł ludzki to bardzo wrażliwy konstrukt. Wystarczy kilka hektopaskali różnicy, wystarczy więcej godzin naświetlenia i ekspozycji na słońce, a organizm człowieka potrafi ogarnąć euforia. Dni takie jak ten to spokojne dni w centrum kryzysowym. Ale kiedy tylko nadejdzie niż...

Elizabeth wyrывa mnie z zadumy. Mocniej przytula się do mojego ramienia i delikatnie mnie drapie.

- Co myślisz o tym, żebyśmy zrobiła sobie inną fryzurę? Ostatnio w poradniku modowym widziałam taką ciekawą kreację...

- Chodzi ci o zmianę koloru włosów? - dopytuję, odczuwając natychmiastową irytację. - Chcesz się pofarbować?

- Nie. Myślałam o zrobieniu sobie grzywki i wyrównaniu...

- Absolutnie - przerywam jej kategorycznie. - Przedziałek ma zostać na środku twojej głowy, rozumiesz? Tak mi się podobasz i tak ma być.

- Ted, po prostu chciałam coś zmienić. Tak żeby ci się podobało jeszcze bardziej.

- Tak jest idealnie.

- Ale...

- Dość! Jeśli zmienisz sobie fryzurę, skręcę ci cholerny kark.

Z nerwów niemal dyszę. Staram się uspokoić, aby nie zwracać uwagi przechodniów. I tak zerkają na mnie jak na furiata. Ale Elizabeth nie może nawet myśleć o innym uczesaniu. Ten przedziałek podoba mi się w niej najbardziej. Być może gdyby przesunęła go w którąś ze stron, straciłbym wobec niej całe pożądanie. A dawniej nie zwróciłbym na nią żadnej uwagi.

Elizabeth spogląda na mnie zaskoczona ostrością reakcji. Molly również jest zdenerwowana i szarpie ją za rękę.

– Co cię napadło, Ted? – szepcze. – Przestraszyłeś małą.

– Po prostu nigdy nie miej takiego pomysłu – cedzę. – Nie pomyśl, że zmianą fryzury zrobisz mi miłą niespodziankę albo coś w tym stylu. Lubię cię taką, jaka jesteś, i niczego nie zmieniam bez mojej zgody, dobrze?

– Ted...

– Powiedz, czy dobrze?! – Unoszę głos, ale zaraz odchrząkuję.

– Dobrze, niech ci będzie! – odpowiada gniewnie Elizabeth.

51.

1975 R., SALT LAKE CITY

Telefon uparcie dzwoni. To przekleństwo współczesnych czasów, ale nie można na nie poradzić. Jak wszystkie śmieci wymyślone przez człowieka, ma też swoje dobre strony. Przez głowę przemyka mi wspomnienie Centrum Kryzysowego, w którym pracowałem przed paru laty. Ileż to się zmieniło w ciągu tego czasu?

Wydaje mi się, że wciąż czuję zapach wody, którą mnie ochrzczono. Przed moim domem na pewno stoi nieoznakowany radiowóz. Być może kręci się przy nim paru gliniarzy w ciemnych okularach.

Przez całe życie towarzyszyło mi zbyt wiele telefonów. Cholera. I ten pieprzony dźwięk dzwonka, który penetruje mi mózg.

Podnoszę słuchawkę i przykładam ją do ucha. Nie odzywam się. Siadam na krześle i po cichym westchnięciu od razu domyślam się, kto dzwoni. Elizabeth.

- Ted, oni tu byli - mówi tonem, jakiego nigdy nie słyszałem. Jakby jej emocje oraz język sparaliżowano.

- Oni? - dopytuję, choć doskonale wiem, o kogo chodzi.

- Oni, policja.

- Czego chcieli?

Elizabeth wydmuchuje nos, ale nadal milczy. Chyba stara się opanować drżenie głosu. Zaczyna coś mówić, lecz łkając, połyka całe sylaby. Wreszcie odkasłuje jak dziecko po zbyt wyczerpującym płaczu. Widziałem to wielokrotnie u Molly.

- Powiedziałam im wszystko... - wyznaje nagle. - Rozumiesz?

- Nie, kochanie. Uspokój się i...

- Ted. Przestań pieprzyć tym swoim miłym głosikiem.

Odchrząkuję. W porządku, zrobmy to tak, jak lubię. Zagrajmy w otwarte karty.

- Co im powiedziałaś?

- Wszystko.

- Wszystko, czyli co?

- Ty wiesz, Ted. Dobrze to wiesz.

Zaciskam palce na słuchawce, choć mam ochotę cisnąć nią w ścianę. Zamykam oczy. Co ta idiotka nawygadywała? Zastanawiam się i przed oczami natychmiast staje mi kilka scen. Cholera. Zaczynam się czuć nieswojo, mając świadomość, jak wiele wiedzą o mnie detektywi.

52.

1972 R.

- Wracam za godzinę. Zrobię zakupy i wpadnę do biblioteki.

– Nie śpiesz się.

Elizabeth zamyka drzwi, a ja zostaję z Molly sam. Dziewczynka bawi się lalkami w dużym kiczowatym domku. Chyba właśnie odbywa się w nim przyjęcie. Niemal nie zwróciła uwagi na wyjście mamy.

Przechadzam się po pokoju i przyglądam się z różnych kątów dziewczynce. Kiedyś powinna być ładną kobietą. Nie ma żadnych deformacji ani szpecących znamion. Buzia z pewnością się jej zmieni, ale już teraz można dostrzec, że będzie miała mocne kości policzkowe i duże oczy. Jak na swój wiek jest dość wysoka, lecz ponoć ma stopę mniejszą niż przeciętna. Wydaje się całkiem bystra. Kilkukrotnie jej spostrzeżenia albo cięte riposty całkiem mnie zaskoczyły.

– Muszę wziąć prysznic, Molly – rzucam, zerkając na zegarek. Odkąd Elizabeth wyszła z domu, minęło prawie pięć minut. – Będziesz grzeczna?

– Tak, tato.

– Dobrze. Daj mi chwilkę. Potem może pobawię się razem z tobą.

Stojąc pośrodku sypialni, w której bawi się Molly, ściągam koszulę. Dziewczynka odrywa wzrok od lalek dopiero, gdy zdejmuję spodnie. Przekładam je przez ramię, po czym spoglądam prosto w oczy Molly. Jednocześnie podchodzę bliżej niej. Stoję już bardzo blisko domku dla lalek. Mógłbym go kopnąć.

Zdejmuję majtki. Powoli odślaniam swoje przyrodzenie. Dziewczynka zapewne po raz pierwszy widzi całkowicie nagiego mężczyznę. Wpatruje się we mnie, choć stara się udawać, że niczego nie dostrzega. Że nic się nie dzieje.

– Molly...

Nie reaguje, więc powtarzam głośniej:

– Molly.

– Tak, tato?

– Spójrz na mnie.

Nieśmiało podnosi wzrok i spogląda mi w twarz. Następnie odruchowo, być może mimowolnie, patrzy na moje krocze.

- Widzisz? - pytam.

Coś cicho mamrocze. Odwraca wzrok i nerwowo ściska w rączce jedną z lalek.

- Widzisz - odpowiadam sobie. - To dobrze.

Uśmiecham się i kieruję się do łazienki. W momencie, gdy przechodzę przez korytarz, nagle otwierają się drzwi. Staje w nich Elizabeth.

- Zapomniałam listy zakupów, więc...

Przerywa, widząc mnie kompletnie nagiego.

- Właśnie szedłem pod prysznic - rzucam. - Muszę się wyszorować na twój powrót. Pobawimy się, prawda?

Uśmiecha się niepewnie. W końcu uznaje, że nie zobaczyła nic niezwykłego, kiwa głową i bierze kartkę z listą zakupów ze stolika.

- Pobawimy się - odpowiada, po czym beztrąsko wychodzi z domu.

53.

1975 R., SALT LAKE CITY

- Boże! - krzyczę w słuchawkę. - Naprawdę im o tym powiedziałaś? Przecież nic się nie stało, po prostu łąziłem goły po domu, żeby wziąć prysznic. Co w tym dziwnego?

- Tam była moja córka.

- Co oni sobie pomyślą!

Właściwie niepotrzebnie się wściekam, co policja może zrobić w informacją, że facet chodził po swoim domu bez ciuchów? Czy do czegoś doszło? Nie. Czy Molly może coś powiedzieć? Też nie. Nigdy niczego jej nie zrobiłem. To znaczy niczego, o czym zdarzyło mi się

pomyśleć. Nie znajdują na jej ciele żadnych śladów. Moich śladów. A historii dziecka... Dzieciaki mają fantazję, sam coś o tym wiem.

- Powiedziałam im też o gipsie - mówi Elizabeth.

- Jakim gipsie, do kurwy nędzy?

- Tym, który znalazłam wtedy, gdy wróciliśmy z kina. Pamiętasz?

Pamiętam. Ale nic nie mówię. Pieprzony gips, że też tak mocno utkwiał jej w głowie.

- I o kulach, o kulach też im powiedziałam.

Czuje się jak na rozstrzelaniu. Kolejne słowa Elizabeth biją prosto w moją pierś jak pociski. Zagryzam zęby i mocniej ściskam słuchawkę. Tworzywo trzeszczy, jakby miało zaraz pęknąć.

- Dlaczego to zrobiłaś? - powtarzam pytanie. - Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego opowiedziałaś im o tym wszystkim.

- Oni mówili o tobie różne rzeczy.

- Uwierzyłaś im?

- Nie... - Waha się, po czym dodaje: - Tak. W niektóre fakty. Sprawdziłam je.

W jej tonie jest dziwny wyraz zadowolenia oraz dumy. O co może jej chodzić?

- Jakie fakty? - dopytuję. Wstaję z krzesła i zaczynam chodzić po pokoju. - Co ty mi insynuujesz? Nie bądź głupia!

- Głupia już byłam. Dość z tym. I ze ślepym zaufaniem. To koniec, Ted. Między nami jest koniec.

Wypuszczam powietrze i zagryzam wargę. Nie mówi o żadnych zbrodniach. Chodzi jej tylko o nas. To dobrze. Nasz związek jest dla mnie znacznie mniej istotny od mojej wolności. Taka jest prawda. Rzeczy trzeba nazywać po imieniu i nigdy nie można oszukiwać samych siebie. To największa zbrodnia.

- Elizabeth... - wzdycham i zmieniam ton na błagalny. Bywam w tym świetny. Naśladowuję go jeszcze lepiej niż angielskie akcenty

z rozmaitych stron świata. – Proszę, nie mów tak. Wiesz, jak mnie to boli?

– A to, co ja usłyszałam? Myślisz, że po mnie spływa?

– Jeśli mi nie powiesz, o co chodzi, nie mogę tego sprostować. Ktoś naopowiadał ci bzdur.

– Nie. Nie tym razem, Ted. Wszystko wiem. O twoich świętach sprzed dwóch lat również. Wszystko...

Krzywię się. Naprężając kabel do granic wytrzymałości, zatrzymuję się przy oknie i bezgłośnie klnę. Wiem, co ma na myśli Elizabeth.

54.

Aby przejść do sedna, ważne jest streszczenie dwóch lat. W tamtym czasie wiedziałem, kim jestem, kto jest moją matką, ale co do ojca nadal miałem pewne wątpliwości. Starłem się uznać to za nieistotne. Odkrywałem sam siebie i stawiałem pytania, na które nie było odpowiedzi. Rozumiałem jednak swoją wartość. Pamiętam dzień, w którym, można by powiedzieć, dorosłem. I to dorosłem znacznie bardziej dosłownie niż wtedy, gdy zobaczyłem pierwszą gołą kobietę.

Wspomnienie jest bardzo ostre...

Wreszcie mam dyplom. Tylko co mi po nim? Mógłbym działać w rozmaitych centrach kryzysowych, ale mam dość. Nie nadają się do tego. Ci ludzie mnie nudzą, nudzą mnie ich problemy, nawet jeżeli zamierzają się zabić. Brakuje mi adrenaliny i wyzwania. To nie są osoby, dzięki którym mogę osiągnąć cokolwiek więcej niż te parę dolarów na dzień.

Postanowiłem odświeżyć kontakty. W końcu wielu ważniaków powinno mieć do mnie zaufanie. Byłem dobrym kierowcą i ochroniarzem. Wiem, że Fletcher mnie chwalił. Otrzymałem od niego ładny list polecający opatrzone tyloma pieczęciami, iloma tylko się dało.

- Umie pan szybko i uważnie notować? - Urzędas z kancelarii gubernatora Evansa wymienia spojrzenie z drugim, stojącym po mojej lewej. Znajdujemy się w budynku siedziby władz stanowych, w sporym pokoju o ścianach wykładanych drewnianymi płytami.

- Oczywiście, że tak - odpowiadam bez wahania.

- I jest pan pewny, że pańskie zdjęcie nie przewinęło się w żadnych materiałach prasowych w kontekście kampanii Fletchera?

Gdyby takie się pojawiło, na pewno bym o tym wiedział. Zachowałbym taką fotografię i wysłał Diane.

- Jestem pewny - odpowiadam.

- A co najważniejsze... - odzywa się drugi urzędnik. - Czy nie zna pana nikt ze sztabu Roselliniego?

Rosellini to były gubernator i główny rywal Evansa w najbliższych wyborach.

- Nie sądzę. Poza tym minęło sporo czasu... Zmieniłem się. Byłem za granicą.

Ostatnie słowa wypowiadam z czystym brytyjskim akcentem. Uśmiecham się, po czym dodaję:

- Może z kimś mnie myślą.

Natomiast to zdanie wypowiadam jak mieszkaniec Teksasu. Uśmiecham się jeszcze szerzej, a obaj urzędnicy robią to samo. Zerkają po sobie, po czym ten starszy, tyczkowaty, wyciąga do mnie dłoń. Wymieniamy uściski.

- Rozumiem, że to nie na pożegnanie?

- Nie. Podoba mi się pan. Sądzę, że gubernator również będzie zadowolony.

- Wobec tego na czym ma polegać moja praca?

Sam jestem ciekaw. Liczyłem na kolejną fuchę bezpośrednio przy gubernatorze. Dobrze jest poznać się z nim chociaż z widzenia. To byłaby kolejna miła znajomość. Dobry punkt wyjścia do uzyskania następnego solidnego listu polecającego. Pytanie o umiejętności

notowania brzmia, jakby chciano mnie zatrudnić na stanowisko sekretarza. Akurat taka praca niespecjalnie mi się podoba, ale mniejsza o to. Przemęczyłbym się. Jednak miny urzędników zdradzają, że chodzi o coś innego. No i te pytania o zdjęcia i rozpoznawalność wśród członków sztabu Evansa.

– Mamy dla pana zadanie. – Tyczkowaty mężczyzna znacząco odchrząkuje. Spogląda mi w oczy. – Nie jest łatwe, ale podejrzewam, że poradzi sobie pan bez problemu. I że naprawdę się panu spodoba.

– Skoro tak pan mówi... Nie mogę się doczekać szczegółów.

55.

Kolejne wspomnienia zlewają się w jeden ciąg. Właściwie trudno mówić o czymś specjalnym. Moja praca pozornie mogła wydawać się ciekawa, przedstawiono mi ją, jakby mianowano mnie na agenta specjalnego lub szpiega, lecz... Prawda jak zwykle bywa banalna.

Moja rola sprowadzała się do tego, bym uczestniczył w rozmaitych wiecach oraz spotkaniach partyjnych Roselliniego. Evans bardzo chciał mieć streszczenia jego przemówień oraz rozmów. Miałem pojawiać się w kularach oraz podsłuchiwać, co tylko możliwe.

– Jeśli się pan sprawdzi, odpowiednio pana wynagrodzimy.

Te słowa dodały mi energii. Właściwie wcale jej nie potrzebowałem, ale to miłe usłyszeć coś takiego. Z pełną werwą zabrałem się do dzieła. Wyobraźcie to sobie! Ted Bundy po raz pierwszy w swoim żywiole. Pełna gama możliwości oraz bezgraniczna studnia pomysłów. Umysł mi wręcz kipiał koncepcjami.

Uwielbiałem przebieranki. Pojawiałem się w pierwszych rzędach, aby nie uronić ani słowa z przemówień, lecz nie chciałem zostać zapamiętany. To była wyborna zabawa. Czasem przychodziłem ubrany jak hipis, czasem pozowałem na transwestytę, a innym razem przybierałem ton poważnego biznesmena w smokingowym garniturze

i lśniących lakierkach. Partia płaciła za moje fanaberie, a ja miałem ubaw po pachy.

Zdarzało mi się wyciągać śmieci z koszy oraz kraść notatki pozostawione na tapetach. Podglądałem członków sztabu Roselliniego w domach i na ulicach. Chodziłem za nimi.

Ta praca pochłonęła mnie całkowicie. Byłem sobą, a zarazem mogłem być każdym innym. Zadawałem na konferencjach pytania, naśladowując rozmaite akcenty, doklejałem sobie wąsy oraz zmieniałem kapelusze. Miałem pomysł, by ubiegać się o stanowisko w biurze Roselliniego, ale Evans mi na to nie pozwolił.

„Nie chcę skończyć jak Nixon” – krótko uciął moje fantazje o zostaniu podwójnym agentem.

No nic. Pogodziłem się z tym i dalej robiłem swoje. Robiłem zresztą tak dobrze, że Evans bez problemu wygrał reelekcję i kilkakrotnie osobiście mi za to podziękował. Naprawdę sądził, że mocno przyczyniłem się do jego zwycięstwa. Swoją drogą nigdy w to nie wątpiłem. Dostarczyłem mu naprawdę wyjątkowego materiału i wiedziałem o tym. Czułem żal, że kampania wyborcza dobiegła końca, przez co stawałem się niepotrzebny.

Gubernator dotrzymał jednak słowa danego przed paroma miesiącami. Dostałem kolejną ofertę pracy. Parskniecie śmiechem, gdy wam o niej opowiem. Proszę was, tylko się nie oplujcie.

56.

Evans mianował mnie członkiem Komitetu doradczego do spraw zapobiegania przestępczości w Seattle. Rozumiecie? To brzmi jak żart, ale taka jest prawda. Głowę daję, jakkolwiek by to brzmiało. Po epizodzie w centrum dla samobójców zostałem urzędnikiem odpowiedzialnym za walkę z przestępczością. Piękna kariera, no nie?

Zawsze powtarzałem, że liczą się układy oraz znajomości. Fucha w komitecie pozwoliła mi nawiązać wyjątkowe stosunki. Uśmiechałem się, chodziłem na rauty, bywałem, gdzie tylko się dało. Cały czas myślałem o Diane. Ja naprawdę nigdy nie zapominam. Może to moja największa zaleta, a może niewybaczalna wada.

Moją szefową została Ross Davis, przewodnicząca Partii Republikańskiej w stanie Waszyngton. Pewnie niewiele o niej wiecie. Przyznam, że i w moich wspomnieniach nie jest kimś istotnym. Zależało mi na jej dobrym zdaniu, na przyszłej opinii, ale w rzeczywistości miałem ją za drapieżną, pustą sukę, która jest zaprzeczeniem kobiecości. Nigdy nie pociągały mnie te wszystkie paniusie polityczki, starające się zagospodarować sobie kawałek ciasta zwyczajowo pożeranego przez mężczyzn. Mam wrażenie, że od takiej działalności w majtkach rosną im ptaszki. Coś obrzydliwego.

Wybaczcie. Nie miejcie mi za złe takiej uwagi. Do cholery, czasem mi się zdaje, że nikt już nie może mieć swojego zdania. Całe społeczeństwo zachowuje się, jakby w ciągu życia występowało przed ławą przysięgłych, której musi się podlizzać. Okej, wiem, że często bywałem taki sam. A potem ukryty żal wylewał się ze mnie w tych pojedynczych chwilach, kiedy mogłem w pełni być sobą. Wiecie, o czym mówię...

Ale wróćmy do sedna. Bycie urzędnikiem to nic przyjemnego. Znacie ten obrazek z filmów i komiksów. Teczka w dłoń, garnitur na grzbiet i do roboty. A potem, kiedy odbębnisz swoje, kiedy przebrniesz przez stopy idiotycznych papierów, wracasz do domu i masz wrażenie, że się marnujesz. Że przecież stać cię na więcej i zasługujesz na więcej.

Elizabeth zdawało się to wystarczać. Powtarzała, że jest ze mnie dumna, ale z każdym takim słowem oddalałem się od niej. Była banalna. A więc to już – stagnacja, wygoda, kanapa. Koniec życia. Dla niej w tym momencie moglibyśmy zakończyć naszą historię. Każdy dzień aż do śmierci mógłby stanowić powielenie poprzedniego.

Co za ohyda.

Przez to jeszcze częściej myślałem o Diane. Powracała w moich myślach jak obsesja, co rusz, każdego dnia, każdej godziny. Wypełniałem dokumenty i powtarzałem sobie: „Awansujesz, pokażesz jej”. Ale jaki awans czeka członka pieprzonej komisji stanowej? Tworzyłem raporty, analizowałem niebezpieczne miejsca oraz trendy panujące w czarnej strefie dużego amerykańskiego miasta, jakim jest Seattle. Tyle. Jediną perspektywą byłaby bitwa wyborcza i ubieganie się o konkretne stanowisko. Brakowało mi do tego jednak zaplecza.

W 1973 roku Evans oraz Davis napisali dla mnie listy polecające do Uniwersytetu Stanowego Utah oraz uniwersytetu w Seattle. Zrobiło to również kilku wykładowców psychologii z Uniwersytetu Waszyngtońskiego.

Sukces przyszedł niebawem. Trzymałem w dłoni list opatrzony podpisem dziekana oraz wielką pieczęcią.

Zostałem studentem prawa. Nie posiadałem się z radości.

57.

1973 R., KALIFORNIA

- Już wylądowałem. Wracam za kilka dni, załatwię wszystkie sprawy i coś wam przywiozę. Ucałuj Molly.

Nim Elizabeth zdąży odpowiedzieć, rozłączam się. Stoję przy budce telefonicznej na lotnisku w San Francisco i rozglądam się wokół. Jest tu mnóstwo ludzi. Nigdzie nie widuje się jednocześnie tylu hipisów jak w Kalifornii. Ci ludzie nigdy niczego nie osiągną. Ich bunt jest wyrazem wewnętrznej pustki i lenistwa. Brzydzą się nimi.

Jestem zdenerwowany. Wieczorem mam spotkanie dotyczące kolejnej kampanii dla Partii Republikańskiej. Zamierzamy opracować wspólną, międzystanową strategię. Ross Davis uwierzyła we mnie i traktuje jak swoją prawą rękę. Kogoś więcej niż sekretarza. Jak

człowieka stworzonego do tajnych misji, który na pewno dochowa tajemnicy.

A gdyby demokraci zaproponowali mi jakąś porządną posadkę z dobrym wynagrodzeniem, asystentem oraz biurem? A przede wszystkim z perspektywami?

Powiedziałbym im wszystko. Wyznałbym im swoje grzechy oraz grzechy swojej partii. Nie mam sentymentu. W tej układance liczy się tylko moja przyszłość. Moment, w którym jestem, doskonale nadaje się do zmieniania barw partyjnych i korzystania z życia. Mówię wam, pamiętajcie o tym. Zdajcie sobie z tego sprawę. W polityce nie macie ludzi z ideałami, którzy trzymają się konkretnych partii, bo w nie wierzą. Oni mają to w dupie. Są tam, gdzie zaoferowano im cieplejsze stołki. A jeśli jest inaczej, są niebezpieczni.

Poprawiam sportową torbę przerzuconą przez ramię i ruszam do wyjścia. Z megafonów po raz kolejny podano informację o tym, że mój samolot wylądował, a pasażerowie zeszli na płytę lotniska.

Denerwuję się. Wspomniałem już o tym, ale nie powiedziałem dlaczego. W ogóle to stan, którego nie do końca rozumiem. Zdarza mi się naprawdę rzadko. Zazwyczaj wszystko obserwuję jakby przez mgłę i nie przykładam szczególnej wagi do tego, co się ze mną dzieje.

Jednak są sytuacje, w których nie potrafię się opanować. Towarzyszy mi dreszcz ekscytacji oraz wyzwania. Czuję potrzebę realizowania celów. Nie znoszę zawodzić się na sobie. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

O tym dniu myślałem od dwóch albo trzech lat. Niemał bez przerwy.

Przed opuszczeniem lotniska poprawiam jeszcze rękawy drogiej, ręcznie szytej marynarki oraz kołnierzyk koszuli. Wiem, że prezentuję się bardzo dobrze. Możliwe, że tak dobrze nie prezentowałem się nigdy dotąd. Na stopach mam buty, które kosztowały równowartość kilku miesięcy mojej pracy.

Ukradłem je. Po prostu podczas przymiarki zostawiłem swoje stare buciory, a ze sklepu wyszedłem w nowej parze. Zresztą metody się nie liczą. Ważne są tylko konsekwencje oraz skutki.

Przeciskam się wśród tłumu, kierując się ku zatoczce parkingowej, na którą co rusz podjeżdżają taksówki oraz samochody prywatne. Widać też luksusowe limuzyny.

Natychmiast ją dostrzegam. Macha mi, szeroko się uśmiechając. Niewiele zmieniła się przez te wszystkie lata. Nie wierzę, że zgodziła się spotkać, a jednak.

- Cześć, Diane - witam się, po czym całuję ją w policzek. - Jak dobrze cię widzieć!

58.

Pilnuję się. Kontroluję każdy gest, każde słowo i ton głosu. Jeżeli żartuję, to w całkowicie rozmyślny sposób. Mam przygotowaną pulę dowcipów, które mają pokazać moją pozycję, doświadczenie oraz klasę. Odnoszą swój skutek. Diane, choć początkowo widocznie niepewna, czego się po mnie spodziewać, rozluźnia się i zaczyna mi się przyglądać z rosnącym zainteresowaniem. Wreszcie padają słowa, które sprawiają, że nie powstrzymuję szczerego uśmiechu.

- Zmieniłeś się, Ted. Dojrzałeś.

Diane muska moją dłoń swoją dłonią. Robi to niby przez przypadek, sięgając po kubek kawy. Siedzimy w podrzędnym barze przy autostradzie, w którym poza nami jest jeszcze kilka par, w tym dwóch ostentacyjnych gejów.

- Owszem, zmieniłem się - przyznaję, wzruszywszy ramionami. - Ale chyba na lepsze? Nie można być całe życie dzieckiem. Mówiłem ci, że osiągnę to, czego pragnąłem.

- Jestem pod wrażeniem. I przyznaję się, że w ciebie nie wierzyłam.

- Chyba nikt nie wierzył.

Wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia i jednocześnie spuszcza my wzrok. Przez dwie lub trzy minuty pijemy kawę w całkowitym milczeniu. Z radia leci koncertowy album Presleya,

Aloha from Hawaii. Barman kołysze się w takt muzyki, jakby był na rauszu, mimo że jest dopiero czternasta.

- W takim razie muszę cię przeprosić, Tedzie Bundy. - Diane puszcza do mnie oko. Odrywa dłoń od kubka kawy i dotyka mojej ręki. Delikatnie gładzi mnie palcem. - Przyjmujesz te przeprosiny?

- Sam nie wiem...

- Hej! Przecież właśnie po to chciałeś się spotkać. Przyznaj się! Marzyłeś o tym, żeby cię przeprosiła.

- Może. Chociaż wiesz co?

Odsuwam kubek kawy i opieram się o blat stolika. Kątem oka widzę parkujące pod barem ogromne cadillaki pełne Murzynów. Kalifornia to dziwny stan. Ponownie wbijam wzrok w Diane.

- Ja też ci muszę coś wyznać - zniżam głos. - Coś bardzo ważnego, znacznie ważniejszego od reszty.

Diane w swoim stylu marszczy noski i przechyla głowę. Przez te lata nic się nie zmieniła.

- Co takiego?

- To, że wszystko zawdzięczam właśnie tobie. Zdaję sobie sprawę, że ostatnie lata mojego życia to tylko twoja zasługa. Ty sprowadziłaś mnie na ziemię i nakłoniłaś do ciężkiej pracy. Studia prawnicze... Nie poszedłbym na nie, gdybyś mnie nie zostawiła.

- Przestań, nie mów tak.

- Taka jest prawda.

Uśmiechamy się do siebie. Nieśmiało, lecz porozumiewawczo. Potem zapada milczenie. Wsłuchujemy się w muzykę i udajemy, że całkowicie nas pochłania. Diane porusza się w jej rytmie podobnie jak barman przed chwilą. Wreszcie opanowuje się, zakłada włosy za uszy i zagryza usta. Wiem, że chce mi powiedzieć coś istotnego. Cierpliwie czekam, gładząc kubek kawy.

- Ted...

- Tak?

- Powiedz mi, masz tam kogoś? – pyta, nieudolnie maskując zdenerwowanie. – Spotykasz się z kimś?

Kręcę głową.

- Nie – kłamię, patrząc jej prosto w oczy. – Jestem całkowicie sam.

59.

LISTOPAD 1973 R., SEATTLE

- Co robisz?

- Uczę się. Tonę w podręcznikach, Elizabeth. Nie zdajesz sobie sprawy, jak wiele materiału muszę wbić sobie do głowy przez najbliższe kilka dni.

- Nie przyjedziesz na weekend?

- Nie dam rady. Przepraszam, tak bardzo bym chciał, ale się nie obrobię. Chyba przyszyję sobie powieki do brwi, żeby nie zasnąć.

- Brakuje mi ciebie. Molly również często o ciebie pyta.

- Przykro mi... Powiedz, że coś jej przywiozę z Seattle. Mają tu mnóstwo sklepów z zabawkami.

- Jeśli nie dasz rady... Może to my cię odwiedzimy?

- Byłoby klawo! W ten weekend zasuвам z nauką, ale może w następny? Dasz radę?

- Czemu nie?

- Liz... Muszę kończyć. Za kwadrans zaczyna się wykład fakultetowy.

- Aha. Rozumiem. Kocham cię, Ted.

- I ja ciebie.

Rozłączam się i pędzę do drzwi. Od minuty starałem się przysłaniać słuchawkę tak, by Liz nie usłyszała dzwonka. Otwieram je i zapraszającym gestem zachęcam Diane do wejścia. Całuję ją w policzek, po czym prowadzę prosto do sypialni. Trzymając się za dłonie, padamy na łóżko.

– Czekaj, w torebce mam wino. Wiem, że go nie lubisz, ale to coś nowego. Spróbujesz.

– Nie mam kieliszków. – Krzywię się. – W ogóle muszę zmienić tę norę na coś rozsądniejszego.

– Powoli, powoli, mój drogi... Nie ma sensu bawić się w półśrodki. Kiedy dostaniesz etat prawnika, wynajmiesz coś znacznie lepszego.

– Pewnie masz rację.

Diane podaje mi butelkę z narysowaną na etykiecie czaszką. To wzmacniane różowe wino z dodatkiem rumu. Rzeczywiście nigdy czegoś takiego nie piłem.

– Prosto z barku mojego ojca. – Diane puszcza mi oko. – Powinno smakować ci podwójnie.

– Tak jak ty.

Całuję ją. Prowadzę język po jej ustach, a potem po podbródku. Palcem wiodę po linii jej żuchwy. Odgarniam jej włosy i delikatnie je pociągam.

– Jesteś piękna – szepczę. – Tęskniłem za tobą.

– Ja za tobą też. Kilka razy podpytywałam znajomych, co u ciebie słychać.

– Naprawdę?

Odsuwam się od niej i chwytam butelkę. Ma zakręcany korek. Odkręcam go, po czym podaję trunek Diane.

– Tak. Chciałam wiedzieć, co u ciebie. Po prostu...

– Pisałam ci w listach.

– Wymienialiśmy je tak rzadko. Poza tym nie wiedziałam, czy jesteś szczery.

Zastanawiam się, co ktoś mógł powiedzieć jej o moim życiu. Szybko analizuję wspólnych znajomych.

– Co ci doniesiono? – pytam obojętnym tonem. – Coś dobrego?

– Niewiele. Odciąłeś się od większości ludzi. Nikt cię nie widział od ponad roku.

Uspokajam się. Tak jak sądziłem, Diane mogła mieć informacje jedynie od osób, które znały mnie dawniej. Nie utrzymywałem z nimi kontaktu.

– Dużo pracowałem – stwierdzam poważnie. – Nie miałem czasu na wspólne wyjścia, imprezy i przyjemności.

– Wiem. Teraz już wiem...

Popijamy wzmocnione wino, wymieniając się butelką. Ma dziwny waniliowy smak, a do tego szybko uderza do głowy. Czuję przyjemne ciepło rozlewające się po ciele. Diane również dostaje wypieków, a jej oczy lśnią. Opiera się o mnie i obejmuje. Całuję ją w kark.

– Diane... Dobrze mi z tobą.

– Mnie również. Jak mogliśmy to سپięprzyć?

– Nie mam pojęcia. Dlatego nie róbmy tego znowu, dobrze? – Przesuwam się i biorę jej twarz w obie dłonie. Spoglądam jej prosto w oczy. – Diane, weźmy ślub. Co ty na to?

60.

1975 R., SALT LAKE CITY

– Przedstawiłeś Diane jako swoją narzeczoną! Ty gnoju! Ross doskonale wiedziała, że spotykasz się także ze mną. Wysłałam na durną dziwkę! Jak mogłeś mi to zrobić... Jak mogłeś... Do tego w święta...

Krzyk zamienia się w spazmatyczny płacz. Elizabeth co rusz wypuszcza powietrze prosto w słuchawkę. Każde kolejne słowo, które chce wypowiedzieć, przeobraża się w bolesny jęk.

Tak, w święta przed dwoma laty formalnie zaręczyłem się z Diane. Tak, spotykałem się z nią. Tak, przedstawiłem ją Ross Davis jako swoją narzeczoną. Trzy razy zgoda.

– To nie do końca prawda – mówię tonem zbitego psa. – Wszystko odbyło się całkowicie inaczej, niż sądzisz.

- Naprawdę? Masz mnie za idiotkę?

Elizabeth gniewnie parska. Dziwię się, jak łatwo nasze relacje stały się głównym przedmiotem tej rozmowy. Obawiałem się, że nawygadywała jakichś bzdur detektywom, ale teraz mam pewność, że w momencie, gdy dowiedziała się o Diane, wszystko skupiło się na niej. Choć istotne jest jeszcze jedno.

- Liz...

- Nie mów tak do mnie. Jesteś dla mnie całkowicie obcy, rozumiesz? Obcy!

- Czy detektyw pytał cię o to, co robiłem jakiegoś dnia?

- Pieprz się.

- To bardzo ważne.

Opieram się o stół, na którym ustawiony jest aparat telefoniczny, i zamykam oczy. Staram się zebrać myśli. Przez tę rozmowę wszystko się wali.

Nie.

Nie przez tę rozmowę. Przez nią wiem tylko to, że moja sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż sądziłem. Detektywi zaczynają dopasowywać do siebie kolejne elementy układanki.

- Nie wiem, co nawywijałeś. - Elizabeth odzywa się nieco spokojniejszym głosem. Znowu wydaje się pozbawiona emocji i martwa jak na początku rozmowy. - Już dawno sądziłam, że część swoich rzeczy po prostu ukradłeś.

- Co takiego?!

Udaję oburzenie, ale w sumie takie rozumowanie Liz sprawia, że mam ochotę wybuchnąć śmiechem. Kradzieże. A więc ona myśli, że jestem jakimś podrzędnym złodziejaszkiem, którym zainteresowali się detektywi. To dobrze. To bardzo dobrze.

- Nie byłeś ze mną żadnej nocy, o które pytali - cedzi. - Wszystko sprawdziłam w pamiętniku i kalendarzu. Byłeś wtedy z tą suką, prawda?

„Tak, tak... Byłem z tą suką, Liz” - mógłbym odpowiedzieć.

Jednak nie mówię tego. Wiem, że gdyby poznała prawdę o tym, co wtedy robiłem, kompletnie by się rozsypała. Jestem miłosierny. Wybieram kłamstwo.

61.

STYCZEŃ 1974 R.

Zaręczyliśmy się ponad dwa tygodnie temu. Diane odtrąbiła o tym całemu światu. Chwali się, jakby zdobyła najlepszą partię w stanie. O wszystkim powiedziała swoim rodzicom, którzy, o dziwo, nie wyrazili sprzeciwu. Najwyraźniej zaprezentowała im mnie w nowym świetle. Jakże innego od tego, kim byłem te kilka lat temu. Wielkiego studenta prawa, honorowego członka centrum kryzysowego, psychologa, aspirującego polityka... Bla, bla, bla. Rzygam tym światem.

Chce, żebyśmy się spotkali w rodzinnym gronie. Wtedy miałbym porozmawiać z jej ojcem o „kwestiach technicznych”. Co to, do licha, są kwestie techniczne? Kilkukrotnie przebiegłem wzrokiem list i zmiąłem go w kulkę. To bełkot. Miałbym teraz mizdrzyć się do faceta, który miał mnie w nosie? Który czuł wobec mnie kompletną pogardę i za którego sprawą zostałem porzucony?

Nigdy w życiu.

Organizacja wesela, podział majątku, intercyzy i plany na najbliższą dekadę. Może zechcą wznieść toast za zdrowie Teda, okropnie żalnego Teda, który jak natręt powraca do ich córki. A może chcieliby wybać grunt i sprawdzić, czy faktycznie się zmieniłem?

„Ted, mój drogi, czy twoje plany są naprawdę poważne? Będiesz się ubiegał o fotel gubernatora? Za kilka lat możemy rozważyć prezydenturę”.

Śmieję się na głos. Wypowiadam te pytania z akcentem brytyjskim, a potem teksańskim. Zatrzymuję się przed lustrem i spoglądam na

swoje odbicie. W jednej dłoni trzymam zmięty list, a w drugiej szklanę z rumem. Czystym. Zbyt tanim jak na standardy Diane.

– Nie, nie, kochanie. Nie myśl, że uraczyłbym cię takim gównem.

Rzucam list do kosza i lekko chwiejnym krokiem kieruję się do łóżka. Za godzinę zaczynam zajęcia, ale nie chce mi się na nie iść. W końcu zrealizowałem swój dotychczasowy plan. Nigdy mi nie zależało na studiach samych w sobie. Przy ich pomocy miałem jedynie coś sobie udowodnić.

To, że potrafię. Że zawsze osiągam, co tylko zapragnę.

Gdy siadam na łóżku, dzwoni telefon. Nie mam wątpliwości, że to Diane. Od tygodnia usiłuje się ze mną skontaktować. Wysłała już trzy listy, a do tego wydzwania o każdej porze dnia i nocy. Elizabeth ma nakazane, że może dzwonić tylko o osiemnastej, dzięki temu wiem, kiedy odebrać.

A Diane? Niech dzwoni.

– Znowu coś ci zawdzięczam – szepczę w stronę telefonu. – Wiem, że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. I że mogę spełnić wszystkie swoje zachcianki. Dziękuję.

CMokam, po czym układam się na poduszce. Dawno nie czułem się tak dobrze. Dzwonek telefonu jest dla mnie najprzyjemniejszą muzyką. Dzwon, kochanie, dzwoni, jak długo chcesz, ale tej słuchawki nikt nie podniesie.

Żegnaj, Diane. Teraz już wiesz, jak to jest zostać porzuconym¹³.

62.

4 STYCZNIA 1974 R., OREGON, WASZYNGTON

Dlaczego miałbym się powstrzymywać? Czy jest coś, czego nie mógłbym osiągnąć? Nie. Dlaczego ludzie zmuszeni są do tłumienia

emocji oraz popędów? To banalne. Cywilizacja doprowadziła do kastracji ludzkości. Już wam chyba o tym mówiłem.

Z rękoma w kieszeniach włączę się po okolicy. W pobliskim barze wypięłem kilka kolejek, a potem przez kwadrans rzucałem lotkami do tarczy. To marnowanie czasu. W środku nie było żadnych intrygujących dziewczyn. Wszystkie zajęte, targające do baru swoich facetów, albo grupki paskudnych, tłustych Indianek. Ostatnio widać je coraz częściej.

Nie wyobrażam sobie normalnego mężczyzny, który mógłby zadawać się z Indianką. Ich włosy są skłębione i suche. Mają skórę o odcieniu brudu, a w oczach zawsze widać gniew. Jakby były wściekłe na cały świat, że biali ludzie wywlekli ich z namiotów. Podobają mi się jedynie ich piersi. Duże i jędrne. Nawet drobne Indianki z lokalnych plemion mają doskonałe biusty.

Te myśli wystarczają, bym poczuł narastające podniecenie. O tej porze ulice są puste, ale... Przychodzi mi do głowy pomysł, którego nie wcielałem w życie już od dawna. Może mógłbym kogoś podejrzeć? Wejść na jakieś podwórze, unieść jakąś zasłonę lub uchylić okno?

Nie znam zbyt dobrze tej okolicy. To nie są tereny, w których czuję się jak w domu i gdzie miałbym upatrzone punkty. Pamiętacie tylne ogródki? Pamiętacie opuszczony skład metalu? Tęsknię za takimi miejscami.

Na same wspomnienia jeszcze bardziej rozbudzają się we mnie pożądanie oraz dreszcz emocji. To by było coś. Dlaczego o tym w ogóle zapomniałem? Nigdy nie czułem się tak pobudzony jak wtedy, gdy widziałem kobiety nieświadome mojej obecności.

Nagle moją uwagę zwraca światło zapalone w pralni samoobsługowej przy kampusie. W środku jest zgrabna, szczupła dziewczyna. Właśnie wypakowuje pranie z ogromnego bębna. Przypatruję się jej przez szybę, a potem wchodzę do wnętrza. Obracam w dłoni monetę, jakbym zamierzał wrzucić kolejny żeton. Dziewczyna nawet na mnie nie patrzy.

Siadam na krześle przy pracującej maszynie i zakładam nogę na nogę. Nieznajoma ma obcisłe jeansy, podkreślające kształtną pupę. Nie mogę oderwać od niej wzroku. Wyobrażam ją sobie bez ubrania. Bez bielizny, wykonującą te same ruchy. Pochylając się przy pralce i wypinając się w moją stronę. Zaciskam pięści, by powstrzymać się przed dotknięciem jej ciała. Serce wali mi jak oszalałe.

Czy gdybym teraz do niej dopadł, ktokolwiek by zauważył? Mógłbym zrobić, co tylko zapragnę. Zrobiłbym jej dobrze... I sobie.

Podniecam się samymi myślami. Kolejne wyobrażenia przewijają się przez mój mózg jak obrazy w kalejdoskopie. Nagle dziewczyna odwraca się i nasze spojrzenia się spotykają. Natychmiast spuszczam wzrok.

Patrząc w kafelki na podłodze, słyszę, że studentka kieruje się do drzwi. Kiedy wychodzi, nieśpiesznie podnoszę się z krzesła. Podążam za nią.

63.

Złocista brunetka z przedziałkiem pośrodku głowy kieruje się ku domkom kampusu studenckiego. Pod ręką trzyma tłomczek z praniem. Chyba nie zdaje sobie sprawy, że podążam tuż za nią. Trzymam się cienia. Idę cicho i z pochyloną głową. Kiedy wchodzi do jednego z budynków, zatrzymuję się.

Czekam, obserwując otoczenie. Światło pali się tylko w jednym z pobliskich domków. Reszta pogrążona jest w nocy. Kampus śpi i panuje w nim niemal kompletna cisza. Jedna z trzech latarni oświetlających okolice mruga, cicho bzycząc.

Nagle w jednym z pokoi budynku rozbłyska światło. Zapewne właśnie tam weszła dziewczyna z pralni. Zasłona w oknie jest opuszczona. Podchodzę do niego i sprawdzam, czy nie pozostała chociaż szpara. Niestety.

Czuję rozczarowanie. Okno jest zamknięte, nie ma żadnej możliwości jego uchylecia. Do tego za plecami mam jedną z działających latarni. Otwarty teren również nie sprzyja podglądaniu. Cholera.

Napięcie ostatnich minut jeszcze się potęguje. Muszę coś zrobić. Przechadzam się dokoła budynku, zastanawiając się, gdzie znajduje się łazienka. Jestem przekonany, że ta dziewczyna pewnie rozłoży pranie, a potem pójdzie pod prysznic.

Musi mieć płaski brzuch. Prawdopodobnie dość umięśniony. Sprawia wrażenie wysportowanej i dość atletycznej budowy.

Jej łono. Mokre, kiedy się umyje, z kropelkami wody jak potu. Niczym po dobrym seksie.

Zapała się kolejne światło, lecz w tym pomieszczeniu zamontowana jest żaluzja. Nie ma mowy, bym zajrzał do środka.

– Szlag – klnę niemal bezgłośnie.

Wśluchuję się w dźwięk wody płynącej w rurach, w brzęknięcie szyby brodzika, a potem w szmer prysznica. Przykładam ucho do szyby. Zamykam oczy, delektując się wyobrażeniami. Jej nagie ciało...

Tyle że nie potrafię go sobie dobrze wyobrazić. Widziałem ją zbyt krótko i wierzyłem, że uda mi się ją podejrzeć. Rozczarowanie przemienia się we wściekłość.

Mijają kolejne minuty. Szmer wody ustaje, a potem gasną światła. Kolejno w łazience oraz w sypialni. Cholera.

Nie potrafię przestać o niej myśleć. Nie umiem zmusić się do odejścia, choć podświadomie wiem, że powinienem to zrobić. Wrócić do siebie i poprzeglądać parę magazynów z gołymi babami, które kupiłem przed kilkoma dniami. Mógłbym zadzwonić do Elizabeth i przeprowadzić z nią jedną z tych rozmów, w trakcie których odgrywamy przez telefon sceny. Opisujemy ze szczegółami swoje pragnienia. Realizujemy je za pomocą słów...

Nie. Słowa to zdecydowanie za mało. Nie dzisiaj. Nie teraz.

Powoli podchodzę do drzwi i wstrzymuję dech. Nie mam innego wyjścia. Gardło mam zaciśnięte tak, że niemal się dławię. Kręci mi się w głowie, ale nie ma odwrotu. Zawsze dostaję to, czego chcę. Dlaczego teraz miałoby być inaczej?

Naciskam klamkę, a ona ustępuje. Drzwi otwierają się cicho, bez jakiegokolwiek jęku zawiasów. Bezgłośnie wchodzę do środka i zamykam je za sobą. Czekam, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności.

64.

Wąski korytarzyk przypomina te, jakie widuje się w większości domów studenckich na kampusach. Porozrzucane pary butów, kaptcie, plecak. Muszę uważać, aby na nic nie wleźć. We wpadającym przez okno rozproszonym świetle latarni widzę jedynie zarysy przedmiotów.

Drzwi do pokojów są zamknięte. Zatrzymuję się na środku i nasłuchuję. Nie dobiega mnie żaden dźwięk. Wszyscy mieszkańcy tego domu pogrążeni są we śnie lub usiłują zasnąć. Minęła już północ. Może nawet jest po pierwszej.

Pobudza mnie sama świadomość, że tuż obok za drzwiami śpią bezbronne dziewczyny. Dwie, może trzy? A jeśli są piękniejsze od tej, którą spotkałem w pralni? Jak wyglądają?

Zastanawiam się, czy nie wejść kolejno do wszystkich sypialni. Czy nie przyjrzeć się, jak wyglądają te studentki we śnie. Mógłbym. Czemu nie? Sama świadomość sprawia, że zaczynam szybciej oddychać. Cholera. Wydaje mi się, że świst oddechu niesie się wokół echem, więc staram się uspokoić.

Raz, dwa, trzy. Wstrzymuję powietrze i wypuszczam je co kilka sekund. Powoli i spokojnie, jakbym wykonywał jakieś ćwiczenie tantryczne albo medytacyjne.

Nie ma potrzeby ryzykować. Wiodę wzrokiem od drzwi do drzwi i zastanawiam się, który pokój obserwowałem z zewnątrz. Widzę

wejście do łazienki, co pozwala mi lepiej zorientować się w układzie pomieszczeń. Tak, mam już pewność.

Nagle słyszę jęknięcie. Zatrzymuję się w pół kroku. Odruchowo rozglądam się za miejscem, gdzie mógłbym się schować. Tuż obok jest szafka, za którą znajduje się kąpielnica tonąca w mroku. Napinam mięśnie, lecz jęk się nie powtarza.

To pewnie ktoś gada przez sen albo ziewa. Rozluźniam się i ponownie nabieram powietrza.

Kieruję się do pokoju po mojej prawej. Stawiam bezgłośnie kroki jak kot. Delikatnie naciskam klamkę, po czym otwieram drzwi.

Błyskawicznie omiadam wzrokiem nieduży pokój z jednym łóżkiem pod ścianą, biurkiem oraz dwuskrzydłowym oknem. W łóżku widzę sylwetkę kobiety. Długie włosy opadają na poduszkę oraz kołdrę. To bez wątpienia studentka z pralni.

Drżąc z napięcia i podniecenia, podchodzę bliżej. Zatrzymuję się przy samym łóżku. Kobieta śpi bardzo głęboko, w ogóle się nie poruszając. Słyszę cichy szmer jej oddechu.

Opieram dłoń na metalowym ramiaku i wtem coś przychodzi mi do głowy. Kuszająca myśl, przekleństwo, którego nie potrafię się wyzbyć. Zaciskam palce na pręcie będącym elementem łóżka. Jest on wkładany w wycięcie i stanowi fragment ramy oraz oparcia w nogach.

Wiodę wzrokiem po zarysie śpiącej kobiety. Ma jedną dłoń podłożoną pod głowę, a druga leży na kołdrze. Mógłbym teraz... Zrobić, co zechcę.

I zrobię to.

Błyskawicznie wyciągam pręt, po czym przesuwam się ku górze łóżka. Na oślep uderzam w okolice głowy śpiącej. Słyszę tępe brzęknięcie, a potem jęk. Stłumiony, niemal bezgłośny. Uderzam znów.

I jeszcze raz.

Jęk zamienia się w cichy charkot.

Nie, ona już nie wezwie pomocy. Nie będzie się opierała.

Cały drzę. Mimo to staram się nie narobić rabanu, więc powstrzymuję się przed zerwaniem kołdry z leżącej. Ściągam ją powoli, po czym odrzucam na bok. Kobieta jest bezwładna. Rozkładam jej nogi na boki. Ma koszulę nocną oraz majtki, które rozrywam. Żałuję, że nie wziąłem latarki, aby dokładnie się jej przyjrzeć. Nie chcę zapalać górnego światła.

Obracam w dłoni pręt i wkładam go w nią. Wciskam na siłę w jej krocze, głębiej i głębiej. Wykonuję ruchy, jakbym ją gwałcił. Raz za razem. Mocniej, głębiej, szybciej! Nachylam się, aby obejrzeć jej srom. Podniecenie wstrząsa mną jak konwulsje. Dotykam jej uda, gładzę jej delikatną skórę, rozmazując krew...

Z pokoju obok dobiega czyjś głos. Usłyszano mnie? Może ktoś właśnie wzywa policję. Czy są tu aparaty telefoniczne, czy trzeba iść do budki na zewnątrz?

Gwałtownie przytomnieję. Teraz spoglądam na leżącą wyłącznie z odrazą. Po co ją w ogóle ruszałem? Jak mogła mnie tak skusić?

Rzucam się do ucieczki, po czym potykając się o buty oraz plecak, wypadam z domu na zewnątrz. Dyszę.

65.

- Co tam czytasz?

Elizabeth całuje mnie w policzek. Na wszelki wypadek po ostatnim ekscesie staram się jak najwięcej czasu spędzać w domu. Przez kilka dni nie chcę rzucać się w oczy. Odebrałem poranną gazetę i z kubkiem kawy w dłoni rozsiadłem się w fotelu.

- Przeglądam plotki z okolicy. - Wzruszam ramionami, po czym stukam palcem w jeden z artykułów. - Słyszałaś, że ktoś napadł na jedną ze studentek?

- Tak? Okradziono ją?

- Zgwncono jakimś prętem czy coś. Dziewczyna ma uszkodzenia organów wewnętrznych, w tym rozerwany pęcherz. Rozumiesz? Kompletna masakra. Kolejny dzień leży w szpitalu i nie wiadomo, czy się z tego wyliże. Ten szaleniec napadł ją w domu studenckim, gdy za ścianą spali jej współkatorzy...

Obserwuję reakcję Elizabeth, ale nie sprawia wrażenia specjalnie zainteresowanej. Składa ubrania i przenosi je z szafy do szafy. Co jakiś czas robi takie bezsensowne porządki.

- Trzeba uważać - rzucam, przekładając stronę gazety. - Musisz być ostrożna.

Odczuwam mieszaninę dumy oraz podekscytowania. Chodzi o całą sytuację, nie tylko fakt, że o mojej napaści napisano w gazecie. Gdyby Liz wiedziała, co zrobiłem... Czy patrzyłaby na mnie w ten sam sposób? Nie wie o mnie kompletnie niczego. Ani o tej studentce, ani o Diane, ani o moich pragnieniach. I dobrze mi z tym.

Lubię przypominać sobie wydarzenia tamtego wieczoru. Za każdym razem, gdy pomyślę o pręcie zagłębiającym się w krocze tej dziewczyny, czuję podniecenie. Nigdy nie udało mi się nad nikim zapanować w tak absolutny sposób. Przez chwilę miałem swoją niewolnicę i chodzi o sprawy czysto fizyczne. To znacznie przyjemniejsze od uwiedzenia kogoś, tak jak udało mi się z Diane. Stała się częścią mnie - to najlepszy sposób, aby opisać, co czuję.

Nie wiem, czy dziewczyna się wybudzi ze śpiączki. W gazetach lekarze wstrzymują się od podawania diagnoz oraz rokowań. Jeden z nich anonimowo zdradził, że poza organami płciowymi napaść prętem spowodowała również uszkodzenia głowy oraz mózgu. Nie wiadomo, czy jeśli dziewczyna się wybudzi, nie okaże się, że jest częściowo sparaliżowana.

Nawet jeśli odzyska przytomność, nie sądzę, żeby mogła mnie rozpoznać. Nie widziała mnie. W pralni obrzuciła mnie krótkim spojrzeniem, lecz nawet jeśli mnie zapamiętała - nie ma podstaw, by powiązać mnie z napaścią.

Nie zostawiłem też żadnych śladów. Było sucho, więc nie ma mowy o odciskach butów, choć na wszelki wypadek zakopałem tenisówki, w których byłem. Odciski palców? Odruchowo przetarłem ramię łóżka po tym, jak jej dotknąłem. Wiem to. Nie jestem głupi i już wtedy chyba spodziewałem się, co zrobię za kilka sekund.

– Ciekawi mnie jedno... – zwracam się do Liz. Odkładam gazetę i zakładam nogę na nogę.

– Co takiego?

– Czy ten zboczeniec znowu zaatakuje. Wydaje mi się, że po takiej napaści zyskał jedynie wiarę w siebie. Mówię ci, trzeba uważać...¹⁴

66.

1 LUTEGO

Biję na oślep. Pięściami i łokciami. Kopię. Nie wsłuchuję się w jęki ani w szloch. Słyszę plaśnięcia rozłukiwanych stawów oraz skóry. Szarpnię za włosy, których całe pukle zaplątują mi się między palcami. A potem znów kopię, kopię, kopię...

Dyszę ze zmęczenia. Mięśnie mnie palą, a w głowie czuję niesamowitą jasność. Jednocześnie wiem, że czeka mnie jeszcze sporo pracy. Teraz nie chcę tego zostawić w ten sposób. Nie odpuszczę zbyt szybko. Ryzykowanie jest dobre, kiedy nie ma się wszystkiego przemysłanego, ale ja zastanowiłem się nad każdym krokiem. Analizowałem je przez ostatni miesiąc.

To nie jest sen. To nie są moje marzenia ani wyobrażenia. Skoro raz mi się udało, musiało udać się ponownie. Tyle że wszystko mam pod zdecydowanie większą kontrolą.

Nieprzytomna dziewczyna leży na podłodze. Podwijam jej bluzkę i chwytam ją za pierś. Ściskam ją, ale nagle się wyprostowuję. Nie,

zaplanowałem to zupełnie inaczej. Muszę podporządkować się przede wszystkim samemu sobie.

Wyciągam z siatki biały sweter i zakładam go na dziewczynę. Z trudem przechodzi przez jej głowę, a krew brudzi materiał. Widzę to w półmroku, ale nie zwracam na to większej uwagi. Zdarza się. Nie spodziewam się żadnych problemów.

Garbus pożyczony od Elizabeth stoi przed samym wejściem. Bez problemu przenoszę lekką dziewczynę do auta. Wygląda, jakbym niósł swoją nachlaną partnerkę, więc nawet jeśli ktoś nas widzi, nie powinien niczego podejrzewać. Otwieram drzwi i wrzucam ją do środka. Pośpiesznie obchodzę samochód, po czym usadawiam się na miejscu kierowcy.

- Cześć, kochanie - szepczę. - Źle się poczułaś?

Z ust dziewczyny wydobywa się stłumione charczenie. Być może wybiłem jej kilka zębów oraz uszkodziłem język. To nic.

- Pojedziemy na wycieczkę - dodaję. - Cieszysz się?

Mniej więcej opracowałem trasę. Przejechałem nią trzykrotnie w ciągu ostatnich kilku dni. Jest praktycznie nieuczęszczana, a odległość wynosi mniej niż piętnaście mil w jedną stronę. Po kilkunastu minutach jazdy zjeżdżam między nieużytki. Auto podskakuje na wybojach i obawiam się, żeby się nie zakopało. Właśnie tu planowałem się zatrzymać.

- Będziemy mieli czas na romantyczną randkę - mówię, opuszczając samochód. Obchodzę go i wyciągam nieprzytomną dziewczynę na ziemię. - Pobaraszkuje, dobrze? Tu nam nikt nie będzie przeszkadzał.

Rozpinam guzik oraz rozporek. Ściągam spodnie. Następnie nachylam się nad leżącą dwudziestokilkulatką. Podciągam jej sweter, po czym zaczynam dotykać jej ciała. Najpierw brzuch, potem piersi... Nadchodzi totalny odlot. Życie jest piękne. Mówię wam, należy je jedynie ułożyć po swojemu.

Fakultety prawnicze do czegoś się przydają. Kryminalistyka, kryminologia, te wszystkie bzdury o nowoczesnych sposobach badania śladów. Ponoć za jakiś czas mogą pojawić się badania DNA, ale na razie to bajki. Pieśń utopijnej przyszłości. Na razie realizuje się dystopia.

Odciski palców, ślady krwi, ślady biologiczne, laboranci robią, co mogą, lecz na niewiele im się to zdaje. Znacznie lepsze efekty przynosi analiza statystyczna, typowanie świadków oraz potencjalnych sprawców przestępstw, badania populacyjne oraz porównawcze.

Najważniejsze jednak jest ciało. Bez niego śledztwa właściwie nie ruszają z miejsca. Przynajmniej jeśli chodzi o dziewięćdziesiąt dziewięć procent przypadków. Żeby znaleźć się w pozostałym procencie, po prostu trzeba mieć pecha.

Najbezpieczniejsze byłoby zabieranie się za kobiety, których zaginięcia nikt nie zgłosi. Męty społeczne, ćpunkki, Indianki albo imigrantki. Brzydzą się nimi. Myślałem o tym, ale nie potrafiłbym poczuć do nich niczego poza odrazą.

Autostopowiczki. To już co innego. Bywają urocze, zadbane dziewczyny, które wybrały się w przygodę życia. One mogłyby być dobrym celem, lecz nie jest łatwo sprawić, by pojawiły się na zawołanie. Tak jak popęd. Zastanawiałem się nad wynajęciem jakiegoś domku na uboczu, w którym mógłbym je przetrzymywać. Ale teraz na to jeszcze nie czas...

Teraz muszę pozbyć się śladów tej małej jędry. Ściskam drewnianą rączkę ogromnego noża i prowadzę kolejne cięcia. Odcięcie głowy nie stanowi specjalnego problemu. Właściwie jest łatwiejsze, niż sądziłem. W chwili, gdy przecinam gardło, z martwego ciała wydobywa się dźwięk podobny do bulgotania w zlewie. Trwa tylko sekundę lub dwie, lecz odbiera mi resztki podniecenia. Kojarzy mi się z czymś brudnym.

Za chwile przyjemności należy zapłacić. I nie mam na myśli chwil z dziewczyną, której ciało właśnie rozkawałkowuję, lecz marzę już o następnej. Aby ją osiąść, nie mogę dać się złapać. Nie mogę zostawić żadnych śladów.

Elizabeth niepotrzebnie zwróciła uwagę na mój nóż. To solidny wyrób, który ukradłem z profesjonalnego sklepu z akcesoriami do kuchni. Idealnie wyważony, a co najważniejsze, z ostrzem, które tnie kości jak miękkie warzywo. W garbusie mam jeszcze tasak, ale nie będzie mi potrzebny.

Staw łokciowy rozcinam czterema albo pięcioma ruchami. Strzęp skóry zwiesza się, jakbym patroszył kaczkę. Kości rozdzielają się z chrzęstem. Odciętą rękę wrzucam do przygotowanego worka na śmierci, w którym już są obie stopy kobiety. Na szczęście nie wypłynęło z nich zbyt wiele krwi. Lepka maź zebrała się na samym dnie, lecz nie ma niebezpieczeństwa, że się wyleje. Ostatnie, czego bym chciał, to aby jakiś patrol zatrzymał mnie z kawałkami ciała na fotelu.

Nie będę ich wiozł. Część porzucam po okolicy, aby zajęły się nimi dzikie zwierzęta, a worek zakopię. Trochę mi żal, że tak kończy dziewczyna, która niedawno dała mi pełne zaspokojenie. Mogłaby się przydać ponownie¹⁵.

Trudno. Znajdę następną.

68.

12 MARCA 1974 R.

Chcieliście dobrej zabawy? Proszę bardzo, podglądajcie mnie jak przez szybę.

„Zostaw mnie! Nie mam czasu, idę na koncert...”

To były ostatnie słowa, które wypowiedziała ta dziwka. Na kampusie Evergreen State College w Olimpii rzeczywiście niósł się pogłos jakiejś

jazzowej imprezy. Ohydny łomot, którego nikt już nie słucha.

Dostała za swoje. Jej ciało wyrzucam niedaleko miejsca, gdzie porzuciłem rozkawałkowane zwłoki tamtej poprzedniej. Przenoszę je z samochodu, po czym zrzucam w szczelinę skalną. W oddzielnym worku mam jej stopy oraz ręce. Wciąż niepokoją mnie ślady papilarne i identyfikacja na ich podstawie.

Od ofiary do mordercy. To jedna z zasad, o których mówiono na wykładach. Szakale, niedźwiedzie i wilki poradzą sobie z nimi bez problemu. Rzucam je jak najdalej, w dół zbrocza, między drzewa. Nie zbiegnie tam żaden pies ani nie zejdzie żaden spacerowicz. Jeśli nie natkną się na nie drapieżniki, rozkład zrobi swoje.

Odciętą dłoń chwytam tak, jakbym się z tą dziewczyną witał. Jej skóra jest jeszcze ciepła. Są na niej ślady lepkiej krwi. Odrzucam ją z odrazą, po czym ocieram rękę w spodnie.

Czas wracać. Elizabeth może zacząć się niepokoić. Wolę nie wzbudzać u niej żadnych podejrzeń. Poza tym postanowiłem, że będę ją zaspokajał co najmniej dwa razy w tygodniu. Jakby nigdy nic i dla rozładowania własnych pragnień. Na coś więcej pozwolę sobie raz w miesiącu. Dyscyplina pozwala uniknąć błędów. Resztę mogę zdać na czysty przypadek.

Wracam do auta i uruchamiam silnik. Upewniam się, że na siedzeniu obok leży zawiniątko z głową dziewczyny. Odciałem część jej włosów oraz zdarłem kawałek skalpu. Za ich pomocą identyfikacja i tak nie jest możliwa. Wydłubałem również kawałek gałki ocznej, rozduśiłem nos oraz wyrwałem resztkę kręgosłupa. Rdzeń albo coś podobnego ciągnęło się jak sznurek. W czaszce pewnie nadal tkwi mózg. Usunąć go czy nie?

To pytanie powtarzam sobie, gdy siadam przed kominkiem pełnym drwa. Ogień rozpałił się na dobre, a ja uchyliłem drzwiczki, by dym rozniósł się po domu. Po powrocie powiedziałem Elizabeth, że jest mi piekielnie zimno i muszę się ogrzać. Molly śpi, a ona poszła na górę, więc mam cały dół do dyspozycji.

Pal diabli mózg. Żeby go usunąć, musiałbym albo wykroić część kości, albo starać się dostać do czaszki przez podbródek. Nadal wystają z niego resztki mięsa, ścięgien oraz języka. To karkołomne patroszenie. Poza tym co miałbym zrobić z odpadkami? Ogień strawi je do cna.

Wrzucam czaszkę do ognia, po czym dokładam do niego kolejne kawałki drewna. Z kominka bije żar oraz roznosi się nieprzyjemny swąd.

Cholera. Nie spodziewałem się, że smród będzie aż tak mocny. Zamykam drzwiczki i maksymalnie otwieram przewód kominowy. Mam nadzieję, że odór nie poniesie się po okolicy. Jest dość mocny wiatr, ale...

- Co tak cuchnie?!

Podskakuję jak oparzony. Z dłoni wypada mi pogrzebacz.

- Liz...

Elizabeth stoi w progu i marszczy czoło. Jest w koszuli nocnej, ma potargane włosy i książkę w dłoni.

- To jakieś drewno... - tłumaczę. - Pewnie było puste, a do środka włożył szczur albo coś. Zdarza się... Niedługo przestanie.

Elizabeth kiwa głową i kieruje się do kuchni. Po chwili wraca na górę ze szklanką wody.

- Chodź już, Ted. Jest strasznie późno.

- Tylko podtrzymam ogień i pędzę. Możesz na mnie zaczekać, kochanie. Dopilnuję, żeby ten szczur całkowicie się wypalił...¹⁶

69.

17 KWIETNIA

Macie już dość? To dopiero początek.

Chwilowo koniec z tymi scenkami, z moimi wspomnieniami i opowiastkami. Moja wyobraźnia, jak widzicie, działa całkiem dobrze.

Teraz czas na was.

Spójrzcie na mnie. Niech przed oczami stanie wam moja twarz. Widzieliście mnie na jakimś filmie albo na zdjęciu? Kojarzycie mnie z koszulek, jakie nosiły dziewczyny wierzące w moją niewinność? A może wy również w to wierzycie?

Co byście powiedzieli, gdybym teraz wyznał, że to wszystko, co słyszeliście dotychczas, to jedynie ohydna narracja śledczych? Pasowałem im na kozła ofiarnego. Idealnie nadawałem się na łącznik między kolejnymi ofiarami, choć wiele elementów kompletnie się nie zgadzało. Jak to się mówi, lepszy kulawy podejrzany niż żaden.

Spójrzcie mi prosto w oczy. Mam pociągłą twarz i sympatyczne rysy. Lekko kręcone, sztywne włosy nadają mi dziecięcy wygląd. To ponoć kwestia atawistyczna oraz zakorzenionego w kulturze sposobu przedstawiania aniołów. Moje usta są co prawda wąskie, lecz uśmiech naturalny i miły. Oczy... Duże i szczere. Ich spojrzenie nie jest przytłaczające, a raczej fascynujące. Spodobałoby się wam.

Pomyślcie, że właśnie teraz się uśmiecham. Delikatnie odsłaniam zęby, a w policzkach robią mi się dołki. W kącikach oczu mam zmarszczki. To też się podoba. Wydaje się, że śmiech jest dla mnie całkowicie naturalny.

Wierzycie w opowieść prokuratury?

A może nie powinienem się wstydzić, że ewoluowałem? Stawałem się idealnym drapieżnikiem, któremu ulegały kolejne ofiary. Doskonalilem swój system. Rozwijałem się jak nikt nigdy przede mną. Ewoluowałem i dopasowywałem do sytuacji. Zapuszczałem i skracałem włosy. Zmieniałem sposób ubierania się, mówienia, a nawet chodzenia.

Z siedemnastym kwietnia łączy się moje kolejne dobre wspomnienie. Pamiętacie, że postanowiłem działać w miesięcznych odstępach? Nie zwlekałem, co to, to nie. Po prostu dwa razy mi się nie udało. Czaiłem się na dziewczyny, próbowałem je zagadać lub zaatakować, lecz zbyt szybko je płoszyłem. Pojawiali się świadkowie lub zdawałem sobie sprawę, że coś może pójść nie po mojej myśli.

Siedemnasty kwietnia... Po raz pierwszy zdecydowałem się działać nieco delikatniej. Napaści w domach bywały ryzykowne. Poza tym przenoszenie nieprzytomnych kobiet lub ich ciał nastręczało trudności. Trudności należy unikać, to podstawowa zasada. Tak samo jak wszystkiego, co nieprzyjemne.

- Przepraszam, pomożesz mi? - pytam dziewczynę przechodzącą obok mnie. - Cholera, zaraz wszystko rozsypię.

Chwieję się na nogach, próbując utrzymać wielki karton pełen książek. Sapię i wzdycham.

- Napakowałem tego jak głupi... Tektura chyba się rozkleiła.

- Gdzie chcesz to zanieść?

Dziewczyna się zatrzymuje i pomaga mi podtrzymać pudło. Uśmiecha się sympatycznie.

- Tam stoi moje auto. - Skinieniem głowy wskazuję na brązowego volkswagena. - Drzwi są otwarte, wystarczy, że pociągniesz klamkę.

- Jasne. Czekał, dasz radę przenieść to te parę metrów?

- Chyba... Kurczę, przeceniłem swoje siły.

Dziewczyna się śmieje. Otwiera na oścież drzwi garbusa, po czym nieco się przesuwają.

- Pomóż mi, proszę, położyć je na tylną kanapę - rzucam zmęczonym tonem. - Nie wiem, jak ci się odpłacę. Jakby co, mogę się odwdziżyć książkami.

- Widzę, widzę... Nie wiem, kiedy chcesz to wszystko przeczytać.

Kładziemy karton do samochodu, a kiedy się wyprostowuję, sięgam po dwustronny klucz do kół. Chwytam go w obie dłonie. Nim dziewczyna się orientuje, co się dzieje, zadaję jej dwa ciosy prosto w twarz. Rozbijam jej nos, a z jej ust tryska krew. Jedno z oczu błyskawicznie puchnie. Wpycham ją do środka pojazdu, po czym go obiegam. Wszystko poszło jeszcze łatwiej, niż sądziłem¹⁷.

70.

10 MAJA

Wracam do niej. Stęskniłem się.

Po kilku dniach odnajduję miejsce, gdzie porzuciłem jej ciało. Leży na skalistym zboczach w krzakach. Od drogi jest osłonięta linią niskich, rozłożystych sosen. Ma odrzuconą do tyłu głowę i ręce wygięte, jakby starała się na nich unieść. Może, kiedy ją zostawiłem, jeszcze żyła? Nie sądzę. Choć chyba nie sprawdzałem szczególnie dokładnie... Tamtego wieczoru wypiłem zdecydowanie zbyt wiele¹⁸.

Unoszę jej głowę i gładzę długie włosy. Są posklejane przez krew oraz błoto. To nic. Spoglądam w jej przymknięte oczy. Ma złamany, zakrwawiony nos i sinofioletową skórę. Policzki są popękane, z mocno zarysowaną siecią żyłek. Spomiędzy granatowych, obrzmiałych warg wystaje sztywny jak kolec język. Na jego końcówce zastygł duży skrzep krwi.

– Witaj ponownie, moja droga – szepczę. – Cieszysz się, że wróciłem?

Dziewczyna jest całkowicie naga. Jej ubrania rozrzuciłem kilkanaście mil dalej, wzdłuż drogi. Wyrzucałem je z auta, a wiatr roznosił je po okolicy. Nie sądzę, by ktokolwiek zwrócił na nie uwagę.

Dotykam jej łona. Gładzę je i wtykam w nią palce. Jest już zimna, bardziej śliska niż wilgotna. To pewnie kwestia rozkładu. Choć temperatury są niskie, jej ciało ma brązową barwę.

Chwytam ją za ramiona i odwracam. Bezwładnie upada na twarz. Jej plecy oraz pośladki pokrywają ciemnofioletowe plamy opadowe. Uczylem się o nich. Jednak to wszystko nie zmienia faktu, że jest tylko moja. Że mogę zrobić z nią to, co zapagnę.

Poza tym jest naprawdę ładna. Śmierć sporo zmienia, ale nie tak szybko, jak by się mogło wydawać. Wchodzę w nią bez problemu. Poruszam się, opierając jedną dłoń na jej udzie, a drugą zaciskając na

pośladku. Z jej sromu wydobywa się cichy syk, jakby powietrze uchodziło z wentyla opony. Nie przeszkadza mi to.

Chwytam jej włosy i zaczynam je ciągnąć. Przepuszczam je między palcami. Nie przestaję przy tym jej penetrować. Mocno i brutalnie.

- To dobrze, że jesteś martwa - syczę. - Gdybyś żyła, krzyczałabyś z bólu.

Opieram się o jej potylicę tak, że trzaska jakaś kość. Być może łamie się jej kark albo któraś z chrząstek w gardle. Ma głowę obróconą pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Widzę jej zniekształcony, poobijany profil oraz opuchnięte oko.

Nie mogę się już powstrzymać. Dochodzę w momencie, gdy z jej ust wypelza biały robak. Spoglądam na niego, potem na nią i czuję, że jestem wszechwładny. Robak wije się po jej wardze, po czym spada na ziemię. Pełzając, oddala się, jakby nawet on czuł przede mną strach.

71.

Chwila odpoczynku? Chcecie nabrać oddechu?

Naprawdę go potrzebujecie?

No dobrze. Przyjmijmy, że miesięczne przerwy nadal obowiązywały. Że trzymałem się harmonogramu oraz hamowałem swój popęd. Każdy facet wie, a każda kobieta musi się domyślać, jak to naprawdę wygląda. Tym bardziej gdy się wie, że można. Że nic nas nie ogranicza. Że jedyną barierą są wyobrażenia oraz pożądanie. No i że się ma rozkładające zwłoki do wyłącznej dyspozycji...

Mniejsza o to. Na same wspomnienia tamtych dziewczyn robi mi się przyjemniej. Czuję też swąd włosów palonych w kominku oraz słyszę trzask pękających kości czaszki. Przypomina mi się gładkość skóry poszczególnych kobiet, włoski na ich dłoniach, nogach, łonie... Przypomina mi się ich zapach. Smród rozkładających się ciał, pleśni

i grzybów, pełzające robactwo, rozrywająca się skóra, pękające naczynia krwionośne oraz sine paznokcie.

Dość. Wiem, że chwila przerwy bywa niezbędna.

W życiu każdego z nas dramatyzm miesza się ze śmiechem, katastrofy z momentami radości, zabawy lub żartów. Sedno, byśmy to my mogli żartować ze świata, a nie świat z nas. Zapamiętajcie to sobie.

Po ostatniej kampanii wyborczej moje notowania wzrosły. Evans cały czas mi sprzyjał. Nikogo nie poinformowałem, że przestałem uczęszczać na studia, więc uważano, że lada rok zostanę przedstawicielem prawnym urzędu.

Awansowałem na stanowisko zastępcy dyrektora Komitetu doradczego do spraw zapobiegania przestępczości w Seattle. Na zlecenie szefa przygotowywałem kolejne broszury, które miały odmienić sytuację bezpieczeństwa w mieście. Znacie to. Urzędnicy, aby się wykazać, robią całkowicie niepotrzebne rzeczy. Jakim cudem kilka kartek z wydumаныmi postulatami mogło wpłynąć na przestępczość? To więcej niż idiotyzm. To manipulacja oraz cynizm.

- Brzmi świetnie. - Dyrektor odkłada wydruk i z uznaniem kiwa głową. - Odwalasz naprawdę dobrą robotę, Ted.

- Dziękuję panu.

Znajdujemy się w jasnym, przestronnym gabinecie. Pod dużymi oknami stoi kilka paproci, jedna ściana jest przeszklona, a przy dwóch pozostałych ustawiono biblioteczki. Pośrodku znajduje się duże biurko, do którego przylega stół konferencyjny.

- Zlecę druk oraz dystrybucję - stwierdza dyrektor. Jeszcze raz bierze mój projekt broszury, po czym obraca ją w dłoni jak jakieś dzieło sztuki. - Na początek, powiedzmy, pięć tysięcy egzemplarzy. Wolontariusze rozdadzą je pod kościołami, centrami handlowymi oraz na dworcach.

- To dobre miejsca - zgadzam się. - Proponuję jeszcze szpitale oraz kampusy uniwersyteckie. Może rozdawano by je po niektórych wykładach? Mógłbym przygotować odpowiednią rozpiskę...

– Świetnie!

Dyrektor odkłada broszurę i zaciera ręce. Sądzi, że swoimi działaniami zyska poklask przełożonych.

Owszem, dedykowana kobietom broszura o zapobieganiu gwałtom może się podobać. Włożyłem w nią mnóstwo pracy¹⁹.

72.

Moje zaangażowanie w pracy zostało zauważone. Kolejna propozycja zakrawała na żart, ale była całkowicie poważna. Ktoś polecił mnie komuś, kto znał kogoś. To wszędzie funkcjonuje tak samo. Uznano, że jestem wschodzącym talentem i najbardziej kompetentną osobą do pracy w DES. Mówi wam coś ten skrót?

Department of Emergency Services. Wydział Służb Ratunkowych. Stanowa agencja z państwowymi funduszami oraz bardzo dobrym systemem wynagrodzeń. Może nie była to praca marzeń, ale pozwalała na optymistyczne spojrzenie w przyszłość. Myślałem o rozwoju kariery, o wchodzeniu na jej kolejne szczeble oraz o nowych znajomościach. W wydziale pracowało sporo wpływowych osób.

Jednym z moich zadań było nadzorowanie poszukiwań zaginionych kobiet. Nie śmiejcie się, właśnie tak toczy się świat. Teraz już wiem, że zbiegi okoliczności nie istnieją. Zamiast nich jest tylko i wyłącznie przeznaczenie.

Przeznaczeniem jest również miłość. Może to brzmieć górnolotnie, pomyślcie teraz o dołkach w moich policzkach, gdy się uśmiecham, ale naprawdę uważam, że czuwa nad nami jakaś opatrność.

– Mogę się przysiąść?

Zatrzymuję się przy jednym ze stolików wydziałowej stołówki. Trzymam przed sobą tacę z burgerem oraz frytkami. Spoglądam na uroczą blondynkę o lekko kręconych włosach, pociągłej twarzy i okularach w okrągłych oprawkach. Kobieta skinieniem głowy daje mi

znać, bym siadał. Właśnie kończy przeżuwać skrzydełko kurczaka. Wypluwa kość i uśmiecha się do mnie.

- Podałabym ci dłoń, ale jestem cała w tłuszczu - mówi, puszczając do mnie oko. - To ty jesteś tym nowym gwiazdorem wydziału?

- Tak o mnie mówią?

- Niektórzy. Wiesz, każdy świeżak jest przedmiotem rozmaitych plotek. Kobiety dostają się tutaj przez łóżko, a mężczyźni... Sama nie wiem.

Siadam przy stoliku i przesuwam tacę.

- Dostałaś się tutaj przez łóżko? - dopytuję z aktorskim niedowierzaniem, kręcąc głową. - Chyba będę musiał mocniej się starać o awans.

Kobieta unosi tłusty palec i nie przestając się uśmiechać, grozi mi. Jest w niej coś rubasznego, nawet ordynarnego, a zarazem piekielnie pociągającego. To właśnie nazywam przeznaczeniem. Spoglądałam na nią tak, jak na Diane albo na Elizabeth. Owszem, przez moment zastanawiam się, jak by wyglądała z rozbitą głową, leżąc całkowicie naga w trawie, ale to wyobrażenie mi do niej nie pasuje. Znacznie łatwiej wyobrażam ją sobie w pomiętej pościeli, wypiętą i gotową na każde wyzwanie, jakie tylko w łóżku może rzucić mężczyzna.

- Okej, zróbmy to oficjalnie. - Unoszę dłoń i również puszczam do niej oko. - Ted Bundy.

- Wiem.

- A ty?

Kobieta odchyła połę rozpiętego swetra, pod którym ma koszulę z dużym dekoltem. Na wysokości biustu nosi przyczepioną plakietkę.

- Carole Ann B. - odczytuję. - Ładnie. Miło cię poznać.

Carole Ann B. jest we mnie całkowicie zapatrzona. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek uda mi się tak bardzo zawładnąć kobietą. Spędzamy mnóstwo przyjemnych chwil. Spacerujemy po Olympii, stolicy stanu Waszyngton, gdzie znajduje się siedziba wydziału DES. To urocze, choć dość małe miasto. Rzeka Deschutes uchodzi w nim do zatoki, a nieopodal jest port rybacki, częściowo zachowany w niezmiennym stanie od stu lat. W miejscowej tawernie wypijamy piwo lub rum, a potem wracamy ścieżką wiodącą u podnóża parku narodowego.

W weekendy, kiedy nie wracam do Elizabeth, robimy sobie wycieczki w Olympic Mountains. Widok tonącej w mgłę cieśniny Juana de Fuca to niezapomniane przeżycie. Są dni, że mógłbym się wpatrywać w nią godzinami.

Godzinami mógłbym również wpatrywać się w nagie ciało Carole. Jest w niej coś, co mnie całkowicie urzeka. Nie ma kształtów modelki, lecz jakiś naturalny wdzięk, któremu nie potrafię się oprzeć. Lubię lekko chropawe brzmienie jej głosu i mocne, wyzywające spojrzenie. Lubię sposób, w jaki ściąga z nosa swoje okrągłe okulary.

Nasze spotkania nieco mnie rozładowują. Jednak trwa to tylko przez pierwsze upojne dni. Szybko zdaję sobie sprawę, że nie potrafię powiedzieć jej o wszystkich swoich pragnieniach. Nieważne, czy je spełni, czy nie. Chodzi o jakiś opór, który tkwi we mnie.

Poza tym...

Jeśli się kogoś zabije i zrobi się z nim to, co się chce, człowiek się uzależnia. Nie chodzi o żadne błędy w budowie mózgu albo chorobę. To całkowicie naturalne. Mężczyzna dąży do kompletnego podporządkowania sobie kobiety, a może zrobić to tylko w ten jeden jedyny sposób. Pozbawiając ją życia.

Później seks już nigdy nie jest taki sam. Już nikt nie może dać pełnego zaspokojenia, bo granice tkwią we mnie. Tak, często się nad tym zastanawiam i wiem, że to wieczne koło, karuzela śmierci oraz satysfakcji.

Nieustannie się jednak rozwijam. Sposób z kartonem pełnym książek jest problematyczny. Wymaga wiecznego składania pudła oraz szczególnej ostrożności. Poza tym ktoś dźwigający wielki karton w końcu zaczyna zwracać na siebie uwagę. Muszę to zmienić. Oczywiście facet taszczyący kilkadziesiąt kilogramów książek wygląda na niewinnego kujona, profesorka, który nikomu nie może zrobić krzywdy, lecz mam jeszcze lepszy pomysł.

Wiem, co zrobić, żeby żadna kobieta się mi nie oparła. Żeby nakłonić je do pomocy, a zarazem mieć niemal pełną swobodę ruchów.

– Ach, czy mogłaby mi pani pomóc? – Nachyliam się do lustra i robię błagalną minę. Jestem zadowolony z efektu. Ćwiczenia czynią mistrza. – Bardzo panią proszę...

74.

11 CZERWCA

No dobrze. Czas na decydujący sprawdzian.

Spoglądam na zegarek i z zadowoleniem odczytuję godzinę. Czwarta czterdzieści siedem. Wczesny ranek, choć robi się powoli jasno. W końcu za niespełna dwa tygodnie najdłuższy dzień roku.

O tej porze w okolicy akademików Uniwersytetu Waszyngtońskiego jest całkowicie pusto. Trwa sesja, podchodzący do niej uczą się do egzaminów, a reszta już wyjechała. Profesorzy mieszkają w innej części miasteczka. Tam zapewne można by spotkać kilku starszych mężczyzn w kraciastych garniturach z poplamionymi rękawami. Noszą źle dobrane krawaty oraz szelki, o które co rusz zaczepiają się poły ich marynarek. To zgrzybiali tetrycy, których całe życie kręci się wokół uniwersytetu. Na szczęście nie ma ich w zasięgu wzroku.

Na rowerze alejką przejeżdża dwudziestokilkulatek w kolorowej koszuli oraz krótkich spodenkach. Kalifornijska moda przybyła również

w te strony. Pogoda tego ranka sprzyja podobnym wycieczkom.

Wzdłuż drogi wciąż świecą się latarnie. Drzewa rzucają długie cienie, a delikatny wiatr szeleści wśród liści. To przyjemny szmer, który kojarzy się z nadchodzącym latem. Wakacje... Czy stąd wyjadę?

Momentami robię się senny i jest mi zimno, lecz postanawiam zaczekać. Być może powinienem zacząć się gdzieś indziej. Zamiast środka miasteczka uniwersyteckiego rozsądniejsze wydawało się włóczenie nieopodal budynków damskich stowarzyszeń. Jednak od razu zwróciłbym uwagę. Choć od paru lat mogą tam pojawiać się mężczyźni, nadal wywołują zainteresowanie. Obowiązuje niepisany zakaz wstępu bliżej niż na parędziesiąt jardów od tej części kampusu.

Odwracam się i czuję gwałtowną ekscytację. Tą samą aleją, którą przed chwilą przejechał rowerzysta, idzie zgrabna dziewczyna. Śpieszy się, wracając zapewne z przedłużonej schadzki. Kołysze biodrami, świadoma swoich doskonałych kształtów. To zakorzeniony nawyk, gdyż nie zdaje sobie sprawy, że ją obserwuję.

Pora i miejsce powinny sprawić, że jej czujność wzrośnie. Nieufność tym bardziej. To wszystko traktuję jako elementy wyzwania. Drapieżniki lubią bawić się z ofiarą, która po intensywnym polowaniu smakuje najlepiej. Ja jestem drapieżnikiem.

- Jestem drapieżnikiem - szeptem powtarzam ostatnią myśl.

Wspieram się na kulach i mocniej chwytam dużą paczkę pełną dokumentów. To nieistotne papiery, po których w razie czego nie można byłoby mnie zidentyfikować. Szpargały zabrane z biblioteki, ukradzione z księgarni oraz wyniesione z urzędu i domu. Zwykła makulatura.

Gips nieco mnie uwiera, ale to dobrze. Dzięki temu moje ruchy z pewnością są bardziej naturalne. Wspieram się na kulach, nieudolnie wlokąc pudło. Zataczam się. Gdy wychodzę zza linii drzew, dziewczyna wreszcie zwraca na mnie uwagę. Nasze spojrzenia się spotykają.

- Hej... - dyszę, kiedy znajduje się kilka metrów ode mnie. - Mogłabyś mi pomóc? Jadę na parę dni do Ann Arbor i chyba

przesadziłem z bagażem...

– Jezu, połamać się w środku lata? Co za niefart.

Dziewczyna bez zastanowienia bierze ode mnie pudło i chce wesprzeć mnie na ramieniu. Uchylam się, aby nie skrępowała mi ruchów.

– Niosę to do auta... – mamroczę.

– Będziesz jechał ze złamaną nogą?

– Nie mam wyjścia. Dzięki za pomoc... Mój garbus stoi tam, za rogiem.

– Jasne. I tak już się dzisiaj nie położę, a o tej porze nie wiadomo co robić. Wszyscy śpią, choć ranki są wyjątkowo piękne. Też lubisz zrywać się skoro świt?

Dziewczyna podąża tuż obok mnie, trajkocząc jak najęta. Jest taka szczęśliwa.

75.

13 CZERWCA, RANEK

Cholera.

Spoglądam na łażących po okolicy gliniarzy i na wóz techników zaparkowany nieopodal budynków żeńskich akademików. Są tu również psy tropiące, ale te kręcą się całkowicie bez sensu. Od razu widać, że nie zwietrzyły tropu. Gdzieś czytałem, że kiedy szkolony pies wie, że nie jest w stanie wykonać zadania, zaczyna ziewać. Dwa owczarki siedzą i właśnie co rusz to robią.

Nie mogę się wycofać, gdyż wzbudziłbym tym podejrzenia. Ktoś mógłby zauważyć faceta, który szedł w stronę ekipy policyjnej i nagle zawrócił. To nie wyglądałoby dobrze.

Wstrzymuję oddech i staram się nie zmienić szybkości chodu. Przechodzę w pobliżu psów, udając, że nie zwracam na nie żadnej

uwagi. Kątem oka obserwuję ich reakcję. Jeden obraca się w moją stronę i bacznie mi się przygląda.

Cholera.

Pies unosi łeb jeszcze wyżej i lekko porusza nosem. Trzymający go policjant obrzuca mnie znudzonym wzrokiem, po czym ściąga smycz.

– Leo, spokój! – nakazuje zdecydowanym tonem. – Do nogi.

Pies posłusznie obchodzi go i siada przy jego prawym butcie. Traci mną jakiegokolwiek zainteresowanie.

Idę dalej. W nocy mój volkswagen stał niespełna pięćdziesiąt metrów stąd. Przebywam je szybkim krokiem, przypominając sobie, jak dużo czasu zajęło mi pokonanie tej drogi z gipsem i wspierając się na kulach.

Mijam kolejnych dwóch gliniarzy oraz technika, który specjalnym reflektorem oświetla pobliski trawnik. Zapewne ostatnie wydarzenia zmusiły służby do zwiększonego wysiłku i staranniejszych działań. W statystykach mają kilka zaginionych oraz zapewne jeszcze więcej rozmaitych podejrzeń. Wiem coś o tym. Część raportów, które trafiają na biurko władz policyjnych, ląduje również wśród moich dokumentów. Mówiłem wam, że zbiegi okoliczności nie istnieją. To musiało być przeznaczenie.

Muszę coś sprawdzić. Wróciłem tu tylko w jednym celu. Przez całą dobę męczyła mnie myśl, że w trakcie szarpaniny przy volkswagenie ta dziewczyna zgubiła but. Gdy zobaczyła, że gips to tylko atrapa, wpadła w furję i zaczęła się bronić. Wtedy musiałem ogłuszyć ją łomem. Gdyby śledczy trafili na jakiegokolwiek ślady walki, od razu mieliby istotny trop. Nie tylko domyśliliby się, że studentka została porwana, ale również, że użyto do tego auta.

Podchodzę na parking i uważnie się rozglądam. Zatrzymałem się dokładnie tutaj i...

Od razu dostrzegam but. Leży przy studziencie ściekowej, niedaleko miejsca, gdzie parkowałem. Pośpiesznie do niego podchodzę i się rozglądam. Poszukiwania jeszcze tu nie dotarły. Nie wiem, jakim cudem

psy nie zwietrzyły tak nieodległego tropu. Podnoszę pantofel i chowam go za poję marynarki. Teraz lepiej, żeby psy nie zwróciły na mnie uwagi. Wolę nadrobić drogi niż dać się złapać z dowodem rzeczowym za pazuchą.

Kiedy chcę odejść, dostrzegam coś jeszcze. Coś błyszczącego. Schylam się i biorę w palce spory złoty kolczyk. Być może należał do niej. Wolę nie ryzykować.

Jakby nigdy nic kieruję się ku bocznej alejce kampusu. Mijam dwóch policjantów, przyciskając do podszewki pantofel dziewczyny, której wszyscy szukają²⁰.

76.

Tamta dziewczyna miała na imię Georgann H. Tak podają gazety.

Zabrałem ją dwadzieścia kilka mil na wschód od Seattle i rozprawilem się z nią w krzakach na poboczu w bezludnej okolicy. Przez kolejne dni wracałem do niej kilkakrotnie. Dopóki byłem w stanie znieść odór jej gnijącego ciała. Dopóki ona była zdatna do tego, czego od niej oczekiwałem.

Przerzucam strony kolejnych gazet. W ciągu ostatnich dni wykupiłem chyba wszystkie lokalne dzienniki, by znaleźć wzmianki o zaginionych. Policja nie ma żadnych dowodów śmierci tych kobiet. Cały czas prowadzi ich sprawy jako zaginięcia, podejrzewając ich uprowadzenia.

Niepokoi mnie jednak systematyczność, z jaką zabrali się do roboty. To już nie jest zwykłe dochodzenie, ale uruchomiona została cała machina. Zdarza się to w rzadkich przypadkach, gdy chodzi o coś naprawdę poważnego. Co gorsze, do mojego urzędu nie docierają niemal żadne wieści. Jakby policja postawiła barierę informacyjną nawet do służb, które zazwyczaj z nią współpracują. Obstawiam, że boją się medialnych przecieków.

Ludzie mogliby się wściec. Dziennikarze i tak zaczynają snuć swoje domysły i interpretacje. Składają całościowy obraz z mnóstwa fragmentów. Dotarli do paru świadków, kobiet, które twierdzą, że w okolicy kampusu widziały mężczyznę chodzącego o kulach. Zgłosiła się jakaś studentka, którą rzekomo ktoś poprosił o pomoc w przeniesieniu pudła do złotego lub brązowego volkswagena. Zdaje się, że nie potrafiła jednak opisać rysów napotkanego mężczyzny.

Bardzo starannie analizuję każde słowo. Zastanawiam się, co mogli mieć na celu dziennikarze piszący te artykuły. Czy współpracują z policją? A może ich teksty to wabik na porywacza? Wiem, że takie prowokacje zdarzały się w historii śledztw. To możliwe. Choć wiedzą dość dużo, zdecydowanie więcej, niż bym chciał. Ale to nic. I tak są zbyt głupi, by cokolwiek z tym zrobić. Nie wiem jedynie, dlaczego stali się tacy upierdliwi. To tylko kilka dziewczyn...

Do tego jakiś mądrała nakreślił analizę cech wspólnych dla wszystkich zaginięć. Kobiety były ubrane w niebieskie jeansy, miały około dwudziestu lat i był studentkami. Większość z nich miała taką samą fryzurę, długie włosy z przedziałką na środku głowy. Były szczupłe lub dość szczupłe i zaginęły w nocy. W analizie ponownie pojawia się wzmianka o volkswagenie.

Odkładam gazety i zakładam nogi na krzesło stojące przy stole. Rozpieram się na kanapie, po czym zamykam oczy. Zbieram myśli. Z każdym dniem będzie mi trudniej. Może powinienem wyjechać do innego stanu? Albo zrobić przerwę i wziąć ich na przeczekanie. O każdej sprawie, nawet najbardziej przerażającej, społeczeństwo w końcu zapomina. A jeśli zapomina społeczeństwo, zapominają też służby oraz dziennikarze. Temat staje się nieatrakcyjny jak podstarzała dziwka.

Zamiast wyjeżdżać, znacznie lepiej jest się nasycić. Zaspokoić wszelkie pragnienia i przez chwilę odpocząć. Tylko czy to możliwe? Czy w ogóle bym chciał?

Nie. Ale wiem, że na skutek tych myśli mój popęd jedynie narasta. Muszę wyruszyć na polowanie. I to takie, jak nigdy dotąd.

77.

14 LIPCA, PLAŻA PRZY LAKE SAMMAMISH, ISSAQUAH

Biała koszulka polo oraz krótkie spodenki w tym samym kolorze sprawiają, że zwracam uwagę dziewcząt. Dodają mi pewności siebie. Wyglądam na zamożnego chłopaka, który przybył nad jezioro wypocząć. Przebranie w sam raz pasuje do mojej historyjki. Pogoda również, jakby opatrność po raz kolejny pokazywała, że mi sprzyja. Jest bardzo ciepło, a na niebie nie ma ani jednej chmurki.

Na lewej ręce mam gips zawieszony na temblaku. Przygotowałem go tak, bym w razie potrzeby mógł jak najszybciej zdjąć. Chciałem wykroić w nim specjalną wnękę na metalowy klucz, ale bałem się odparzeń. Lepiej nie komplikować.

- Hej! - zwracam się do wysokiej dziewczyny w krótkich jeansach oraz obcisłym topie. Używam doskonałego brytyjskiego akcentu. - Mogłabyś mi pomóc?

- W? - Dziewczyna pyta niemal opryskliwie, oschle.

- Na parkingu, tam, za wzniesieniem, mam żaglówkę przymocowaną do auta. Sam nie mogę zdjąć zaczepu... Przez tę rękę mam tylko problemy.

Uważnie rozglądam się, czy zagadnięta nie poprosi zaraz o pomoc swojego faceta lub męża. Tego dnia zdarzyło się to już dwukrotnie. Musiałem się tłumaczyć i wymigiwać. Jednak tym razem dziewczyna przewraca oczami i macha dłonią.

- Miałam wypić pieprzonego drinka - mruczy. - Znajomi mnie wystawili i muszę na nich czekać ponad godzinę.

- W takim razie mamy czas. - Uśmiecham się serdecznie. - To potrwa tylko chwilę. Chodzi o jeden zaczep.

- Zaczep... Ach, tak. Anglikowi zepsuł się zaczep. Jesteś z Anglii, prawda?

- Mhm.

Mam wrażenie, że dwudziestokilkulatka jest podpita. Bełkocze, plecie trochę bez sensu, a do tego co rusz przewraca oczami.

- Prowadź - mówi niemal rozkazującym tonem. - Skoro padło na mnie...

Rzeczywiście w pobliżu jest kilkadziesiąt innych osób, ale dziewczyna nie dopytuje o nic więcej. Rusza obok mnie żwirową ścieżką. Po naszej lewej rozciąga się piękny widok na jezioro oraz plażę. Słońce skrzy się w tafli wody. W powietrzu unosi się zapach ognisk, grilla oraz sosen. Lubię to połączenie. Zawsze kojarzy mi się z wakacjami.

Po dwóch lub trzech minutach marszu dochodzimy do parkingu. Wybrałem go dlatego, że jest nieco na uboczu, a teraz poza volkswagenem znajdują się na nim tylko dwa auta.

- To tam. - Zataczam dłonią jakiś nieokreślony krąg.

- Tam? Nie widzę żadnej żaglówki.

- Ale...

Nie wiem, dlaczego kompletnie się na to nie przygotowałem. Mógłbym ściemniać o czymkolwiek, ale ta najprostsza kwestia nagle mnie zaskakuje.

- No tak, bo...

Zacinam się. Dziewczyna się zatrzymuje i spogląda na mnie, jakby nagle wytrzeźwiała.

- Wiesz co, pieprz się. Nie masz żadnej żaglówki, no nie? Chciałeś mnie po prostu zagadać?

Fuka nerwowo, po czym zakłada włosy za uszy. W pobliżu kręci się parę osób i jeżeli nie podejmiemy do auta, nie będę mógł nic jej zrobić.

- Ja tylko myślałem...

- Pieprz się - przerywa mi. - Ty też chciałeś mnie wystawić, dupku.

Odwraca się na pięcie i rusza drogą, którą przyszliśmy. W pierwszym odruchu chcę za nią pobiec, ale się powstrzymuję. To nic nie da. Jednak jej zachowanie, pośladki w obcisłych spodenkach oraz frywolny sposób bycia jeszcze bardziej mnie nakręcają. Uśmiecham się, rozbawiony własną głupotą. Trzeba próbować dalej.

78.

- Mogłabyś mi pomóc? Chyba przeceniłem swoje siły.

Znów powtarzam swoją historijkę. Przedstawiam się nawet swoim prawdziwym imieniem. Zrobiłem to już przy dwóch innych dziewczynach, które odmówiły mi pomocy. Zobaczmy, co z tego wyniknie, ale teraz się tym nie martwię. Ted. Czy to nie wzbudza zaufania?

- Janice. - Dziewczyna, uśmiechając się, ściska mnie za gips. Nagle się krzywi i spogląda na mnie zmieszana. Obawiam się, że ona również chce mnie wystawić, ale pyta zmartwionym tonem: - Mam nadzieję, że to nie boli? Kurczę, nigdy nie miałam nic złamanego...

- Boli, kiedy mocuję się z zaczepem. Dlatego marzę, żeby mieć to z głowy. Jesteś dla mnie wybawieniem.

- Przyjechałeś tu sam?

- Tak, moi znajomi mają dotrzeć wieczorem lub dopiero jutro rano.

- Słaby pomysł jechać na żagle ze złamaną ręką.

Wzdycham i bezradnie wzruszam ramionami. Przypominam sobie o tamtej dziewczynie, która uciekła, widząc, że przy garbusie nie ma żadnej łódki. Tym razem historia przychodzi mi do głowy sama z siebie.

- W volkswagenie trzymam zapasowy klucz do tego zamka. Weźmiemy go i pójdziemy na drugi parking.

- Masz dwa auta?

- To z żaglówką trzymam tu przez większość lata. Wynajmuję miejsce. Nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się pogoda, a człowiekowi zechce się popływać, no nie?

Dziewczyna mi ufa. Od razu to widać. Nie jest napięta ani czujna. Spokojnie idzie ze mną, żartując i gadając na przypadkowe tematy. Pogody, wakacji, życia. Mówi, że jest kuratorem sądowym i pracuje z nieletnimi. Lubi swoją pracę, ale o kilku dniach urlopu marzyła od wielu miesięcy. Banał goni banał. Właśnie tak wygląda życie większości ludzi. I dokładnie tak wyglądają stosunki między nimi. Pustka, obłuda, pozowanie na kogoś, kim się nie jest.

Nie pytam jej o znajomych ani czy przyjechała sama. To już niczego nie zmieni. Przechodzimy przez trawnik pokryty gałązkami sosen. Paru okolicznych mieszkańców zbiera je, układa w stosy i za pomocą specjalnych pras wyciska żywicę. Robią syropy albo coś w tym stylu.

- Próbowalaś tego? - zagaduję, aby na tych ostatnich metrach nie zapadła między nami niezręczna cisza.

- Nie. To znaczy nie jako jedzenia.

- A robi się z tego coś jeszcze?

Dziewczyna unosi dłoń, jakby tym gestem chciała powiedzieć, że zadają głupie pytania. Ma ładną linię twarzy, zgrabny nos oraz pełne usta. Jej piersi drżą przy każdym kroku, jakby nie nosiła stanika. Mimo to nie widzę zarysu jej sutków.

- Oczywiście, że tak. Moja mama używa tych olejków do naparów na bóle menstruacyjne. Ja kupiłam wyciąg z szyszek do mycia głowy. Naprawdę się sprawdza.

Wspomnienie o menstruacji porusza temat tak intymny, że moje serce uderza mocniej. Do tego włosy... Czy jej włosy pachną sosną? Chciałbym ją powąchać już teraz. Przesunąć się, objąć ją w pasie i zanurzyć palce w tych długich kosmykach.

- Już, wezmę tylko te narzędzia. - Niezgrabnie obracam kluczyki do auta między palcami. - Przepraszam, że to tyle trwa.

Otwieram drzwi garbusa i udaję, że kluczyki wypadają mi na ziemię.

- Cholera.
- Pomogę ci.

Dziewczyna się schyla i w tym samym momencie z całej siły uderzam ją w tył głowy. Wpycham ją do samochodu, po czym zrzucam z ręki gips. W bocznym schowku mam przygotowane kajdanki oraz knebel. Są tam również łom oraz lina. Skrępowanie kobiety zajmuje mi ledwie kilkanaście sekund. Jest moja.

79.

Wspomniałem już, że to polowanie miało być inne od wszystkich dotychczasowych. Chciałem dowieść coś sobie, a jeszcze bardziej policji. Cokolwiek by zrobili, nie mają ze mną szans. Nie uda się im mnie dorwać ani choćby wytypować. Media będą miały o czym pisać. Może zdołam wywołać nawet drobny chaos.

Już widzę te dziesiątki relacji, świadków, domysłów i fałszywych tropów. Śledczy nie wygrzebią się z tego gówna przez całe lata. Analizowanie każdego poszczególnego tropu to robota ponad ich siły. W jednym z raportów, który trafił mi w ręce w biurze, wzmiankowano, że policja cierpi na braki kadrowe, które opóźniają postępowania. Braki? Ja im pokażę, czym są braki kadrowe.

- Tu mam klucz do tego zaczepu - wyjaśniam, wskazując volkswagena.

Dziewczyna idąca obok mnie ma ciemne, niemal czarne włosy i grzywkę sięgającą brwi. Całkowicie nie odpowiada rysopisowi pozostałych. Owszem, jest szczupła i zgrabna, ale pewnych kwestii nie mogę odpuścić. Poza tym... Bez przesady. Kogo interesują zaniedbane spaśluchy?

Tę dziewczynę spotkałem przy pobliskich toaletach publicznych. Obserwowałem ją już wcześniej, ale przez cały czas siedziała w gronie znajomych. Bez wahania zgodziła się mi pomóc. Spojrzała jedynie na

mój temblak i rzuciła szczerze: „Współczuję”. Teraz żwawo podchodzi do volkswagena, ale jeszcze chce ją zatrzymać. Wszystko opracowałem niemal co do sekundy.

Sięgam do kieszeni i wyrzucam z niej klucze.

– Niech to... – syczę po raz kolejny w ciągu parunastu minut, udając, że stało się to przez przypadek. – Mogłabyś?

– Nie powinienes prowadzić. Ze złamaną ręką to niebezpieczne, a przez pierwsze dni kości muszą się zacząć zrastać...

Cholerne rady. Tylko do tego nadają się kobiety. Wydaje im się, że wszystko wiedzą lepiej. Włączają jakiś kretyński instynkt opiekunki i gadają jak durne kwoki.

Uśmiecham się.

– Chyba tak – przyznaję potulnie. – Może zostanę tu na tydzień lub dwa, żeby się nigdzie nie ruszać.

– Jeśli masz taką możliwość, zrób to. Poza tym czy można mieć lepszy pretekst do odpoczynku?

Dziewczyna ostrożnie podaje mi kluczyk, a ja go biorę w dwa palce. Myślałem, żeby pomalować je sokiem z buraków lub czymś, co sprawi, że będą wyglądały na opuchnięte. To byłby dodatkowy, lecz chyba całkiem zbędny efekt. Studentka nawet na nie nie patrzy.

– Dziękuję. Za inspirację również.

Kiwam głową, po czym robię krok w stronę auta. Rozglądam się po okolicy. Na parkingu nie ma nikogo, a najbliżsi ludzie stoją odwrócenii do nas plecami i podziwiają panoramę jeziora.

– Swoją drogą chyba pomyślałem o swoim inwalidztwie i zostawiłem drzwi otwarte...

Zawieszam głos, a kobieta odczytuje moje intencje.

– Sprawdzę. Gdzie zostawiłeś ten klucz?

– Chyba na siedzeniu pasażera.

Dziewczyna podchodzi do volkswagena i pociąga za klamkę. Drzwi się otwierają. W tym samym momencie ściągam gips, lecz nie dopadam

do niej.

Jeszcze nie. Staję obok, delektując się rozgrywaną sceną. Dziewczyna, która teraz mi towarzyszyła, zamiera w bezruchu. Spogląda na swoją poobijaną poprzedniczkę, która leży skrępowana na tyle auta. Ich spojrzenia się spotykają.

Przyglądam się im i podniecam się widokiem przerażenia odmalowującego się na twarzy dziewczyny stojącej obok mnie. W momencie, gdy ta się odwraca i usiłuje krzyknąć, uderzam ją w twarz łomem²¹.

80.

SIERPIEŃ 1974 R.

– Muszę skorzystać z tej szansy. Jeśli stąd nie wyjadę, na zawsze ugrzęznę na etapie, w którym teraz jestem.

Spoglądam na Elizabeth i robię wszystko, aby nie wyglądać na przesadnie szczęśliwego. Wzdycham, wzruszam ramionami, a przede wszystkim przybieram zrezygowany ton. W dłoni trzymam kopertę oraz list z Uniwersytetu Utah. Przyjęto mnie na tamtejszy wydział prawa, co stanowi ukoronowanie moich starań.

– Możesz się ze mną przeprowadzić do Salt Lake City... – proponuję, choć bez szczególnego entuzjazmu. – Co ty na to?

– Wiesz, że nie opuszczę Seattle. Mam tu pracę, a Molly przyjaciół.

– No tak...

– Mówisz, jakbyś to ty miał do nas pretensje.

– Nie, naprawdę... Po prostu nie chcę się rozłączać, ale nie mam wyboru. Rozmawialiśmy już o tym.

Podchodzę do Elizabeth i staram się ją przytulić. Odsuwa się ode mnie. Od kilku dni nasza relacja jest i tak dość chłodna. Podejrzewa

mnie, że ukradłem jakieś pieniądze, by kupić telewizor. Jakbym nie mógł na niego zarobić... Albo ukraść właśnie jego.

Niestety Liz znalazła w volkswagenie ukryty duży klucz i łom. Nie powiedziała tego wprost, ale najwyraźniej przypuszcza, że po godzinach zajmuję się włamaniami do sklepów lub Bóg wie gdzie.

„Nawet nie zamierzam pytać, co robisz w te noce, gdy nie ma cię w domu”.

Użyła dokładnie tych słów. Nadal brzęczą mi w uszach, choć nie sądzę, by kryło się za nimi cokolwiek więcej od wyobrażenia o jakichś drobnych kradzieżach. Pieniądzy, telewizora, butów. Najważniejsze, że Liz rzeczywiście o nic nie pyta.

– To szybko zleci – pocieszam ją. – Będę codziennie dzwonił, a co tydzień lub dwa przyjadę. Nie ma potrzeby się martwić.

– Jest.

W jej oczach widzę gniew i nieustępliwość. Nie chodzi jednak o list ani o studia. Od rana zachowuje się w ten sposób. Zaczyna mnie to irytować, choć niczego po sobie nie pokazuję.

– Liz... Proszę, nie smućmy się. Wykorzystajmy te dni, kiedy jeszcze tu jestem. Przecież tak bardzo się kochamy...

Przyciągam ją do siebie i chwytam za nadgarstki. Choć usiłuje się uwolnić, przytrzymuję ją. Całuję w policzek, a potem w usta. Niechętnie, ale odpowiada na moje pieszczoty. Kątem oka dostrzegam, że Molly przypatruje się nam z kuchni. Nie odzywa się jednak. Odkąd przed kilkoma dniami na nią nakrzyczałem, unika mnie.

– Chodźmy do łóżka – szepczę, popychając Liz tak, by nie zobaczyła córki. To zawsze działa na nią deprymująco. – Chodź...

Opiera się, choć już znacznie słabiej niż przed chwilą. Wreszcie pozwala się prowadzić do sypialni i gdy tylko zamykamy drzwi, od razu zdejmuje krótką sukienkę. Odwraca się do mnie. Jest w samym staniku oraz majtkach. Jej oczy błyszczą, a usta lekko drżą, jakby miała się zaraz rozplakać.

– Co jest? – pytam, wyciągając ku niej dłoń. – Co się dzieje, Liz?

Pociąga nosem i siada na łóżku.

– Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, Ted – szepcze łamiącym się głosem. – Do cholery... Nic już nie wiem. Pogubiłam się...

81.

Kilka lat później dowiedziałem się, jak przedstawiała się sytuacja w ostatnich miesiącach 1974 roku. Szóstego września myśliwi polujący na ptactwo natrafili na zwłoki Denise N. oraz Janice O. Znaleźli je w Issaquah, parę mil na wschód od jeziora Sammamish. Ciała były w stadium daleko posuniętego rozkładu, do tego uszkodzone przez zwierzęta, ale wstępnie zostały zidentyfikowane. Przybyli na miejsce kryminaliści odkryli tam również kość udową oraz kilka kręgów Georgann H. Pamiętajcie tę dziewczynę, która zgubiła kolczyk oraz but...

Tak jak się spodziewałem, moja kryjówka była spalona. Świątynia, gdzie oddawałem się swojemu kultowi, leżała w gruzach. Dobrze, że nie zdecydowałem się z niej więcej skorzystać. Oczywiście wiadomość o odkryciu nie została przekazana mediom. Śledczy starali się zachować ją jak najdłużej tylko dla siebie. Skrzętnie dopasowywali kolejne szczegóły, usiłując wyciągnąć więcej wniosków, niż byli w stanie. Jedyne, choć nadzwyczaj istotne, był oczywisty.

W okolicy grasuje nie tylko porwacz kobiet, ale przede wszystkim – seryjny morderca. Zaginione dziewczyny najprawdopodobniej nie żyją. Po raz pierwszy wybrzmiewa to tak głośno. Nie mogą się dłużej oszukiwać.

Gdyby na tym etapie tym wnioskiem podzielono się z prasą, wybuchłaby panika. I tak odnotowano spadek liczby autostopowiczów oraz samotnie spacerujących kobiet. Rodzice zabraniali córkom spacerów po nocy. Niektóre z akademików powołały patrole lub dodatkową ochronę.

Policja miała pełne ręce roboty. Każdego dnia pojawiały się setki zgłoszeń oraz poszlak. Zdarzało się, że ich liczba sięgała pięciuset. Rozumiecie? Pięćset tropów do sprawdzenia przez zespół liczący kilkunastu gliniarzy. To niewykonalne.

Sprawę pogorszyła publikacja portretu pamięciowego „osobnika widzianego z temblakiem w okolicach Sammamish”. Może nawet go kojarzycie. Stał się tak popularny, że brakowało tylko, żeby zaczęto drukować go na koszulkach. A może w końcu doszło również do tego.

Śledczy jednak brnęli w sprawę z całym uporem oraz godnym podziwu zdecydowaniem. Podobno niektórzy z nich spali ledwie po dziesięć godzin tygodniowo. Starali się sprawdzić wszelkie plotki i zgłoszenia. Stworzono specjalną broszurę z rysopisem podejrzanego oraz informacją, że prawdopodobnie porusza się on jasnobrązowym lub złotym volkswagenem. To są konkrety, prawda?

Broszura została powielona w lokalnych gazetach i pokazana w dziennikach telewizyjnych. Chciano z nią dotrzeć do każdego mieszkańca Północno-Zachodniego Wybrzeża. Być może nawet tak się stało.

Podobało mi się to. Obserwowałem te doniesienia z zainteresowaniem, mało robiąc sobie z kierowanych ku mnie spojrzeń.

Kilka osób rozpoznało mnie na rysopisie, a dodatkowo wiedziało, że posiadam volkswagena garbusa. Zgłosiły to na policję, lecz śledczy odrzucili jakiegokolwiek podejrzenia ze względu na moją czystą kartotekę oraz służbę publiczną.

Wśród osób, które wykonały swój obywatelski obowiązek, była Elizabeth. Dlatego tamtego dnia zachowywała się tak dziwnie. Poszła ze mną do łóżka, zgłosiwszy parę godzin wcześniej, że mogę być seryjnym mordercą.

Pamiętacie tamtą autostopowiczkę z Idaho, której ciało wrzuciłem do rzeki? Pamiętacie córkę szefa policji w Midvale, którą dojrzałem w pizzerii? To wszystko wydarzyło się właśnie tamtej jesieni.

Czy czułem zaciskającą się na mojej szyi pętlę? Dajcie spokój, to wyrażenie dobre dla tandetnych kryminalów. Człowiek nie zastanawia się nad tym, co dzieje się wokół niego. Przeprowadziłem się, zacząłem studia w Salt Lake City i stwierdziłem, że mogę cieszyć się carte blanche.

W ciągu dwóch miesięcy zamordowałem cztery kobiety. Poza tamtą dwójką dopadłem jeszcze Nancy W., która wyglądała bardzo dojrzała, ale jak się okazało, miała ledwie szesnaście lat. W życiu bym tego nie powiedział, patrząc na jej ciało.

Bardzo dobrze pamiętam Halloween. Kolejne obrazy wracają jak żywe.

Zabawa, przebierańcy, alkohol, telefon do Elizabeth z informacją, że wszystko jest w porządku, a potem włóczenie się autem po okolicy. Narastające pobudzenie. Pragnienie dania upustu emocjom, choć ta noc zdawała się najjaśniejsza w całym roku.

I nagle ona.

Dziewczyna usiłująca złapać stopa na podrzędnej, niemal nieuczęszczanej drodze. Nawet się jej nie przyglądam. Nie analizuję jej wyglądu, kształtów, ubioru. Działam całkowicie automatycznie.

– Dokąd cię podwieźć? – rzucam, nie odrywając rąk od kierownicy. – Wskakuj, ta droga i tak przez parę mil prowadzi w jedną stronę.

Dziewczyna śmiało wchodzi do volkswagena i zamyka drzwi. Czuję od niej zapach alkoholu oraz dym papierosów. Na twarzy ma ślady halloweenowego makijażu.

– Dobrze się bawiłaś? – pytam. – Aż szkoda, że takie noce się kończą, no nie?

Nim odpowiada, uderzam ją pięścią w twarz. Krew tryska z jej ust, a ja ponawiam cios. Dziewczyna usiłuje sięgnąć ku klamce, lecz wtedy

owijam jej rękę nylonową linką. Błyskawicznie przywiązuję ją do fotela i krępię z drugą dłonią.

Krzyczy. Z jej ust cieknie strużka krwi. Chyba wybiłem jej ząb, gdyż coś białego zdaje się przyklejać do jej warg. Mam przygotowaną starą szmatę, którą wciskam jej niemal do gardła.

– Jeśli się nie zamkniesz, to się zaraz udusisz – cedzę. – Stul pysk.

Dodaję gazu i ruszam przed siebie. Nie sędzę, abym na tej drodze spotkał jakikolwiek patrol. Do mojego mieszkania powinniśmy dojechać w mniej niż pół godziny.

– Przenocuję cię – szepczę, nie odwracając się w stronę dziewczyny.
– Ugoszczę cię, jak tylko potrafię. O nic się nie martw. Ważne, żeby zabawa trwała w najlepsze, prawda?

Tak, to będzie wyborna zabawa i nikt nam w niej nie przeszkodzi. Już się nie mogę doczekać.

83.

– Napij się.

Podaję dziewczynie kubek z wodą. Ma skrępowane dłonie tak, by nie mogła mnie nim rzucić. Jest naga. Jej oczy są wytrzeszczone ze strachu, policzki zapadnięte, a włosy w nieładzie.

– Potem cię umyjemy – stwierdzam. – Najwyższy czas się umyć.

Dziewczyna upija łyk, po czym podnosi na mnie wzrok. Szybko go odwraca, przestraszona, że ją na tym przyłapałem.

– Wypuść mnie – skomli. – Proszę.

– Napij się jeszcze. Jesteś odwodniona, a oboje chcemy, żebyś żyła.

– Proszę...

Wzdycham i wylewam zawartość kubka prosto w jej twarz. Woda ścieka po jej brodzie, szyi oraz piersiach. Jej sutki sterczą.

W pomieszczeniu jest chłodno, ale nie zimno. Przynajmniej z perspektywy kogoś ubranego.

Twarz dziewczyny jest opuchnięta w miejscu, gdzie ją uderzyłem. Jej wargi są pokaleczone i sine. Pod zdeformowanym nosem zebrała się krew. Czerwone ślady są widoczne również wokół jej krocza. Usiłuje się podnieść na klęczki. Cała drży.

– Proszę... – powtarza tę cholerną mantrę. – Błagam...

– Wszyscy proszą.

– Zrobię, co zechcesz, i nie powiem o tobie nikomu. Obiecuję. Pozwól mi tylko wrócić do rodziców...

A więc mieszka z rodzicami. No tak. Zdaje się, że w którejś gazecie napisano, że ma siedemnaście lat i nie widziano jej po tym, jak wyszła z imprezy halloweenowej. Poszukiwania trwają. Rozwieszono plakaty o zaginięciu oraz zdjęcia. To fotografia sprzed roku albo dwóch, na której ma znacznie bardziej dziecinne rysy. I piękny uśmiech.

– Tak, zrobisz, co zechcę – stwierdzam, odkładając kubek na bok. – Już zrobiłaś.

Dziewczyna chce krzyknąć, lecz wpycham w jej usta knebel. Dławi się nim, odkasłuje i usiłuje mnie kopnąć. Błyskawicznie ją obezwładniam. Mocniej ściągam linę, którą ma związane nogi. Popycham ją tak, że upada na brzuch. Przez to, że ma ręce w kajdankach, nie może się asekurować. Z całym impetem uderza podbródkiem w podłogę i rozlega się trzask. Być może właśnie pękła jej żuchwa, a może to tylko kilka zębów.

Spoglądam na jej blady, szczupły tyłek. Dziś mam mało czasu i planowałem zajść do niej jedynie na chwilę. Nie potrafię się jednak powstrzymać. Klękam, po czym dotykam jej pośladków. Są zimne, a skóra zaskakująco szorstka. Rozwieram je i przeciągam dłonią przy jej odbycie. Zaczynam dygotać równie mocno jak ona, choć nie jest to spowodowane chłodem.

Niedaleko mnie stoi szklana butelka, z której nalałem jej wody. Sięgam po nią i obracam szyjką w stronę dziewczyny. Powoli zbliżam ją

do niej, czując narastające z sekundy na sekundę podniecenie. Przez takie chwile wiem, że nigdy nie przestanę tego robić. Że tylko w tym widzę prawdziwy sens życia. Że już tylko to...

...może dostarczyć mi emocji²².

84.

STYCZEŃ 1975 R., SEATTLE

- Zdałem wszystkie egzaminy, rozumiesz? - Unoszę butelkę wina i obejmuję Elizabeth. Stoimy w progu jej domu, a z głębi przygląda się nam Molly. - Musimy to opić!

- Wracasz na długo?

- Co to za dziwne przywitanie?

- Po prostu mam dość wiecznego czekania.

Całuję ją i przekraczam próg. Od razu kieruję się do salonu. Zapowiadałem, że przyjadę dopiero wieczorem, lecz postanowiłem zrobić Liz niespodziankę. A poza tym nieco ją sprawdzić. Mam wrażenie, że jakimś cudem mogły ją dojść słuchy o mojej relacji z Carole Boone. Chciałem to wy badać. Do tego sam zastanawiałem się, czy Elizabeth nie spotyka się z kimś na boku. Czy nie stara się czegoś przede mną ukryć.

Pomyślałem, że najlepszą drogą ustalania prawdy będzie wypytanie o wszystko Molly. Dziewczynka wygada się natychmiast. A dobrze wiem, że jest znacznie bardziej bystra, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

- Nie mam nawet obiadu... - Liz się denerwuje. - Wszystko będzie gotowe dopiero za ponad godzinę. I to przy dobrych wiatrach.

- Nie jestem głodny - kłamię. - Nie śpiesz się.

- Mogłeś mnie uprzedzić...

Elizabeth zaczyna krzątać się w kuchni. Pobrząkują talerze, garnki oraz sztuce. Zaciągnąłbym ją do sypialni, ale wiem, że będzie się opierać. W końcu jest przy niej Molly.

Siadam przy stole i włączam telewizor. Nie interesuje mnie żaden program, chodzi tylko o szum tła. Po podróży jestem zmęczony. Pokonałem kawał trasy. Bolą mnie ramiona oraz kark.

Muszę zdradzić wam pewien sekret. Nie do końca szczerze powiedziałem wam, dlaczego w Seattle zjawiłem się wcześniej. Jakiś czas temu mniej więcej w połowie drogi od Salt Lake City ukryłem ciało pewnej dziewczyny. Była to naprawdę urocza, pociągająca nastolatka, z którą kochałem się parę razy już po jej śmierci. Nie potrafiłem się z nią rozstać, więc wywoziłem ją dość daleko... Kilkaset mil od siebie. Chciałem zakończyć ten pokraczny związek z trupem. Jednak teraz, gdy pojawił się pretekst...

Odnalazłem ją. Jej zwłoki, mimo chłodu, były już w stadium daleko posuniętego rozkładu. Choć przez kilka godzin jazdy marzyłem tylko o tym, by się do niej dostać, było to całkowicie niemożliwe. Właściwie z trudem rozpoznawałem jej kształty. Przypominała rozpadającą się mumię ze skórą opinającą się na wystających biodrach i z widocznymi żebrami w miejscu niezbyt okazałego biustu. Jej srom zamienił się w szerniałą pulpę. Prawy pośladek został całkowicie zjedzony przez glisty. Nie miała już nawet twarzy. Byłem wściekły, że pokonałem tak długą trasę całkowicie na darmo.

– Odwiedzę cię dopiero w wakacje. – Głos Elizabeth rozbrzmiewa gdzieś w tle tych myśli. – Wezmę urlop i przyjadę do Salt Lake City.

– To świetnie! – odpowiadam mechanicznie. Po chwili wspomnienie rozmywa się i podchwytuję wątek. – Pojedziemy w góry. Wybadam odpowiednie trasy i pochodzimy szlakami. Molly będzie zachwycona.

– Tak, przyda się jej taka wycieczka. Dzieciaki mówią, że w ogóle się nie rusza z domu. Śmieją się z niej.

– Pogadam z nimi. Chodzi o córki Stewensonów?

– Też. Ale nie tylko.

– Mhm...

Właściwie mało mnie interesuje, co dzieciaki myślą o Molly. Udając zainteresowanie, zapewniam sobie jednak spokój. Tym bardziej że mam wrażenie, że rozgrywamy z Elizabeth jakąś grę. Nie do końca rozumiem jej zasady. Po chwili zabieram się za pałaszowanie obiadu, a kiedy tylko skończę...

– Nie mogę się doczekać, aż wskoczmy do łóżka – szepczę²³.

85.

Kolejne miesiące to tylko ciąg obrazów, scen, wspomnień i wyobrażeń. Popędu oraz instynktu. Łowcy, myśliwego, drapieźnika.

Piętnasty marca? Może szesnasty. Kobieta, dojrzała, blisko trzydziestki, ale o pięknych, regularnych rysach. Proszę ją o pomoc. Jestem o kulach, choć mam ze sobą sprzęt narciarski. Mówię coś o tym, że miałem wypadek właśnie podczas zjazdu po trudnej trasie. Dobra wymówka. Robię tę minę, co zawsze, a ona się zgadza. Idzie ze mną do auta. Potem... Potem jest mrok.

Uderzam ją, raz za razem. Pałką, łomem, jakimś stalowym drągiem. Zakuwam jej ręce w kajdanki, wywożę ku nieużytkom, które dostrzegłem kilka dni wcześniej. Gdy sobie dogadzam, jest martwa. Ma zmasakrowaną twarz i jest cała we krwi. Wchodzę w nią, dotykam jej, a nagle... Z ust trupa dobywa się rżenie. Kobieta otwiera oczy i usiłuje się bronić. Odpycha mnie.

Jestem tak zaskoczony, że upadam. Zaplątuję się we własne spodnie. Klnę. A potem biegnę za nią i dopadam ją między drzewami. Kajdanki przeszkadzały jej w ucieczce, ale przez swoje nieposłuszeństwo zasługuje już tylko na mój gniew. Teraz okładam ją na oślep pięściami. Kiedy ponownie upada, kopię ją. Po całym ciele, po żebrach i głowie. Skaczę po niej. Usiłowała mnie oszukać. Gnida.

Nadal charkocze i piszczy. Dyszy, jakby nie potrafiła rozstać się z życiem. Jakby miała jakąś niesamowitą moc przetrwania, której nie widziałem u nikogo innego. Zaciskam ręce na jej szyi. Naprężam mięśnie i zaciskam zęby. Duszę jej krtań. Ściskam ją tak mocno, jakbym chciał opuszkami kciuków dotknąć palców, które są na jej karku. Jej oczy niemal wypływają na wierzch. Język puchnie i przybiera rozmiary dużej pomarańczy. Nie wiem, jak długo to trwa, ale jestem całkowicie wykończony. Boli mnie całe ciało. W pewnym momencie z jej ust tryska strumień krwi zmieszanej z plwociną. Obryzguje mi twarz. Klnę i jeszcze mocniej ściskam jej szyję.

Wreszcie przestaje oddychać. Teraz już na pewno jest martwa. Ale... Na wszelki wypadek wlokę jej ciało kilkanaście metrów do płytkiego rowu. Butami zgarniam ziemię i zasypuję ją. Zagrzebuję ciało, które kilka minut wcześniej dostarczyło mi euforii.

Wracam do domu, ale przez całą drogę o niej myślę. Była naprawdę piękna... Cztery, pięć dni biję się z myślami. Wreszcie znów wracam do tamtego lasu. Pokonuję prawie trzysta mil, aby wykopać ją z grobu. Dogadzam sobie tuż obok niej.

Trup nie nadaje się do niczego. Parę dni później znów kręcę się po okolicy. Jakaś miejscina na granicy Utah i Kolorado. Dziewczyna... Nie. Kobieta na rowerze. Nie potrzebuję żadnej gadki. Po prostu potrącam ją i wciągam do auta. Duszę. Ciało wrzucam do rzeki, choć w ostatniej chwili się waham. Nie będę mógł do niej wrócić... I dobrze. Czasem po prostu lepiej unikać pokus.

Szósty maja. Pocatello, stan Idaho. Miasto o starej zabudowie, które zasłynęło przed stu laty złożami złota. Spokojne i przyjemne, tak jak wiele miast w tej części Ameryki. Po gorączce złota nie ma już śladu.

Dziewczyna jest ładna i samotna. Nie boi się mnie do momentu, gdy dostrzeża w samochodzie broń. Cóż... Wtedy jest już za późno. Po kilkunastu minutach trafiamy do mojego pokoju hotelowego, a tu jedynym ograniczeniem staje się moja wyobraźnia.

Wanna. Wrzucam ją do wanny i topię. Zanurzam pod wodą do momentu, aż jej twarz staje się sina. Mięśnie się rozluźniają, z ust ulatuje ostatnia bańka powietrza. Ją również wrzucam do rzeki, aby uniknąć pokusy. Mam dość popędu, który każe mi nieustannie wracać. Nie odnajdę jej. Mam już dość świętych miejsc i tego, że inni w końcu zawsze je beczeszczą.

Kolejnego dnia w lokalnej gazecie widzę nagłówek informujący o tym, że zaginęła dziewczynka. Jest pod nim zdjęcie mojej ostatniej kochanki. Już w pierwszych zdaniach pojawia się informacja, że miała dwanaście lat. A to ciekawe. Tego bym się nie spodziewał.

86.

CZERWIEC 1975 R.

Poprosiłem B., aby przez kilka dni do mnie nie dzwoniła. Powiedziałem, że muszę przygotować się do egzaminów. Umyślnie pokłóciłem się z Sharon A., uroczą kujonką, z którą spotykałem się przez ostatnie tygodnie. Nie chcę komplikacji.

Naprawdę zależy mi na Elizabeth. Bywa, że Molly mnie wścieka, ale wspólnie spędzamy dobry czas. Poza tym Liz jest jedyną osobą, za którą tęsknię. Nie widzieliśmy się przez parę miesięcy i z utęsknieniem wyczekuję naszego spotkania. Sam jestem tym zaskoczony. Analizuję własne emocje, starając się rozgryźć ich źródło.

Uroda? Elizabeth jest ładna, ale pewnie wymieniłbym wiele kobiet, które podobają mi się znacznie bardziej. Inteligencja? Dajcie spokój, faceci mają w dupie inteligencję kobiet. Poza tym Liz nie jest przesadnie bystra. Jest miła i ma dobre poczucie humoru. Jednak przede wszystkim... Przede wszystkim potrafię nad nią zapanować. Jest mi uległa i dobrze dopełniamy się w łóżku. To wiele, a na pewno znacznie więcej niż uroda albo zasób słownictwa.

– To trwa już tak długo... – Elizabeth przeciąga się, leżąc w moich ramionach. – Jak długo jeszcze, Ted?

Znajdujemy się w moim starannie wysprzątanym mieszkaniu. Liz przyjechała na tydzień i choć planowaliśmy mnóstwo wycieczek, niemal się z niego nie ruszamy. Nie możemy się sobą nacieszyć. Zachowujemy się jak dzieciaki, które przeżywają pierwsze zauroczenie. Tym bardziej pytanie Elizabeth mnie drażni. Nie dość, że przerywa jakąś idyllę, to nie ma na nie dobrej odpowiedzi. Przerabialiśmy to wielokrotnie.

– Chodzi ci o moje studia? Mówiłem, że...

– Nie. – Liz wchodzi mi w zdanie. – Mam w dupie twoje studia. Jakoś sobie radzimy mimo nich, ale...

– Tak? Co znaczy to „ale”?

– I tak Molly mówi do ciebie jak do taty.

– Wiem, przecież sami jej to zaproponowaliśmy. Podjęliśmy wspólną decyzję.

Elizabeth wzdycha. Odwraca się do mnie bokiem i wspiera głowę na łokciu. Jest naga. Ma wypieki na policzkach, a jej oczy się skrzą.

– Ted, do cholery, nie udawaj kretyna! Dobrze wiesz, co mam na myśli.

Dotykam jej piersi i wiodę palcem ku szyi. Uśmiecham się.

– Chcesz, żebym ci się oświadczył? Zależy ci na tym?

– Tak.

– W takim razie mogę to zrobić.

Liz podciąga kołdrę i spogląda mi prosto w oczy. Pozwala mi prowadzić palec po swojej szyi. Oddycha w przyśpieszonym tempie.

– Chciałabym, aby to wyszło od ciebie – stwierdza ponuro. – Kiedyś o tym wspominałeś, ale przestałeś.

– Nie sądziłem, że to takie ważne. Możemy wziąć ślub w każdej chwili.

Gwałtownie się wyprostowuję i siadam na brzegu łóżka.

– Grudzień i Boże Narodzenie to byłby dobry okres. Ponoć wtedy zawierane są najszczęśliwsze małżeństwa.

Przypomniał mi się ten tekst. Jakies półtora roku temu wymyśliłem go w rozmowie z Diane. Tyle że wtedy mówiłem bodajże o Wielkanocy. Jeden pies.

– Naprawdę byłbyś na to gotowy? – Elizabeth nie dowierza. – Dałbyś mi słowo?

– Kocham cię – zwracam się do niej słowami, które dla wszystkich kobiet są najlepszą odpowiedzią na dowolne pytanie. – Kocham was obie, Liz. Ciebie i Molly. Zrobię dla was wszystko.

87.

Do ślubu nigdy nie doszło.

Wszystko się pokomplikowało. Jeszcze pod koniec czerwca udało mi się wywlec jakąś nastolatkę z kampusu Uniwersytetu Brigham Younga w Provo. Nawet jej nie pamiętam. Rozumiecie to? Nie pamiętam rysów dziewczyny, którą zakatowałem na śmierć i z którą kilkakrotnie współżyłem.

Kolejne wydarzenia wykasowały część moich wspomnień. Może nawet przez moment poczułem obrzydzenie do samego siebie. Nie przez to, o czym myślicie. Obrzydzało mnie, że dałem się zatrzymać z łomem, maskami, kajdankami i całą resztą tych rzeczy. To właśnie wtedy detektyw Thompson skontaktował się z Elizabeth, a ona mu „o wszystkim” opowiedziała. W tym samym czasie ochrzciłem się i starałem się żyć pod okiem dozorujących mnie gliniarzy.

Wiedziałem, że oni wiedzą. I oni wiedzieli, że ja wiem. Na tym polegała nasza gra, a jak wiecie, ja całkiem lubiłem sobie pogrywać. Choć na szachownicy znacznie lepiej być kimś więcej niż pionkiem.

Musiałem wprowadzić plan awaryjny i jego pierwszym etapem była sprzedaż garbusa. Gliniarze jednak okazali się kuci na cztery łapy. Auto

skonfiskowano, a potem zostało na wszystkie strony przebadane przez kryminalistyków. Ponoć rozłożono je na części pierwsze, do pojedynczej śrubki, wkrętu i nitu. Nie wiem, czy to prawda, lecz gdzieś napisano, że zajmowało cały hangar na jakimś lotnisku. Za pomocą szkła powiększającego oraz rozmaitych odczynników chemicznych analizowano każdy milimetr. Silnik, tapicerka, wykręcony fotel, kierownica... Wszystko.

Doszły mnie wieści, że odnaleźli kilka włosów, które pasowały do włosów trzech zamordowanych kobiet. Pod względem faktury, koloru i grubości. Uznano, że to ogromny zbieg okoliczności albo... Tak, kryminaliści podobnie jak ja uważali, że zbiegi okoliczności nie istnieją. Mieli rację.

Odkrycie w aucie dodało im wiatru w skrzydła. Mimo to nadal nie mieli nic konkretnego, gdyż sądy w imię ślepej sprawiedliwości musiały jednak dopuszczać istnienie tragicznych, bezsensownych przypadków. Akt oskarżenia bazujący na kilku włosach nie trzymałby się kupy. Upadłby momentalnie, a przysięgli nie zostawiliby na nim suchej nitki. Składając go do sądu, zrujnowano by wysiłek całego śledztwa.

Wtedy nadszedł drugi październik. Mógłbym to nazwać początkiem moich prawdziwych kłopotów. Przynajmniej chwilowo. Gra rozkręcała się w najlepsze. Możecie zatrzeć ręce i kibicować. Komu się wam żywnie podoba.

ZABAWA W KOTKA I MYSZKĘ

88.

2 PAŹDZIERNIKA

- O co chodzi?

- Masz wejść do tamtego pomieszczenia. Macie to zrobić wszyscy.

Spoglądam na tłustego oficera, który odwzajemnia moje spojrzenie. Od razu widzę, że nie darzy mnie sympatią. Z jego twarzy staram się wyczytać, co nowego dowiedzieli się śledczy. Tym bardziej że sprowadzili mnie do komendy, i to w trybie „natychmiastowym”. Przyjechali pod mój dom (choć może po prostu ciągle tam byli) i kazali mi wsiąść do radiowozu. Nie stawiałem oporu.

- Wicie, że jestem niewinny - wzdycham. - Ktoś się na mnie uwziął.

Oficer nie odpowiada. Otwiera drzwi i gestem nakazuje mnie oraz czterem innym mężczyznom wejść do kolejnego pomieszczenia. Nie mam wątpliwości, co się zaraz wydarzy.

Wszyscy jesteśmy ubrani bardzo podobnie. W ogóle pozostała czwórka ma moje cechy. Albo są podobnego wzrostu, albo mają podobny kształt twarzy, albo włosy. Znam te metody.

Okazanie. Już znam tę nazwę.

Obawiałem się go, gdy tamta dziwka uciekła z mojego auta. Od razu o nim pomyślałem. Pamiętacie? Doskonale przewidziałem, jak wszystko się potoczy.

- Wchodzicie obrócenii twarzami do przodu - mówi policjant. - Patrzycie na wprost. Na moją komendę obróćcie się w lewo. Rozumiecie? Na trzy. Raz, dwa... Trzy.

Uśmiecham się. Spoglądam prosto w tafłę szkła, która jest jednostronnie przezroczysta. Po jej drugiej stronie stoi zapewne tamta suka. Psia mać. Chciałbym spojrzeć prosto w jej oczy, ale nie wiem,

gdzie jest. Widzę jedynie zarys swojego odbicia. Czy przestraszyłaby się mnie? Czy na pewno mnie dokładnie pamięta?

A może identyfikują mnie ci ludzie, do których auta wsiadła? Nie. Oni nie mieli czasu mnie zobaczyć. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

Carol D. Chyba tak ma na imię ta dziewczyna. Powinna stać dokładnie tam, naprzeciw mnie. Uśmiecham się jeszcze szerzej.

- Nie róbcie żadnych min! - gani mnie gliniarz. Jednocześnie nie wymawia mojego imienia, nie chcąc niczego sugerować. Moi towarzysze stoją z kamiennymi twarzami. Ja również poważnieję.

Czuję się idiotycznie. Staram się wyglądać na pogodnego, choć w głębi cały się gotuję. Jestem jak cholerne zwierzę, zamknięte w klatce i pokazywane dzieciakom. Przebiega mnie nieprzyjemny dreszcz. A mimo to unoszę kąciki ust w uśmiechu.

- Oficer Roseland...

Drzwi są otwarte i słyszę te słowa powtarzane gdzieś w głębi korytarza.

Oficer Roseland.

Właśnie tak przedstawiłem się tamtej dziewczynie, mówiąc, że ktoś włamał się do jej auta. Doskonale pamiętam to nazwisko, choć wymyśliłem je ad hoc.

A więc zostałem zidentyfikowany. Cóż... Jeden zero dla śledczych. Ale mecz trwa.

89.

Akt oskarżenia o porwanie oraz napaść ma krótkie, lecz sensowne uzasadnienie. Nie będzie łatwo się z tego wykaraskać. Niemal przez cały czas zastanawiam się, jak to zrobić. Mógłbym po prostu odbijać piłeczkę i twierdzić, że z kimś mnie pomyłono, ale to słaba strategia. Śledczy

poza słowami Carol D. mają jeszcze zeznania innych świadków, ślady z auta oraz wyciągi z mojej karty kredytowej.

No, dobrze. Niech im będzie. Przyjmijmy, że dowody są zbyt poważne, abym mógł się przed tym wybronić. Jaki wyrok mi grozi?

Nie. Na to pytanie nie powinienem odpowiadać nawet w myślach. To byłoby jak kapitulacja. Podczas rozprawy od razu zorientowano by się, że się przyznaję. Nawet jeśli nie zrobiłbym tego wprost. Muszę walczyć.

Znajduję się w pojedynczej, niezbyt dużej celi. To już nie policyjny areszt, z którego analizowanie próby ucieczki nie miało sensu. W tym miejscu mogę spędzić nawet parę tygodni. Wiele zależy od prokuratora, który ponoć czasem się guzdrze. Taki ma styl. Perfekjonisty i biurokraty.

Cela nie ma okna. Od korytarza dzieli ją masywne żelazne drzwi. Nie są to kraty, jakie znacie z filmów, lecz grube wrota, podobne do średniowiecznych klasztornych furt. Zamiast strzec mojej cnoty uniemożliwiają mi jakiegokolwiek plany wydostania się. Przynajmniej nie tą drogą.

Ściany są grube i ceglane. Już dokładnie je ostukałem. W jednym miejscu dźwięk jest nieco inny, głuchy, jakby mur był cieńszy, a w środku biegł jakiś szyb. Być może to pozostałość dawnych rozwiązań architektonicznych. W końcu areszt ma prawie sto lat i część jego tajemnic jest nieznana obecnym władzom.

To mnie w jakiś sposób pobudza. Krzepi mnie wiedza, że mogę mieć lepsze rozeznanie od tych, którzy mnie tu trzymają. Poradzę sobie. Jestem niepowstrzymany. Muszę tylko pomyśleć i na pewno coś przyjdzie mi do głowy.

Nie denerwuję się. Traktuję to wszystko jako kolejne wyzwanie, które jedynie mnie wzmocni. Sprawi, że będę jeszcze lepszy.

Opieram się o mur i przyzymkam oczy. Gdzieś w oddali ktoś dziko wrzeszczy, a ktoś inny głośno lamentuje. Z korytarza sprzed mojej celi dobiega odgłos ciężkich kroków. Wtem szczęka klucz i trzaska zamek w drzwiach.

Otwieram oczy. W progu stoi strażnik przypominający postać z kreskówek. Wielki, nieco przygarbiony z szeroką szczęką i małymi oczkami. Buldog. Brakuje mu tylko fajeczki.

- Jesteś wolny - oznajmia.

- Co takiego?

Zrywam się z pryczy i zakładam ręce za plecy. Chcą mnie nabrać. Śmieję się, traktując to jako kolejny test. Nie dam się.

- Jesteś wolny - powtarza strażnik. - Przynajmniej chwilowo. Wpłacono za ciebie kaucję.

- Kaucję... No, tak. Elizabeth.

- Chyba nie żadna Elizabeth.

- Nie? A kto?

Strażnik otwiera szerzej drzwi i ruchem głowy daje mi znać, żebym poszedł za nim.

- Twoi rodzice - oznajmia. - To oni wpłacili piętnaście tysięcy dolców, żebyś mógł jeszcze pooddychać świeżym powietrzem. Powinieneś być im wdzięczny.

90.

STYCZEŃ 1976 R., SEATTLE

- Jezu, co tu się dzieje?!

Elizabeth odwraca się od okna i zakłada dłonie za głowę. Zaciska usta. Staję przy niej i ją przytulam. Spoglądam na ulicę przed naszym domem w Seattle. Przy chodniku stoi pięć lub sześć radiowozów, niektóre oznakowane, inne nie. Wszystkie mają włączone sygnały.

- Pokazują, że mnie obserwują - wyjaśniam. - Nie mają żadnych konkretnych dowodów, więc chcą mnie zastraszyć. Przepraszam, że musisz przez to przechodzić...

Odgrywam cyrk. Przed paroma dniami rozmówiliśmy się z Elizabeth. Przyznała mi się do wszystkich swoich telefonów i rozmów z gliniarzami, a ja uczyniłem swoje wyznanie. Powiedziałem, że ukradłem parę rzeczy oraz chciałem upozorować porwanie tamtej dziewczyny ze sklepu. Wymyśliłem bajeczkę o tym, że mnie obraziła i postanowiłem ją przestraszyć. Koniec kropka. Zdaje się, że Elizabeth przynajmniej częściowo w to uwierzyła. W każdym razie zgodziła się, abyśmy nadal mieszkali razem.

– Martwię się jedynie o Molly. Ona nic z tego nie rozumie.

– Nie jest jedyna.

Gładzę Liz po włosach i teatralnie wzdycham. Kątem oka dostrzegam, że jeden z policjantów idzie w stronę drzwi naszego domu.

– Czego on chce, do cholery? Nachodzą nas, jakbyśmy nie mieli żadnych praw. Ameryka! – parskam. – Kraj wolności!

– Daj spokój, Ted. Idź z nim pomówić.

– Niestety nie mam wyjścia.

Zirytowany przechodzę przez pokój do hallu. Otwieram drzwi, nim policjant zdążył zapukać. Choć zewnętrznie nie okazuję żadnych obaw, zapewne wyglądam na przemian na zadziornego lub rozbawionego sytuacją, nie wiem, dokąd to wszystko zmierza. Będę grał do samego końca, lecz jestem świadomy słabych kart. Poza tym chodzi o coś więcej niż pieniądze albo satysfakcję. W pełni zdaję sobie z tego sprawę.

– Panie detektywie! – Uśmiecham się. – Zapraszam na kawę. Może kupił pan jakieś ciastko? Chętnie razem siądziemy i coś przekąsimy. Możemy też zaprosić pańskich kumpli.

Policjant zatrzymuje się w progu. Jest uzbrojony i całkowicie poważny. Czujnym wzrokiem zerka w głąb domu.

– Proszę to wziąć i odczytać w mojej obecności. – Podaje mi jakąś kopertę. – Zaświadczyć o tym, że wezwanie zostało panu doręczone.

– A więc to wezwanie?

Staram się nadal uśmiechać. Pośpiesznie rozrywam kopertę, aby ukryć drżenie dłoni. Puszczam nawet policjantowi oko.

– Dokąd mnie zapraszacie? – pytam, rozkładając złożoną na pół kartkę. – Powinienem się spakować?

Przebiegam wzrokiem pierwsze linijki tekstu. To wezwanie na rozprawę. Mój proces ma się rozpocząć za niespełna dwa tygodnie.

91.

LUTY 1976 R.

– Bądź grzeczny i miły, ale przestań, do cholery, zgrywać gwiazdora. Spójrz na siebie. Ciągłe się uśmiechasz i wszyscy ci ludzie myślą, że sobie z nich żartujesz.

Mój prawnik to rosły typ o irlandzkiej sylwetce i ostrych rysach. Nie rozumie mnie. Być może jest dobrym adwokatem, ale nie do końca pojmuje mój zamysł.

– Jestem niewinny, to wszystko to tylko kompletne nieporozumienie – stwierdzam. – Dlaczego mam starać się zyskać ich sympatię?

– Bo będą cię sądzić.

– Sądzi mnie jedna osoba. To racjonalny człowiek.

– Wierzysz w cuda?

Adwokat przewraca oczami i zagryza usta. Za jego radą zrezygnowałem z udziału ławy przysięgłych. W oczach opinii publicznej już jestem skazany. Dlatego staram się przemówić do tego jednego jedyne go starca, który będzie wydawał wyrok. Mam wszystko opracowane. Liczę, że mój plan się powiedzie. Oskarżono mnie jedynie o porwanie i napaść na Carol D. Nic więcej. Śledczy nie mają żadnych dowodów i nie chcą przestrzelić.

Jestem niewinny. Mam prawo nie zdawać sobie sprawy z powagi mojej sytuacji, prawda? Mam prawo zachowywać się tak, jak lubię, być

naturalny i szczerzy? To powinno się podobać.

– Przepraszam, wysoki sędzie. – Staję ze zwieszoną głową i przez kilka sekund milczę. Słyszę szepty dobiegające z ław publiczności. Pociągam nosem i spoglądam w oczy sędziego. Adwokat daje mi znać, żebym się w końcu odezwał. Uśmiecham się jakby przez ły. Kręcę głową i wzruszam ramionami. – Nic z tego nie rozumiem. Wybuch złości, może przesadny, ale jednak tylko złości, która miała nastraszyć tę biedną dziewczynę, nie może przekreślić całego mojego życia... Mój adwokat radził mi, żebym był całkowicie poważny, żebym zachowywał się potulnie i przypominał zaszczutego psa...

Zerkam na prawnika, a ten ze zdziwieniem unosi brwi. Kręci głową i odrywa od pulpitu dłoń, jakby chciał coś powiedzieć. Nie pozwalam mu na to.

– Zachowywałem się tak, jak zawsze – ciągnę. – Jestem wesołym, spokojnym człowiekiem. Nawet moja złość miała więcej z przedstawienia teatralnego niż z chęci wyrządzenia komuś krzywdy. Widziano mnie z łomem? Nie przeczę. Zamachnąłem się nim, ale przecież nie uderzyłem Carol D. Czy mogłem to zrobić? Oczywiście, ale umyślnie uderzyłem obok i nie ma co do tego żadnych wątpliwości... To był wybryk. Głupi, nieodpowiedzialny wybryk. Nic więcej.

Milknę i odwracam się w stronę, gdzie stoją rodzice tej siksy. Wypowiadam cicho, łamiącym się głosem pojedyncze słowo.

– Przepraszam.

Sędzia doskonale je słyszy. Nie mam co do tego wątpliwości. Ponownie zwieszam głowę i stoję jak pokutnik. Teraz jest na to czas. Każde przedstawienie musi mieć odpowiednią linię narracji oraz emocji. Bez niej staje się nudne.

– Wyrok zostanie wydany w poniedziałek – oznajmia sędzia. – Muszę wszystko przemyśleć.

A więc czeka mnie weekend pełen domysłów.

Kilka miesięcy to tylko karuzela przenikających się wspomnień oraz emocji. Nie potrafię wam o nich szczegółowo opowiedzieć. W moim życiu czas ma zaskakujące właściwości płynięcia w różnym tempie. Rok 1976 to pasmo nieszczęść, które omotały mnie niczym paski bandażu ciało kompletnie poparzonego człowieka. Każdy dzień sprawiał mi ból. To nie jest kwestia tego, że chcę was mamieć słowami. Brzmią pompacyjnie, kliwie, może nawet śmiesznie. Po prostu taki jestem. Bywam...

Z niedowierzaniem kręcę głową. Zmuszam się do kpiącego uśmiešku. Zostałem uznany za winnego napaści oraz porwania. Mam nadal czekać na konkretną karę. To poniżające i ohydne.

Znów zapętlony czas, chaos myśli i oczekiwanie. Zastanawianie się nad tym, jak sobie poradzić. Jak prysnąć z tego miejsca.

Nie spodziewałem się, że nagle z kwietnia zrobił się czerwiec. Zupełnie jakby coś zżarło kilka tygodni mojego życia. Wtedy nadchodzi wyrok. Zostaję skazany na karę od roku do piętnastu lat więzienia w zależności od mojego zachowania, opinii władz oraz widzimisię sędziego. Nie, nie... Ted Bundy nie będzie podległy niczyjemu widzimisię. Mam ich w dupie.

Za kratkami jest inny świat. Ktoś od kogoś dowiaduje się, że studiowałem prawo, więc zasięga u mnie porady. To nic zobowiązującego, ale okazuje się, że mówiłem całkiem z sensem i jakiś więzień waśniak chce mi się odwdziżyć. Mam tylko jedno marzenie, ale jego nie może spełnić. Zamiast tego otrzymuję narzędzia.

Rozkład lotów międzystanowych i dwie mapy drogowe okolicy. To towar zakazany równie mocno jak noszenie broni dla hipisa. Ale ja nie jestem hipisem i nie cierpię jakichkolwiek zakazów.

Być może zachowuję się zbyt podejrzanie, bo zatrzymuje mnie jeden ze strażników. Mają prawo mnie rewidować, kiedy tylko zapragną,

i niczym z karabinu pada seria uwłaczających komend.

Po raz kolejny radzę sobie kpiącym uśmieszkiem oraz zmyśloną historyjką. Szmuglowałem te materiały dla kogoś innego, ale w życiu nie powiem dla kogo. Osobiście snucie planów ucieczki mam gdzieś, bo wiem, że lada moment moja argumentacja przebiję się do świadomości społecznej i zostaną uwolniony jako człowiek niewinny.

Strażnik nie rozumie tego ciągu logicznego. Rozumie za to, że mam przy sobie niedozwolone materiały, które musi zgłosić przełożonym. W nagrodę zostaję skazany na cztery tygodnie w izolatce. W sumie to nic strasznego. Nigdy nie miało dla mnie różnicy, czy mam z kim pogadać, czy zostaję jedynie z własnymi myślami. Wyobrażeń oraz wspomnień nikt nie mógł mi odebrać. Żywiłem się nimi i delektowałem. Domyślcie się pewnie, w jaki sposób.

– Masz problem, Bundy.

Podnoszę głowę i widzę, że drzwi celi są otwarte, a w progu stoi mój adwokat. Nie widzieliśmy się wiele miesięcy, więc chyba rzeczywiście mam problem.

– Wołałem usłyszeć miłe wieści – stwierdzam. – Dlaczego nikt nie może mi powiedzieć niczego miłego? To jakaś dodatkowa kara?

Prawnik wchodzi do pomieszczenia, a strażnik zamyka za nim drzwi. Po surowej, stężałej minie mogę się domyślać wszystkiego. Ta irlandzka mimika nie pozostawia miejsca na interpretacje.

– Śledczy z Kolorado oskarżyli cię o morderstwo – oznajmia lodowatym tonem. – Rozpoczęto postępowanie ekstradycyjne, a wtedy... Wiesz, jaka w Kolorado jest kara za morderstwo?

93.

– Będę bronił się sam.

– Co takiego? To szaleństwo, przecież nie masz nawet wykształcenia, nie wiesz, że...

- Dość. Podjąłem już decyzję. Jestem niewinny i będę bronił się samodzielnie. Niech wszyscy zobaczą, że jestem niewinny. Nie mam nic do ukrycia ani nie potrzebuję stosować jakichś kruczków.

Adwokat chce znowu mi przerwać, lecz go zbywam. Daję znać strażnikowi, by otworzył drzwi i pozwolił mi wrócić do celi. Postępowanie ekstradycyjne zostało zakończone i za kilka dni mam być przeniesiony do Aspen.

Posiadam mocne podstawy wiedzy prawniczej. Mogę na niej oprzeć swoją obronę, a poza tym jeśli mam komuś powierzać swoje życie, niech tą osobą będzie jedyna, której ufam - ja sam. Poza tym do głowy wpadło mi kilka pomysłów. Naprawdę dobrych koncepcji dotyczących tego, jak to wszystko rozegrać.

Przede wszystkim występowanie jako własny obrońca wiąże się z drobnymi przywilejami. Pozwoli mi również powodować pewne opóźnienia. Pamiętam, że właśnie w ten sposób działał jeden z pedofilii, o których usłyszałem w trakcie pracy dla DES. Facet bronił się sam, choć o prawie nie miał bladego pojęcia. Sędzia nie tylko musiał mu tłumaczyć większość zawichości proceduralnych, ale również uchodziło mu płazem wszelkie brnięcie w ślepe zaułki. Gdy tylko się zapędził, musiano pozwolić mu się wycofać rakiem. Obawiano się, by sądy odwoławcze nie potraktowały jego nieznamomości prawa jako okoliczności kwestionującej prawidłowość całego postępowania. Tak, wiem, wbrew pozorom to nudny prawniczy bełkot. Nieznamomość prawa jest dla samego prawa tak istotna jak wzbicie się na jego wyżyny. Kuriozalne, ale prawdziwe.

Poradzę sobie. Jeszcze nie do końca wiem jak, ale czuję, że mi się uda. Zrobię ich wszystkich na szaro. Mają na mnie jedynie jakieś poślednie poszlaki, domysły i złudzenia. Zresztą w tym przypadku nie chodzi tylko o śledczych. Sędziowie i prawnicy to tylko mniej istotna część układanki.

W głowie zaczyna formułować mi się jasny plan. Uśmiecham się do siebie.

- Bundy, zaczekaj. - W momencie gdy w asyście strażnika stoję przed wejściem do swojej celi, podchodzi do nas oficer.

- Tak, szefie?

- Nie rozgaszczaj się. Pakuj manatki, bo za kwadrans wyruszasz do Kolorado.

A więc gra właśnie zaczęła się na dobre.

94.

7 CZERWCA 1977 R., SĄD HRABSTWA PITKIN, ASPEN

Sędzia zarządza przerwę. Rozprawa została wszczęta, mój proces formalnie ruszył, lecz same kwestie proceduralne zajęły kilka godzin. Publiczność oraz przysięgli są głodni, wszyscy myślą o lunchu. To społeczeństwo jest rozpasione i wygodne. Od siedzenia bołą ich tyłki, więc muszą odpocząć, przechadzając się w tę i we w tę, najlepiej z hamburgerem w łapie. Jednak nim wychodzą, wstają i dają znać, że coś chciałbym powiedzieć. Sędzia spogląda na mnie nieobecny wzrokiem. Wydaje mi się, że jemu też zależało na zarządzeniu tej przerwy. Może musi się odlać, a może ma umówione spotkanie z żoną. Widziałem jednak, że przez ostatnie minuty mówił szybciej, połykając głoski i co rusz zerkając, jak wiele materiału pozostało mu jeszcze do odczytania.

- Chciałbym skorzystać z biblioteki oraz zapoznać się z aktami - oznajmiam przymilnym, spokojnym tonem. - Proszę o zezwolenie. Nie potrzebuję przerwy obiadowej.

Sędzia łypie na mnie z ukosa, po czym się zgadza. Nikt nie oponuje, bo nikogo nie interesuje, co zrobię z tym czasem. Przysięgli może nawet wolą nie widzieć mnie na stolówce. Choć z kilkoma kobietami nawiązałem dłuższy kontakt wzrokowy. W ich spojrzaniach nie było

nienawiści, lecz ciekawość. Staralem się zamienić ją w zaintrygowanie. Przez cały czas zachowuję się, jakbym nie dowierzał w to, co się dzieje. Uśmiecham się, jestem grzeczny i spokojny. Bez chwili zwłoki wykonuję wszelkie polecenia. To sprawia, że rozluźniają się nawet stojący obok mnie strażnicy.

- W taką pogodę chciałoby się pojechać z rodziną nad jakieś jezioro, no nie? - zagaduję, gdy opuszczamy salę. - Czy uciekacie w góry?

- Jest świetny spływ kajakowy - odpowiada funkcjonariusz. - Ubaw po pachy.

- Spływ! Nigdy mi się nie udało żadnego pokonać. Słyszałem o jednym w okolicy Salt Lake, ale ciągle było mi nie po drodze.

- Nic nie może rywalizować z Górami Skalistymi. Jak to mawiają, Colorado Über Alles.

- Naprawdę? Koniecznie muszę tu wrócić. Czy o tej porze roku macie tu straszny tłok?

- W tym sezonie nie...

Dostrzegam ukradkowe spojrzenie, jakie wymieniają strażnicy. Jeden z nich, wyższy i starszy, milczy. Jest do mnie od początku nastawiony negatywnie, ale popracuję nad tym. Będę miał wiele czasu.

Wchodzimy do sądowej biblioteki. Z przyjemnością wciągam zapach papieru oraz kurzu. Większość bibliotek pachnie tak samo, lecz sądowe mają szczególny aromat. Pojawia się w nim wyczuwalna nutka potu oraz zdenerwowania. To zawsze coś innego od zapachu więzienia.

Podchodzę do biurka i od razu wyłuszczam, czego będę potrzebował.

- Akta prawne są tam. Najnowsze orzecznictwo również - Przygarbiony bibliotekarz z okrągłymi okularami na czubku nosa wskazuje w głąb sporego pomieszczenia. - Glosy znajdzie pan regał dalej, ale ciągle ich nie poukładaliśmy.

Nie dopytuję o powód chaosu i od kiedy trwa to „ciągle”.

- A stolik? Czy mogę rozłożyć się przy tym biurku?

Staram się być jak najgrzeczniejszy. Uśmiecham się do bibliotekarza i bez pośpiechu kieruję we wskazaną stronę. Kiedy tylko szafa biblioteczna przesłania mnie od strażników, czuję się lepiej. Jakby samo wyrwanie się poza zasięg ich wzroku sprawiło, że odzyskałem wolność.

Odchrząkuję głośno i pojawiając się między kolejnymi regałami tak, by mogli mnie zobaczyć. Stoją przy drzwiach wejściowych, a jeden zagaduje coś do bibliotekarza. W pomieszczeniu jest jeszcze jedna osoba, trzydziestokilkuletni adwokat, który przegląda prasę.

Zanoszę do stolika dwie grube księgi, po czym ciężko wdycham. Z przyniesionych przez siebie akt wyciągam jeden z dokumentów.

– Jeszcze glosy... – udaję, że o nich zapomniałem.

Tym razem kieruję się jednak ku regałom po przeciwnej stronie, przy oknie. Wychodzi ono na ulicę, jednak w dole nie ma przechodniów. Od bruku dzielą je dwa piętra.

Odruchowo, bez nadziei, sięgam ku klamce. Serce bije mi coraz szybciej. Okazuje się, że okno jest niezabezpieczone i z łatwością się otwiera.

Boże.

Działam błyskawicznie. Natychmiast wychodzę na parapet i przymykam skrzydło tak, by do środka nie wpadł hałas ulicy ani przeciąg.

Dwa piętra.

Kręci mi się nieco w głowie, lecz przecież nie mam wyjścia. To dar od losu. A jeśli mam się zabić albo połamać... Nieważne.

Skaczę.

95.

Ból.

Diabelny ból.

Prawa kostka pulsująca tak, jakby w stawie wybuchł mi granat. Jakby obrócono mi stopę wokół własnej osi.

Ale to nic...

Adrenalina momentalnie bierze górę i ból staje się jedynie niedogodnością. Pulsującym ćmieniem. Niczym, co mogłoby mnie powstrzymać.

Zrzucam więzienną bluzę i kuśtykając, pędzę uliczką. Skręcam w pierwszą przecznicę, po czym przez kilkanaście minut kluczę po okolicy. Dwukrotnie obiegam ten sam budynek, by psy miały problem z podjęciem mojego tropu. W oddali rozlega się ryk syren. Mam jednak drobną przewagę.

Nie rozmawiałem ze strażnikiem o sezonie i tłoku w Aspen dla samej przyjemności. Choć przede wszystkim chodziło mi o nawiązanie porozumienia – nie mogłem spodziewać się, co się wydarzy – ale jednocześnie rozważałem każdą okoliczność.

„W tym sezonie nie”.

Te słowa wystarczają mi, bym podjął decyzję, gdzie się kierować. Wszyscy będą oczekiwać, że spróbuję się wydostać z miasta. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale będą się mylili. Przynajmniej co do kierunku, w którym się udam.

Nie zważając na skręconą kostkę, biegiem pokonuję pusty obszar między zabudowaniami a linią drzew. Dwukrotnie się odwracam, upewniając, że nikt za mną nie podąży ani mnie nie widzi. Szczęśliwie budynki od tej strony nie mają okien. To przemysłowe, ceglane obiekty z połowy zeszłego wieku.

Po kolejnych kilku minutach marszu znajduję się wśród drewnianych domów wypoczynkowych. Staram się nie kuśtykać, aby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Na poboczu stoi kilka zaparkowanych aut, przy których kręci się paru turystów. Zdaje się, że przechodzę całkowicie niezauważony.

Przyspieszam kroku. Choć to trudne, utrzymuję równowagę i w miarę normalny chód. Mijam parking, po czym skręcam w stronę

zbocza porośniętego drzewami iglastymi. Na szczycie widnieją czubki białych, ostrych skał. Wiem jednak, że jeżeli uda mi się przez nie przejść, rozciągnie się przede mną ogromna przestrzeń górskich lasów.

A co dalej? Jakoś sobie poradzę. Będę musiał dopasować się do rozwoju wydarzeń. Jednak tu, między drzewami, wreszcie zaczynam czuć się wolny. Wciążam woń świeżego powietrza i się zatrzymuję. Muszę przez moment odpocząć. Zerkam na opuchniętą kostkę, ale jakiegokolwiek próby jej usztywnienia muszę odłożyć na później. Teraz nie czas przejmować się takimi rzeczami.

Pamiętacie dokument, który w bibliotece wyciągnąłem z akt? To załącznik w formie mapy, na której prokuratorzy zaznaczyli zbrodnie, których miałem dopuścić się w tej okolicy. Teraz przyda mi się zupełnie w innym celu. Rozkłada ją i staram się zorientować, gdzie się znajduję. Zdaje się, że skierowałem się na południe od miasta, a przede mną rozpościera się jeden z dwóch głównych grzbietów gór Aspen.

- Świetnie - rzucam na głos. - Podwieźliście mnie na świetną wycieczkę.

Wszystko nie mogło potoczyć się lepiej. Nikt nie będzie mnie ścigał w tej okolicy. Dla nich ten kierunek ucieczki jest pewnie równoznaczny z samobójstwem. Oby właśnie tak myśleli.

96.

Po raz kolejny wychodzę z lasu na skraj doliny. Zdaje się, że nadrobiłem kilkadziesiąt mil, nie posunąwszy się wcale do przodu. Planowałem pojawić się za kolejną granią. Straciłem jedynie czas i siły.

Szlag. Kuśtykając, podchodzę do pniaka i rozkłada na nim mapę. Przeglądam ją dłonią. Zdaje mi się, że znam już na pamięć kolejne szczegóły okolicy, ale na nic to się mi nie przydaje. Kluczę. Trzeci lub czwarty dzień, sam już nie wiem, włóczę się, nie mogąc dotrzeć do wyznaczonego celu. To jak przekleństwo.

Przynajmniej nie jestem głodny. Z jakiejś chaty myśliwskiej zabrałem kilka puszek konserw, termos z wodą oraz karabin. To zawsze coś.

Najgorsze, że zgodnie z mapą, aby zejść w stronę Crested Butte, muszę trafić na konkretny szlak. Poza nim ciągnie się niedostępne pasmo skał i przepaść. Z jednej strony ta okolica jest idealna, aby się w niej zaszyć, lecz z drugiej... Jeśli będę miał pecha, skazę się na śmierć. Przez tę cholerną kostkę i tak tracę mnóstwo sił oraz czasu. Musiałem też zrezygnować z zejścia po jednym ze zboczy.

Do tego jest mi piekielnie zimno. Zrzuciłem więzienną bluzę, a w domku myśliwskim nie było żadnej odzieży. Temperatura w nocy spada do kilku stopni. Muszę się stąd wydostać.

Czy przypadkiem...

W kotlinie, kilkaset metrów poniżej poziomu, na który się wspiałem, coś błyska. Wychylam się, ale nie jestem pewny... Co to, u licha, może być? Wydawało mi się, że to całkowicie opustoszałe zagłębienie terenu, ale chyba dostrzegam tam jezioro. Gdyby nie kostka, mógłbym wspiąć się na drzewo i spróbować lepiej rozejrzeć się po okolicy.

Gniewnie składam mapę i szybko się wyprostowuję. Już nawet nie krzywię się w takich chwilach z bólu. Błyskawicznie podjąłem decyzję. Muszę zaryzykować. Kolejny dzień łażenia po górach wśród gęstego lasu może skończyć się tak samo. Zaczyna brakować mi sił.

Schodzę między drzewami i nagle tracę oparcie. Słyszę chrzęstnięcie w kostce, a ból staje się niemal nie do zniesienia. Chwytam się jakiegoś konara. Mało brakowało, a wpadłbym do rozpadliny zasypanej zalegającą od lat warstwą igieł oraz butwiejącej kory.

Ciężko oddycham, lecz nie pozwalam sobie na przestój. Natychmiast ruszam dalej. Nieco ostrożniej, patrząc przez jakiś czas pod nogi. Gdybym złamał tu kość, nikt by mnie nie odnalazł. Zdechłbym z głodu i pragnienia. A może dorwałyby mnie dzikie zwierzęta.

Co za ironia. Do tej pory zawdzięczałem im pomoc w zacieraniu śladów... Nie. To nie może skończyć się w ten sposób.

Zmęczony znów tracę równowagę. Tym razem upadam i staczam się kilka metrów. Udaje mi się uniknąć uderzenia głową w drzewo. To mnie nieco rozbudza.

– Weź się w garść albo skończysz w tym lesie – syczę do siebie. – Nie bądź pieprzoną niedojdą!

Udaje mi się pokonać kilkadziesiąt metrów po dość stromym zboczu i wchodzę do jaru. Panuje w nim niemal półmrok. Spod moich stóp ucieka wąż, ale nawet się tym nie przejmuję. Może i dobrze by było, gdyby ukąsiła mnie żmija?

Maszeruję dalej. Jednolitym tempem i odliczając kroki, jakbym został zaprogramowany. Prosto przed siebie, byle w dół. Przynajmniej tego kierunku nie mogę zgubić.

Nagle dostrzegam skrzącą się w słońcu toń jeziora. Woda wydaje się być srebrzystobiała, ale szybko odwracam od niej wzrok. Po mojej prawej, kilkadziesiąt metrów od wyjścia z wąwozu, stoi przyczepa kempingowa. To mój ratunek.

97.

Patrzę na znak drogowy i rozglądam się po okolicy. Skołowany zakładam dłonie za głowę. Ledwie trzymam się na nogach, a teraz to...

ASPEN

Cholera.

To niemożliwe. Już tu byłem... Bodaj sześć dni temu. Staralem się stąd wyrwać, ale zatoczyłem jakieś pieprzone koło. Dzięki kurtce gwizdniętej z przyczepy kempingowej zdecydowałem się na całonocny marsz i musiałem zupełnie pomylić kierunek.

Niech to szlag. Uderzam pięścią w otwartą dłoń i spoglądam w górę. Na jednej z polan dostrzegam kilkadziesiąt sylwetek ludzkich. To pogoń. Zapewne kolejny dzień przeczesują okolicę, zorientowawszy się, że nie uciekłem przez blokady drogowe.

Pieprzyć to.

Przy każdym kroku coś przeskakuje mi w kostce. Jakby kość wskakiwała i wyskakiwała ze stawu. Obrzęk jest tak duży, że stopę mogę trzymać niemal wyłącznie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni względem piszczeli. Przez te kilka dni mocno zarosłem i być może nie poznaliby mnie, ale nawet gdybym chciał, nie uda mi się uniknąć kuśtykania.

Czy nie ma pieprzonych kuśtykających myśliwych?!

Zaczynam czuć gniew. Zamiast woli przetrwania i podniecenia ucieczką zloszczę się na samego siebie. Ba, jestem sobą rozczarowany. Jak mogłem zatoczyć to cholerne koło? Jak mogłem skrócić tę kostkę?

Jakby chcąc się ukarać, wspieram się na obolałej nodze. Ból promieniuje aż do biodra. Niemal upadam, lecz napiąwszy wszystkie mięśnie, utrzymuję w końcu pozycję. Ciało ma być mi posłuszne.

Schodzę w głąb pobocza, między drzewa. Teren jest tu nierówny i każdy krok wywołuje ból, ale nie mam wyboru. To cena, jaką muszę zapłacić. Niewiele brakuje, żebym biegł.

Po kilkunastu minutach zbliżam się do zabudowań. Linia domów rozciąga się po drugiej stronie ulicy, tam gdzie las staje się rzadszy. Właśnie tamtędy uciekałem. Wybieram jednak drugą trasę. Na rozwidleniu skręcam w kierunku, gdzie według znaków znajduje się pole golfowe. W tym momencie mijają mnie dwa rozpędzone pick-upy. Odwracam się w przeciwną stronę, ale nie sądzę, by kierujący zwracali uwagę na pobocze. W głowie muszą mieć już tylko wypoczynek.

W końcu dostrzegam niewielki parking. Napis na białej tablicy informuje o obowiązku wykupienia miejsca, chyba że posiada się legitymację klubową. Podane są też godziny pracy obsługi.

Zwalniam kroku i rozglądam się wokół. Boli mnie głowa, a nogi już się pode mną uginają. Tracę czujność. Wiem to.

Przechodzę obok rzędu aut. W oddali znajduje się parkingowy, lecz na razie jest zajęty swoimi sprawami. W zielonym opłu dostrzegam to, czego szukałem. Odłożone na desce rozdzielczej kluczyki.

Działam błyskawicznie. Pociągam drzwi, wskakuję do auta i uruchamiam silnik. Czuję się, jakby w moje żyły ponownie wtłoczono adrenalinę. Dodaję gazu, po czym wyjeżdżam z parkingu. Jestem zupełnie wolny. Mam fart.

98.

13 CZERWCA 1977 R.

Piszczy mi w uszach. Krajobraz za oknem auta przesuwa się w jakimś poszatkowanym tempie. Oczy, mimo całego pobudzenia, zamykają się. Przez ostatnie dni spałem ledwie parę godzin. Obolała kostka pulsuje, jakby miała eksplodować. Staram się zmieniać pozycje, usiąść jak najwygodniej, lecz całe ciało mam obolałe.

Dziewczyna przy autostradzie... Idąca poboczem, w jeansach oraz czerwonej kurtce. Wiatr rozwiewający jej włosy. Ma ładny chód, stawia kroki niemal w jednej linii i lekko kołysze biodrami. Jej twarz. Obrzmiała, fioletowa, z wytrzeszczonymi oczami i śliną w kącikach ust.

Cholera.

Otwieram oczy i mocniej ściskam kierownicę. Przysypiam. Wyobrażenia porywają mnie za sobą i coraz trudniej mi z nimi walczyć.

Otwieram okno, a do auta wpada pęd powietrza, lecz szum jest niczym imadło ściskające mi skronie. Jeszcze moment i przebije kość, po czym chwyci sam mózg.

Po czole spływa mi pot. Czuję go również na plecach i pod pachami. Zmęczony organizm usiłuje walczyć, ale to głupia, nieproduktywna walka. Mózg sądzi, że należy wychłodzić rozgorączkowane emocjami oraz wyczerpaniem ciało. Czytałem o tym procesie. Wielokrotnie widziałem, jak w ciągu kilku sekund nagą skórę pokrywa rosa potu.

Strach działa tak samo jak zmęczenie. Stres wyczerpuje równie mocno, jak wielogodzinny marsz. Błyszczące piersi oraz brzuch...

Głowa znów mi opada. Otwieram oczy i zaciskam zęby. Droga jest niemal pusta, ale minimalny skręt kierownicą może się skończyć złapaniem zwirowego pobocza i wypadnięciem prosto wśród drzewa. A raczej w jedno z nich.

Nie mam zapiętych pasów. Nigdy tego nie robię. Czy zginąłbym na miejscu? Pewnie tak. To znacznie lepsze od kalectwa albo rehabilitacji. Lepsze również od leżenia pod kroplówkami z poparzoną skórą owiniętym mokrymi bandażami.auta często płoną. Tak jak tamta czaszka w kominku... Ciekawe, czy Elizabeth nie zaczęła się czegoś domyślać właśnie tamtego dnia? Nie mogła nie poczuć swądu palonych włosów. Uwierzyła w bajkę o szczurze albo innym gryzoniu?

Bębnię palcami w kierownicę i staram się przypomnieć słowa jakiegokolwiek piosenki. Śpiewanie zawsze rozbudza. Kiedy dojadę do granicy stanu, zatrzymam się. Wtedy będę mógł odpocząć, ale nie tutaj.

Chciałbym dodać gazu, lecz jednocześnie bardzo się tego boję. Chwila nieuwagi może wszystko zakończyć w zły sposób.

Zerkam na leżący obok karabin. Jest naładowany, a jeden strzał wystarczy, by urwać mi łeb. Ale to nie wchodzi w grę. Nie jestem tchórzem.

Urwane głowy... Obcięte. Zawsze można je wyrzucić do rzeki.

Cholera. Cholera.

Znów przysypiam. Gwałtownie zmieniam pas, gdyż zjechałem na przeciwny. Opony piszczą, a w tym samym momencie za mną rozlega się wycie syren. Momentalnie zrównuje się z mną radiowóz.

Zwolnić czy walczyć? Muszę jak najszybciej podjąć decyzję. W przeciwnym razie to oni mnie zastrzelą. Jak dzikie zwierzę... Nawet nie. Jak zwykłego psa.

99.

PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ, GRUDZIEŃ 1977, WIĘZIENIE

HRABSTWA GARFIELD

Spoglądam na Carole. Uważnie śledzę jej ruchy oraz mimikę. Zdaje się, że ta sumienna pracownica DES całkowicie mi wierzy. Wspomniałem wam, że będzie dla mnie bardzo ważna. Elizabeth odsunęła się ode mnie po doniesieniach o mojej relacji z Carole i gdy dostała dowody moich spotkań z Diane. Któremuś z detektywów bardzo zależy, by zniszczyć moje życie prywatne. Jednak Carole Boone jest uparta. Jest wystarczająco samodzielna, by nie dać się zmanipulować tym głupkom.

Wierzy mi i wierzy we mnie. Po raz kolejny przynosi mi w prezencie własnoręcznie wypieczone ciastko. Przynajmniej na to wyrażają zgodę władze więzienia. Oczywiście wcześniej skrzętnie sprawdzono, czy w środku nie ma niczego metalowego. Jakby słodczyce miały służyć przemycaniu wytrychów albo kluczy.

- Ted, martwię się o ciebie. Bardzo się martwię... Nie śpię po nocach, ale nie wiem, jak ci pomóc.

Carole wyciąga dłoń, ale nie mogę jej uścisnąć. Strażnik natychmiast krzywo na nas patrzy. Nie chcę po raz kolejny dostać czasowego zakazu kontaktów. Tym bardziej że funkcjonariusze nie okazują mi niechęci. Staram się z nimi utrzymywać jak najlepsze stosunki.

- Nie ma potrzeby się martwić... Tamte procesy nie mają sensu. Myślę, że w ogóle...

- Nie w tym rzecz.

Carole wchodzi mi w zdanie. W jej dużych oczach pojawiają się łzy. Widzę, że kilkakrotnie starała się zmierzyć wzrokiem całą moją sylwetkę. Po raz kolejny bacznie mi się przyglądała, gdy wchodziłem do sali widzeń.

- Więc w czym? - dopytuję, chociaż domyślam się odpowiedzi.

- Przepraszam, że to mówię, ale słabo wyglądasz.

- Słabo? Dlaczego?

- Badają cię tutaj? Ted, powiedz mi, czy macie tu jakieś obowiązkowe badania i szpital?

Kiwam głową i uśmiecham się pocieszająco.

- Tak, Carole... Daj spokój. Wszystko jest w porządku, czuję się zupełnie dobrze.

- Schudłeś. Potwornie schudłeś.

- To stres... Wiesz, ile nerwów mnie to wszystko kosztuje.

Carole przetyka ślinę i nerwowo splata dłonie. Palcem wskazującym nadrywa skórę przy kciuku. W tym momencie cichy gong oznajmia, że widzenie dobiega końca. Kilka siedzących obok nas par pośpiesznie się żegna.

- Nie martw się. - Uśmiecham się łagodnie. - Nie masz po co się martwić. To szybko minie.

- Obiecujesz?

- Oczywiście. Uszy do góry!

Wbrew tym słowom sam zwieszam głowę i ocieram oczy. Udaję kogoś załamanego, kto bohatercko przewycięża chwilę słabości. Ponownie spoglądam na Carole.

- Przepraszam... - Łamię mi się głos. To lepsze niż udawanie akcentów. - Chciałbym cię uścisnąć i pocałować.

Biorę ciastko, po czym karnie ustawiam się w kolejce do wyjścia. Nie odwracam się. Opuszczam salę widzeń, przygarbiony, nie spoglądając już więcej na Carole. Dzięki temu lepiej zapamięta tę scenę. Będzie o niej myślała przez najbliższe dni, może nawet tygodnie. Będzie płakała, a płacz oczyszcza. I przywiązuje.

Wracam do celi i czekam, aż strażnik zamknie drzwi. Siadam na pryczy i natychmiast wgryzam się w ciastko. Pożeram je, łapczywie przetykając ohydnie słodkie nadzienie. W pewnym momencie wypływam niewielką folię. Rozkładam złożony do wielkości małego paznokcia banknot i nie mogę powstrzymać radosnego parsknięcia. Sto dolarów. Świetnie.

Pośpiesznie chowam papierek do siennika. Jest tam już ponad czterysta dolców. Mój fundusz ucieczkowy skrzętnie gromadzony przez ostatnie miesiące. Nie bez powodu straciłem też tyle kilogramów. Piętnaście, może nawet dwadzieścia. Nie, nie obawiajcie się – to nie na skutek choroby. Jestem zdrowy jak nigdy. I marzę, by z tego zdrowia skorzystać jeszcze na wolności. A o tym, jak to zrobić, nikt nie wie lepiej ode mnie.

Dajcie spokój, chyba nie myśleliście, że się poddałem!

100.

30 GRUDNIA

Plan jest prosty. Jak każdy dobry plan.

Przez ostatnie miesiące zachowywałem się tak poprawnie, jak tylko mogłem. Zero konfliktów, zero problemów, zero zwracania na siebie uwagi.

Za pieniądze przemycane przez odwiedzających zdobyłem tyle informacji, ile mogłem. Stworzyłem całą sieć więźniów, którzy kontaktowali się pomiędzy blokami oraz poziomami. Prosiłem o dane dotyczące układu pomieszczeń i korytarzy. Od więźnia rozwożącego książki za sto dolarów otrzymałem mapę górnego piętra. Za pięćdziesiąt zielonych jeden ze strażników pozwolił mi raz spojrzeć na dziedziniec od strony, gdzie nie byliśmy uprawnieni spoglądać. Argumentowałem to tym, że większa przestrzeń pozwala mojemu umysłowi odpocząć. Nie mógł niczego podejrzewać. Nie pytał też, skąd mam forszę, której przecież nie miałem prawa posiadać.

Największym wydatkiem było krótkie ostrze brzeszczota. Mniejsza o to. Nie wiem, czy w ogóle mi się przyda, ale lepiej być przygotowanym na wszystko.

Plan budynku, o tyle, o ile to możliwe, znam na pamięć. Nie muszę mieć nawet przy sobie map ani schematów. W przypadku budowlu użyteczności publicznej – bo przecież właśnie takimi są więzienia – architekci kierują się zasadą niekomplikowania. Jeśli coś może być proste, głowę dają, że właśnie takie będzie. Poza tym ze względu na fundusze oraz zwykle niedbalstwo nie wprowadza się niczego wykraczającego poza ogólne standardy. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Przez ostatnie miesiące niemal nie jadłem i sporo ćwiczyłem. Moje ciało stało się żylaste i wysportowane. Rozciągałem się, poprawiając własną sprawność. Nie mogę powtórzyć błędu z Aspen. Nie mogę powtórnie ponieść porażki przez to, że nieudolnie zeskoczę z wysokości. Przede wszystkim jednak moje wymiary mają mi pomóc w ucieczce.

Wpatruję się w metalową płytę o boku mierzącym około trzydziestu pięciu centymetrów. Znajduje się nad moją głową obok wzmocnienia sufitu celi. Być może to moja jedyna szansa.

Odkąd rozpoczęła się przerwa świąteczna, w więzieniu jest o połowę mniej funkcjonariuszy. Panują błogi spokój i przeświadczenie, że w tym radosnym czasie nie może dojść do żadnych rozruchów. Naczelnik złożył nam życzenia, więźniowie odpowiedzieli mu gremialnym odśpiewaniem kolędy, i tyle. Takie to uroki niewielkich zakładów karnych. Na szczęście nie trafiłem do jednej z tych wielkich placówek dla niebezpiecznych przestępców. Może to się jednak stać każdego dnia. Dlatego muszę się śpieszyć.

Czy wszystko zostało dopracowane? Z jednej strony nie wiem. Nie mam pojęcia. Z drugiej sędzę, że nigdy nie mogłoby być mowy o lepszym planie i lepszej okazji. Na co mam czekać? Co więcej mogę wymyślić?

Gdybym uzyskał dokładny rozkład szybów wentylacyjnych... Ale przecież na tych, które już mam, naniósłem wszelkie otwory oraz uwagi każdego więźnia, który coś zauważył. O otworach, o kratkach

i o rurach... Tak. Nic więcej nie uda mi się dowiedzieć. Mógłbym napisać na ten temat doktorat.

Poprzedniego dnia poprosiłem o przywiezienie do mojej celi akt procesu oraz dokumentów. Powiedziałem, że chcę się przygotować do wystąpienia przed sądem, a panująca cisza pozwala mi się skupić.

Układałem dokumenty na łóżku i zarzucam na nie pled, jakbym to ja pod nim spał. To banalne, ale zawsze się sprawdza. Naprawdę. Poczytajcie sobie o wszystkich słynnych ucieczkach.

Teraz czas na najważniejsze. Przekonam się, czy aby któreś moje założenia nie były błędne.

Staję na skraju pryczy i skaczę ku sufitowi. Opuszkami palców trącam metalową płytę, która się przesuwa. Robi przy tym sporo hałasu, lecz nie sądzę, by ktoś zwrócił na niego uwagę. Mimo to odczekuję kilka minut.

Nic. Na korytarzu panuje cisza.

Wybornie.

Ponawiam skok i chwytam się krawędzi zbrojenia. Nad moją głową znajduje się szyb wentylacyjny, a otwór jest tak wąski, że mogę w nim utknąć. Ledwie przepycham przez niego ramiona...

Cholera. Niech to szlag!

Zapieram się z całej siły, nie bacząc, że metalowa krawędź rozdziera mi biceps i wbija się w plecy. Brakuje naprawdę niewiele. Obracam się i wyginam do tyłu. Wspieram się na łokciach.

Ćwiczenia przyniosły swój efekt. Jestem tak giętki, jak nie byłem nigdy w życiu. Udaje mi się poruszyć niczym pająk, jako dodatkowej kończyny używając własnej potylicy. Nie wiem, co znajduje się w ciemności za moimi plecami, lecz moje całe ciało jest już w szybie wentylacyjnym. To pierwszy sukces. Niczym karaluch zaczynam pełznąć w nieznaną.

Muszę dotrzeć do pierwszego rozgałęzienia. Przez cały czas poruszam się tyłem, rozgniatając pluskwy oraz pająki. Zdarza się, że robaki pełzają mi między palcami, lecz nie zatrzymuję się nawet na chwilę.

Otocza mnie niemal całkowita ciemność. Od czasu do czasu błyska światło z kratki wentylacyjnej głównej korytarza. Dzięki temu wiem, że kieruję się we właściwą stronę. Zgodnie ze szkicami, które tworzyłem przez ostatnie tygodnie.

Wreszcie trafiam na większą przestrzeń. Szybko rozchodzi się w kilka odnóg i mogę się obrócić. Przeciagam się. Pozwalam przez chwilę mięśniom odpocząć. Po przebywaniu przez kilka minut w wymuszonej, przygarbionej pozycji są stężale i obolałe. Szybko jednak się rozprostowuję.

Najważniejsze, że otarcia karku oraz bicepsa nie są poważne. Właściwie rozerwałem tylko bluzę, a rany nawet nie krwawią. To zwykłe zderzenie naskórka.

Obracam się na brzuch i zaczynam się czołgać. Wiedziałem o tym rozwidleniu, więc mam nadzieję, że wybrałem właściwą drogę. W labiryncie przewodów oraz rur bardzo łatwo można stracić orientację. Na szczęście po kilkunastu metrach znów dostrzegam pod sobą fragment korytarza. Znajduję się nieopodal stołówki, więc wszystko idzie zgodnie z planem.

Muszę uważać, by poruszać się jak najciszej. Jeden nieopatrzny ruch wystarczy, by zaalarmować strażników. Uderzenie w blachę poniesie się echem po całym budynku.

Staram się nawet jak najdłużej wstrzymywać oddech. Słyszę jedynie pulsującą krew, która zdaje się wypełniać każdą tkankę mojego ciała. Jest mi duszno, lecz nie mam klaustrofobii. Na szczęście kanał jest na tyle szeroki, że nie grozi mi utknięcie.

Kolejne rozgałęzienie. Teraz przegapiłem jedną z kratek. Chyba że... Mogłem pójść zbyt daleko. Jeżeli światło w pomieszczeniu pode mną było zgaszone, mogłem nie zobaczyć otworu wentylacyjnego.

To nic. Ważne, by podążać naprzód. Gdzieś tam szyb musi się wreszcie kończyć i mam nadzieję, że będzie to zewnętrzna ściana budynku.

Jestem obklejony pajęczynami oraz tłustą mazią. Mimo to nie zatrzymuję się. Nie pozwalam już na odpoczynek mięśni ani na jakiegokolwiek przestoje.

Nagle spostrzegam, że w niewielkim bocznym wgłębieniu znajduję się podłużna kratka wentylacyjna. Pada przez nią rozproszone światło. Muszę sprawdzić, gdzie jestem.

Czołgam się w jej stronę i ze zdziwienia zagryzam wargę. Widzę pod sobą kontur biurka, lampę oraz wielki sześcian sejfu. Znam to pomieszczenie. Byłem tu dwukrotnie.

To gabinet naczelnika. Znajduje się tuż obok wyjścia, przy więziennym hallu, gdzie nie ma już straży.

Namyślam się tylko przez chwilę. Chwytam palcami kratę i szarpie ją z całej siły. Raz za razem. Teraz nie zważam już nawet na hałas. Bołą mnie palce, a metalowa siatka wżyna się w skórę. Mimo to nie odpuszczam. Wreszcie udaje mi się nadnieść płytę i wtedy pomagam sobie brzeszczotem. Nadpiłowuję dwie śruby, po czym wyrwam resztę.

Otwór jest nieco większy niż ten nad moją celą. Rozglądam się, czy aby na pewno pomieszczenie jest puste, i zeskakuję na podłogę. Nawet się nie otrzepuję.

Od razu podbiegam do szafy stojącej w rogu pokoju. Otwieram ją i z radości chce mi się klaskać. Na wieszakach wisi kilka kompletów rozmaitych ubrań. Natychmiast zarzucam na siebie marynarkę oraz zakładam wełniane spodnie. Zerkam ku oknu, lecz jest zakratowane.

Trudno. Poradzę sobie jakoś inaczej. Zostało mi do przebycia jedynie kilkanaście metrów. Jakby nigdy nic wychodzę z gabinetu na korytarz. Gdzieś w głębi słyszę szmer rozmów, lecz w zasięgu wzroku nie ma nikogo. Niezatrzymywany, kieruję się ku drzwiom wejściowym i naciskam klamkę.

Drzwi są zamknięte.

Szlag! W takim momencie!

Momentalnie przychodzi jednak opamiętanie. Dostrzegam zwykły zamek na zasuwę. Przesuwam ją i ponownie naciskam klamkę. Tym razem drzwi się otwierają, a przede mną rozciąga się przyozdobiona świątecznie ulica. Powiew wiatru owiewa mi twarz.

To się nazywa prezent! Zrobił mi go los²⁴.

102.

W kieszeni mam ponad trzysta dolarów oraz przemyconą kartę ubezpieczeniową na fałszywe dane. Zdobyć innego dokumentu było niemożliwe, więc to musi mi wystarczyć.

Pewnie kojarzycie międzystanową siedemdziesiątkę. Ma ponad dwa tysiące mil i wije się od Baltimore aż do Utah. Wije się – to właściwe określenie. Nie jest tak gładka jak inne amerykańskie autostrady, które zdają się być liniami prostymi niczym miejskie ulice oraz przecznice. Wije się – bo zmuszają ją do tego kaniony oraz pustkowia Kansas i Kolorado. Gdybyście chcieli sobie wyobrazić okolicę, pomyślcie o westernach i samotnych rewolwerowcach przemierzających czerwone skaliste pustynie, pełne wysokich głazów oraz wyschniętych koryt rzek.

Jestem takim rewolwerowcem. Mogę to sobie wyobrazić bez większego problemu i bez cienia zażenowania. Muszę zająć mózg ciekawszą historyjką niż wiecznym wałkowaniem faktu, że udało mi się uciec. Nauczyłem się być opanowany.

Kieruję się na wschód. Spodziewam się, że pogoń ruszy tropem miejsc, w których bywałem dotychczas. Może skupią się na Salt Lake City, może na stanie Waszyngton. W końcu nie ma jak w domu, no nie?

Dlatego wybieram stronę przeciwną. Byle szybciej i byle dalej.

Nieustannie zerkam w lusterka. Czuję dreszcz na widok jakiegokolwiek auta, które mogłoby być radiowozem. Co gorsza, silnik samochodu, który ukradłem, zaczyna szwankować. To wzbija się na

wysokie obroty, to znów żałośnie rzeźi. Niech to lichy. Szczęście zastępuje pech. Czy opatrność mogłaby mnie porzucić w takiej chwili?

Wszystko na to wskazuje. Gniewnie uderzam dłonią w kierownicę i klnę. Wrzeszczę przekleństwa na całe gardło. W tym czasie mój samochód zupełnie traci moc. Z silnika wydobywa się trzask, po czym unosi się kłęb dymu.

– Szlag! – wydieram się, zjeżdżając na pobocze.

Przez chwilę siedzę nieruchomo, wciąż ściskając kierownicę. Mam ochotę rozbić pięścią szybę. Mam ochotę roznieść ten wóz.

Muszę jednak działać racjonalnie. Nie mogę sobie pozwolić na błąd. Sytuacja nadal jest w moich rękach i tylko ode mnie zależy, jak z tego wybrnę.

„Uspokój się, Ted. Chcesz jeszcze zaznać miłości?”

Rozbawia mnie ta myśl, a jednocześnie nastawia na prawidłowe tory. Koncentruję się. Wsiadam z auta i macham w stronę przejeżdżającego pojazdu. Dokładnie w ten sposób ku mnie wymachiwało kilka kobiet. Znam to. Teraz już wiem, co myślały.

A może nie mam o tym żadnego pojęcia? Ich twarze przewijają mi się przed oczami. Nigdy o nich nie zapomniałem. Pamiętam ich ciała, a to wspomnienie podnieca mnie i dodaje sił. Myślę o nich nadal, gdy usadawiam się w kabinie starego forda. Facet z długimi siwymi włosami zgadza się mnie podwieźć do Vail. Potem będę musiał radzić sobie sam.

To zawsze na wschód. Dalej stąd.

– Jasne, jedziemy. – Kiwam głową, choć staram się, by nie zwrócił uwagi na moją twarz.

– A co z autem?

– Kogoś po nie wyślę. Mniejsza o nie. To pieprzony trup.

Facet wzrusza ramionami i dodaje gazu. Po chwili mkniemy międzystanówką. Dalej, na przekór pogoni.

Codziennie przeglądam gazety. Robię to, gdzie tylko mogę, byle nie zostać zauważonym. Mam sporą przewagę nad pościgiem.

Zgodnie z noworocznymi doniesieniami dopiero około południa kolejnego dnia władze więzienia zorientowały się, że prysnąłem. Dzięki temu od początku zyskałem ponad dwanaście godzin. Dwanaście godzin to szmat czasu.

Mimo to przez pierwsze dwie doby niemal nie spałem. Z Vail dojechałem autobusem do Denver, a stamtąd pierwszym możliwym lotem udałem się do Chicago. Kierunek wybrałem na chybił trafił. Zależało mi, by lecieć wszędzie, byle nie na zachód. W Wietrznym Mieście spędziłem tylko kilka godzin, lecz pęd ucieczki i pragnienie mylenia śladów wzięły górę. Nie ufałem temu, że jestem wystarczająco daleko.

Wsiadłem do pociągu i przejechałem kilkaset mil na wschód, do Ann Arbor. Stamtąd za pomocą transportu kombinowanego – czyli na przemian publicznego oraz korzystając z kradzionych aut – dostałem się do Atlanty. To ponad siedemset mil. Zacząłem zataczać koło, lecz robiłem to z większym rozmysłem niż przed pół rokiem w Aspen. To koło ma kilka tysięcy mil i można by w nie wpisać pół Europy. Jednak dla mnie to nadal zbyt mało.

Instynkt podpowiada mi, że muszę jeszcze kilkukrotnie zmylić tropy. Poza tym wiem, jakie stany nie są tak chętne do współpracy z federalnymi jak inne. Floryda jest jednym z nich.

Wyczerpany, głodny, ale jednocześnie diabelnie szczęśliwy zdaję sobie sprawę, że autobus wreszcie zwalnia. To już ostateczny przystanek i cel mojej podróży. Mój nowy dom.

Pojazd zatrzymuje się z chrzęstem kół, a z jego pokładu wysypuje się kilkudziesięciu podróżnych. Wsiadam jako ostatni. Nieśpiesznie, lecz ze spuszczoną głową. Twarz chowam pod daszkiem czapki, którą ukradłem w jakimś sklepie. Tak na wszelki wypadek.

Jestem w Tallahassee na Florydzie. Kończą mi się pieniądze, lecz wolność nie zna ceny. Na pierwszą noc postanawiam zatrzymać się

w hotelu, w którym nie jest wymagane zameldowanie. Udaje mi się nie odpowiedzieć na prawie żadne z urzędowych pytań. Podaję fałszywe nazwisko – od dziś nazywam się Chris Hagen. Zdaje się, że właśnie zacząłem całkowicie nowe życie.

Jest 8 stycznia. Czuję podekscytowanie. Z optymizmem spoglądam w przyszłość.

104.

– Nie mogę pana zatrudnić. W tym stanie wymagane jest coś więcej niż karta ubezpieczenia...

– Przecież to urzędowy dokument.

– Nie na Florydzie. Wróć pan chociaż z prawem jazdy.

Spoglądam na tęgiego brygadzystę, który momentalnie traci mną zainteresowanie. Gdzieś z placu budowy dobiegają krzyki. Dzieje się coś nieprzewidzianego, więc nasza rozmowa definitywnie dobiega końca.

To już kolejne miejsce, w którym nie zgodzono się mnie zatrudnić. Od trzech dni jestem bez swojej forsy, żyjąc z tego, co ukradnę. Nie ryzykuję. Zdobynam drobne sumy zostawione w autach lub portfelach. Wyzaczyłem sobie granicę – wolę głodować niż dać się przyłapać.

Mimo to najrozsądniejszym wydawało mi się zatrudnienie tam, gdzie, jak sądziłem, zatrudniają się wszystkie męty. Pamiętam place budowy sprzed dziesięciu czy piętnastu lat. Przestrzegano mnie, bym za dzieciaka trzymał się od nich z daleka. Pracowano tam na czarno, bez żadnych dokumentów oraz zezwoleń. Kwitł przemyt, a jednocześnie wynagrodzenia potrafiły zadowolić – przynajmniej kogoś o niezbyt wygórowanych potrzebach. Środowisko budowlańców miało swój etos niczym dawni kieszonkowcy. A może to tylko zasłyszane skądś bajki?

Od paru dni wynajmuję mały, cuchnący pokój niedaleko kampusu stanowego uniwersytetu Florydy. Studenci to drugi tłum, w który mam

nadzieję się wtopić. Jednak wszystko szlag trafi, jeżeli nie zdobędę forsy.

Rozdrażniony postanawiam wrócić do mieszkania. W najgorszym wypadku dziś nie zjem obiadu. Trudno, mój żołądek i tak jest zaciśnięty i przyzwyczajony do diety. Poradzę sobie.

Kilka kroków przede mną idą dwie studentki. Jedna ma rozkloszowaną, sięgającą kolan spódnicę, a druga czarne jeansy. Wbijam wzrok w ich tyłki. Rozbieram je oczami i mimowolnie zaczynam sobie wyobrażać ich ciała.

Gdzie mogłyby mieć pieprzyki albo znamiona? W trakcie dni spędzonych w drodze zabawiałem się taką zgadywanką. Wpatrywałem się w śpiące w pociągu lub autokarze kobiety i zastanawiałem się, jak dokładnie wyglądają ich ciała. Myślałem o bliznach i o siniakach. O ranach, skazach, o kształcie kości. Nie zwracacie pewnie na to nigdy uwagi.

Pomyślcie tylko, że nie jesteśmy tacy sami nie tylko przez powłokę tkanek miękkich, lecz przede wszystkim przez kości. Długość palców to jedno. Inną kwestią jest to, które palce mamy dłuższe od innych. Kobiety miewają wystające lub płaskie kości łonowe. U każdej z nich inaczej kończy się kręgosłup, przez co jest różny kształt tyłka. Kształt żeber określa wypukłość piersi, nie chodzi jedynie o obecność tkanki tłuszczowej. Mostek wpływa na talię oraz zarys brzucha. Istotna jest szerokość bioder oraz usytuowanie kości udowych w stawach. To znowu wpływa na pupę, ale także na sposób chodu oraz charakterystyczną odległość między mięśniami ud oraz łonem. Analizowałem to wielokrotnie... Mógłbym to analizować w nieskończoność.

Jednak dziś, teraz, na tym muszę poprzestać. Powiniennem wrócić do pokoju i zasnąć. Sen to lekarstwo na głód oraz na popęd.

Widzę jedynie dwa kobiece ciała przed sobą. Dziewczyny skręcają w stronę damskiego akademika, a ja odprowadzam je wzrokiem. Dość.

Zmuszam się, by już za nimi nie patrzeć. Jak pokutnik, ze zwieszoną głową i drżącymi dłońmi, kieruję się do swojego mieszkania. To moja

kara. Jednak nie wiem, jak długo uda mi się wytrzymać.

105.

15 STYCZNIA 1978 R.

Nie śpię.

Całe popołudnie oraz wieczór przed oczami przewijają mi się ciała tamtych studentek. Wyobrażam je sobie i analizuję. W nocy zapadłem w półdrzemkę, lecz w umyśle nadal przewijały mi się majaki. Jestem jak w malignie. Mam wytrysk, lecz nie rozładowuje to mojego napięcia. Chodzi o coś znacznie głębszego niż zwykły popęd seksualny.

Muszę je mieć. Muszę mieć kogokolwiek... Muszę dotknąć kobiecego ciała. Nie potrafię się powstrzymać.

Orzucam koc i pośpiesznie się ubieram. Nie zwracam uwagi na to, co zakładam. Jestem zbiegiem, posiadam ledwie kilka sztuk ubrań, ale to musi mi wystarczyć. Zresztą... Mój Boże, o czym ja myślę. Chrzącić te wszystkie ubrania.

Jak oszalały wypadam na dwór i pędzę w stronę kampusu. Pokonanie całego dystansu zajmuje mi niespełna kwadrans. Która może być godzina? Druga, być może trzecia. Ważne, że w okolicy nie ma zupełnie nikogo. Jest ciemna, głęboka noc. Temperatura spadła, lecz nie czuję zimna.

Dopadam do drzwi jednego z budynków. Szarpię je, lecz nawet nie drgną. Mają zamek na kod, a pobliskie okno jest zamknięte. Cholera... Mógłbym wybić szybę, jednak narobiłbym tym zbyt wiele hałasu. To niepotrzebne.

Muszę. Po prostu muszę rozładować emocje. Zaciskam zęby i pięści. Biegnać, potykam się o nierówności chodnika. Nie rejestruję tego, co dzieje się wokół. Wiem, że znajduję się na kampusie, ale nic więcej. Wszystko pozostałe jest całkowicie nieważne.

Staję przed kolejnymi drzwiami. Ciągnę za klamkę, ale tu również zamek jest zamknięty. Zamachuję się, chcąc w furii uderzyć w tafłę szkła.

Nie. To głupota. W ten sposób uniemożliwię sobie zrobienie tego, czego pragnę. Zrobię na złość samemu sobie. Wyrosłem z bycia aż tak głupim.

Chodnik rozwidła się i prowadzi dokoła budynku, a tam łączy się z kolejną ścieżką i głównym traktem prowadzącym przez tę część kampusu. W takim razie... Nie, nie będę nawet zapeszał.

Postanawiam coś sprawdzić. Podbiegam wzdłuż ściany i w ciągu kilku sekund znajduję się przed tylnym wejściem. Tu również zamontowano zamek na kod, lecz studentki muszą z niego korzystać, powracając poza godzinami dopuszczonymi przez regulamin. Drzwi są zablokowane kawałkiem drewna na opał. Podnoszę go i wchodzę do środka. Ostrożnie zamykam za sobą drzwi.

Nigdy nie czułem się w taki sposób. Jakby jakieś wewnętrzne pragnienie miało mnie rozerwać na strzępy. Czuję podniecenie, pragnienie, żądzę – wszystkie te emocje, choć podobne, różnią się od siebie. Teraz przenikają mnie na wskroś. Drzę. Dygoczę jak paralityk.

Ściskam mocniej kawał drewna i kieruję się w głąb korytarza. Ku pokojom dziewcząt.

106.

Niemal tracę przytomność. Wszystko rozgrywa się jakby poza moją świadomością. Jestem całkowicie instynktem oraz popędem. Drapieżnikiem, myśliwym, łowcą.

Kładę dłoń osłoniętą koszulą na obrotowej gałce i powoli ją przekręcam. Pokoje w takich miejscach nigdy nie są zamykane na klucz. Dziewczęta mieszkające w stowarzyszeniach nie mogą mieć

przed sobą tajemnic ani odgradzać się jedne od drugich. Muszą sobie ufać.

Wchodzę do pokoju i spoglądam na łóżko ustawione wezglowiem do ściany. Mój wzrok jest już na tyle przyzwyczajony do ciemności, że natychmiast dostrzegam sylwetkę leżącą na boku.

Nawet się nie skradam. Po prostu przechodzę przez pokój. Zbliżam się do łóżka i bez chwili wahania biorę zamach kawałkiem drewna. Uderzam nim w głowę śpiącej dziewczyny. Słyszę trzask kości oraz cichy jęk. Powtarzam cios. Tym razem trafiam ją samym skrajem, zdzierając płat skóry.

Thukę niemal na oślep.

Raz za razem. Dyszę ze zmęczenia, lecz nie przestaję. Mocniej, szybciej, celniej!

Ciepła krew obryzguje mi twarz i to powoduje, że nagle zamieram w bezruchu. Już. Dość. Nie ma potrzeby kolejnych uderzeń. W kieszeni odnajduję nylonową pończochę, którą nawet nie wiem, kiedy spakowałem. Po prostu wiem, że ją mam.

Kłękam na materacu i owijam pończochą twarz charkoczącej kobiety. Robię węzeł. Zaciskam go dłońmi tak mocno, że materiał rani skórę pomiędzy moim kciukiem a palcem wskazującym. Odrywam lewą rękę i wkładam ją w majtki dziewczyny. Wyczuwam wilgoć moczu. Nagle jej mięśnie drżą, a nogi uginają się bezwładnie.

Nie. Nie mam czasu, aby się zaspokoić właśnie teraz. Zbyt długo na to czekałem. To zapewne najtrudniej wam zrozumieć, lecz pomyślcie o porcji lodów, na którą czekaliście całą zimę. Przy pierwszych promieniach słońca smakujecie ją, odstawiacie i znowu do niej wracacie niczym do najrzadszego specjału. Ja mam tak samo. Kobiety to przysmak, który lubię kosztować.

Zostawiam martwe ciało na łóżku i wychodzę z pokoju. Sapię z wysiłku i zadowolenia. Bez problemu otwieram kolejne drzwi. Tym razem pokój ma nieco inny układ. Nie od razu dostrzegam łóżko. Muszę

przejsć wąski korytarzyk i nagle pojawiają się tuż obok śpiącej dziewczyny. Słyszę szmer jej oddechu.

Nie zwlekam. Nie potrafię się delektować wsłuchiowaniem w to, jak śpi. Może bym chciał, ale...

Uderzam ją. Pięściami i kolanem. Po twarzy i piersi. Przyduśzam ją do łóżka, po czym zaciskam dłonie na jej szyi. Brutalnie, mocno, raz za razem wzmacniam ucisk. Staram się rozgnieść jej krtań. Dziewczyna rzezi, lecz nadal żyje. Nachyliam się tuż nad nią tak, że obryzgują mnie kropelki jej śliny. To jeszcze mocniej mnie nakręca.

Gdy wreszcie ciało się rozluźnia, zwalniam uchwyt. Obracam dziewczynę na brzuch i zdzieram z niej spodnie od piżamy. Drugą dłonią wiodę po jej piersi. Chwytam sutek tak mocno, że go rozrywam. Nie mogę przerwać... Niech mnie złapia, proszę bardzo, ale tych wspomnień nikt mi nie odbierze. Mogą zrobić ze mną, co zechcą.

Wiodę językiem po plecach i pośladku martwej dziewczyny. Raz, a potem drugi wgrzyzam się w jej tyłek. Wyrrywam kawał mięsa. Wypływam go i przelykam posmak krwi.

Kątem oka dostrzegam jakąś buteleczkę stojącą na szafce nocnej tuż przy łóżku. Chwytam ją i wkładam dziewczynie w krocze. Nigdy, przenigdy nie czułem takiej euforii. Teraz mógłbym umrzeć.

Ale na to jeszcze nie czas. Zostawiam nieruchome, zbezczeszczone ciało i ruszam do kolejnego pokoju. Zabawa musi trwać.

107.

Dwie.

W tej sypialni dostrzegam dwie śpiące dziewczyny. Łóżka są rozstawione obok siebie, ale dzieli je kilkadziesiąt centymetrów, gdzie ustawiono szafkę.

Uważam, aby nie zostawić odcisków palców. To dzieje się automatycznie – w jakiś nadzwyczajny sposób potrafię nad tym

panować. Kieruję się prosto do łóżek. Tym razem zachowuję się nieco ciszej niż w poprzednich pokojach.

Dwie.

Nigdy nie robiłem tego z dwiema.

W dłoni ponownie ściskam kawał drewna. Nawet nie wiem, kiedy go odłożyłem i dlaczego z tą poprzednią studentką skończyłem pięściami. Działam w amoku.

Najpierw dopadam do tej od lewej. Pierwszy cios trafia w jej szczękę tak mocno, że słyszę puste pyknięcie. Drugi osiąga jej kości obojczykowej. Dziewczyna traci dech i jęczy. Jej towarzyszka porusza się na łóżku, zapewne jeszcze nie do końca rozbudzona. Momentalnie znajduję się tuż przy niej. Nie mogę pozwolić, aby krzyknęła. Wrzask ściągnąłby tu inne osoby. W akademiku jest pewnie co najmniej kilkadziesiąt osób.

Uderzam w głowę. Cichy, stłumiony trzask oznacza, że pękła jej czaszka. Kolejny raz spada na jej szczękę, ale od boku. Zdaje się, że wybijam jej całe mnóstwo zębów. Gdzieś w drugim kącie pomieszczenia rozlega się dźwięk czegoś toczącego się po podłodze. Mimo to dziewczyna próbuje się bronić. Bełkocze, unosi się i zasłania dłonią. Wtedy uderzam ją tak, że własnymi palcami niemal wydłubuje sobie oczy.

Chwytam za jej koszulę nocną i usiłuję ją zedrzeć. Szarpię ją, lecz ta się o coś zaplątała. Dotykam pośladka dziewczyny, wbijam w niego palce...

Wtem coś mnie oślepia. Mocne światło wżyna się w mój mózg i rozświetla cały pokój. Wokół mnie tańczą cienie. To latarka? Nie... Jakby na zewnątrz zapalono bardzo mocny reflektor.

Gwałtownie przytomnieję. Teraz jedynym, co nakazuje mi instynkt, jest ucieczka. Zrywam się z łóżka i zataczając się, wypadam na korytarz. Gnam prosto przed siebie²⁵.

Wybiegam z budynku. Wydaje mi się, że w korytarzu dostrzegam jakąś dziewczynę²⁶, ale nie zatrzymuję się. Nawet jeśli mnie zobaczyła... Co z tego? Lada moment może się zjawić tu policja.

Szybkim krokiem idę przed siebie. Nie odwracam się, nie podbiegam, ale też nie zwalniam kroku. Napięcie wciąż ze mnie nie uleciało. Przed oczami przesuwają się ostatnie wydarzenia.

Cztery młode, ładne dziewczyny. Ich skóra, zapach ciał oraz pomieszczeń, w których spały. Ciepło ich krwi. Nigdy wcześniej nie zwracałem na to uwagi, ale właśnie w krwi jest coś podniecającego. Coś, dzięki czemu nawiązuje się jakiś ponadzmysłowy, najintymniejszy kontakt.

Nie. To jeszcze nie może być koniec. Jeżeli teraz wrócę do swojej klitki, być może już nigdy nie zaznam szczęścia. Nie wiem, co wydarzy się za godzinę lub dzień. Nie wyobrażam sobie, bym przez kolejne pół roku albo całe lata nie mógł dotknąć kobiety. Nie mógł rozładować napięcia ani zaspokoić instynktu.

Czy można wyspać się na zapas? Podobno nie. Tak samo jak nie można na zapas się najeść. Ale to nieważne.

Mijam kolejne budynki kampusu i niczym opętany rozglądam się wokół. Nie mam planu ani celu, ale wiem, że ta noc jeszcze się nie skończyła. W dłoni ściskam gruby kij podniesiony gdzieś spod drzewa. A może to ta sama szczapa drewna, którą zablokowano drzwi tamtego domu studenckiego? Już sam nie wiem...

Dostrzegam, że jedno z mieszkań na parterze ma otwarte okno. Namysł trwa jedynie ułamek sekundy. Zakładam na głowę rajstopę, której używałem jako pętli. Ma ona przygotowane wycięcia na oczy oraz nos. Nie chcę być rozpoznany. Sprawa Carole D. dała mi do myślenia. Momentalnie dopadam do okna i otwieram je na oścież. Opatrzność. To znowu ona.

Wchodzę do sypialni, po czym na oślep uderzam sylwetkę w łóżku. Zadaję dwa lub trzy ciosy w okolice głowy dziewczyny. Nie mam pojęcia, czy jest ładna, czy brzydka, jakie ma włosy ani kształt twarzy. Chodzi mi tylko o spełnienie. O ostateczne doznania, których nie doświadczyłem przez tamten błysk reflektora. Przerwano mi, a ja tego nie cierpię. Nie znoszę niedokończonych spraw.

Kobieta pode mną dyszy i cicho odpluwa. Pewnie ma usta pełne krwi. Z pewnością już mnie nie rozpozna... Zrzucam maskę, by lepiej ją widzieć. W półmroku dostrzegam jedynie zarys ciała, lecz zrywam z niej koldrę. Chwytam pierś kobiety. Z całej siły zaciskam palce na sutku. Drugą rękę prowadzę w dół ku jej łonu. Przerywam tylko na chwilę, by rozpiąć spodnie.

Studentka się nie rusza. Leży całkowicie bezwładnie, choć słyszę, że oddycha, rżęząc. Z jej gardła dobywa się odgłos, jakby bezsilnie starała się coś odkrztusić.

Gładzę jej piersi. Dociskam jej rękę kolanem i nachylam się tuż nad ciałem. Jego każdy zakątek jest do mojej dyspozycji. Mogę zająć się nią tak, jak marzę. Nie ma oporów ani granic.

W momencie, kiedy uwalnia się ze mnie cała rozkosz, z korytarza dobiegają mnie kroki. Trzaskają jakieś drzwi, a potem rozlega się krzyk.

Zrywam się z łóżka i rzucam w stronę okna. Tak, teraz jestem spełniony. Niech się dzieje, co się ma dzieć. Nie obchodzi mnie to²⁷.

109.

Gazety rozpisują się o morderczej masakrze na kampusie. Roztrząsają szczegóły, analizują.

Dziennikarze i wypytywani przez nich psychologowie nie rozumieją kompletnie niczego. Wydaje im się, że za tymi wydarzeniami stoi szaleństwo, degeneracja, jakieś zło w najczystszej postaci, jakby wprost przeniesione z kart Apokalipsy.

– Proszę pana!

Sklepikarz wybiega za mną na ulicę.

– Nie zapłacił pan za tę gazetę...

Przystaję i spoglądam na niego nieprzytomnie. Uśmiecham się, po czym potrząsam głową.

– Ach, tak. Przepraszam. Kompletnie się zamyśliłem... – Sięgam do kieszeni, lecz nie mam w niej żadnych pieniędzy. Od kilku dni żyję tylko z tego, co ukradnę. – Chociaż w sumie wcale jej teraz nie potrzebuję. Przyjdę po nią po południu, dobrze?

– Nakład może się wyczerpać.

Oddaję gazetę sklepikarzowi, a ten przygląda mi się uważnie. To nic. Pewnie ma mnie za zwykłego złodziejzka, bo żadna z kobiet na razie nie pomogła w opracowaniu portretu pamięciowego. Dwie są martwe, trzy pozostałe nieprzytomne lub tak poturbowane, że gliniarze nie mogą się od nich niczego dowiedzieć.

Snuję się po okolicy, zawieszając wzrok na niektórych studentkach. To zwalniam, to przyspieszam kroku, jednocześnie roztrzaskując fragmenty przeczytanego artykułu.

„Bestia z kampusu”? To jakieś kompletne bzdury. Czy naprawdę ludzi tak bardzo interesuje śmierć dwóch studentek? Jakby świat nie mógł przejść do porządku dziennego, że ktoś musiał umrzeć, żeby ktoś inny mógł się zaspokoić. Czy kogokolwiek martwi los prostytutek z zaułków Nowego Jorku? Czy obchodzi was, co stanie się z jakąś obcą kobietą, która wchodzi w nocy do lasu? Przyszłość pogrążonych w depresji, opętanych myślami samobójczymi lub pijących na umór? Czy ktokolwiek przejmuje się ofiarami wypadków? Nie. Więc dlaczego takie zainteresowanie wzbudzają dwie studentki, które zostały zathuczone na śmierć? Czy ich los jest inny od losu kogoś, kto ginie po upadku w górską przepaść? Mogło trafić na nie, ale mogło też trafić na kogoś innego. Na tym polega życie.

Moja przyszłość też jest nieznaną. Mogłbym wymyślić kilkanaście scenariuszy, z których żaden się nie spełni. To loteria z jeszcze większą

liczbą kombinacji niż zakłady kuponowe. Każda sekunda jest niewiadomą i odkryciem.

Wiem jedynie, że znów, ledwie po kilku dniach, odżywa we mnie popęd. Wstrzymuję go. Czasem rozsądek potrafi zapanować nad instynktem, ale nie wiem, jak długo to potrwa. Muszę wrócić do swojej nory, by się w niej zaszyć.

110.

8 LUTEGO 1978 R.

- Cześć, nazywam się Richard Burton. Pracuję w straży pożarnej, potrzebuję twojej pomocy...

Spoglądam w oczy drobnej nastolatki z dołkami w policzkach. Jest młoda, być może nie ma nawet piętnastu lat. Przygląda mi się z zaciekawieniem, ale zarazem z niepewnością. Zapewne jej własna twarz odbija się w ciemnych szklach moich okularów. Gwizdnąłem je z salonu optycznego.

Przez ostatnie cztery godziny jechałem na wschód. Sądzę, że ludzie w Jacksonville nie będą tak podejrzliwi jak w Tallahassee. Prawie dwieście mil pewnie robi różnicę. Być może dzienniki w okolicy ledwie odnotowały sprawę z kampusu. Floryda to mimo wszystko Floryda. Nie wiem, czy nie powinienem wyjechać z tego stanu, ale...

- W czym miałabym panu pomóc?

- Chodzi o moją torbę. Niosę ją do samochodu, ale bardzo boli mnie ręka.

Potrząsam sportową torbę i krzywię się z udawanego bólu. Kiwam głową w głąb parkingu. Tam jest zaparkowany pick-up, który zabrałem spod Uniwersytetu Stanu Floryda.

- Mam tam książki, jadę na wykład... - precyzuję. - Muszę się pośpieszyć.

- Hej!

Dziewczynka krzyczy i spogląda gdzieś między samochodami. Natychmiast się wyprostowuję i napinam mięśnie. Mógłbym ją uciszyć. Mógłbym zatkać jej usta, a potem zawlec do auta. Nikt nie zdążyłby mnie powstrzymać.

Jednak wolę nie ryzykować. Powstrzymuję się i odwracam do wysokiego nastolatka. Jest starszy od dziewczynki o trzy, może cztery lata. Przypatruje mi się uważnie.

- Ten pan prosi o pomoc z torbą - wyjaśnia mała. - Boli go ręka czy coś...

- Serio? Gdzie to panu zanieść?

Nastolatek bierze ode mnie torbę i rozgląda się, nie wiedząc, w którą stronę iść. Skinieniem głowy pokazuję w lewo.

- Tam. Dzięki, myślałem, że nie dam już rady.

Jestem wściekły, ale się opanowuję. Na parkingu w pobliżu nas pojawia się kilka osób, które zdają się mi przyglądać. Jestem gotowy się bronić. Z opuszczoną głową podążam obok nastolatka w stronę pick-upa.

- Dzięki - mamrocze, otworzywszy drzwi. - Połóż ją na siedzeniu.

Przez głowę przechodzi mi myśl, że mógłbym teraz dorwać tego gnojka. Wepchnąć go do środka, a potem skrócić mu kark. Tylko po co? Przecież to nie dałoby mi żadnej przyjemności. Wyładowałbym chwilowy gniew, ale bez jakiegokolwiek zaspokojenia. Właśnie tym różnię się od bestii opisywanej w gazetach. Nie mam potrzeby mordowania. Chodzi mi o coś zupełnie innego.

- Trzymaj się.

Macham do chłopaka i zamykam drzwi. Ktoś stojący na parkingu pokazuje w moją stronę dłonią, lecz reszta nie reaguje. Pośpiesznie odjeżdżam. Nie zamierzam jednak wracać do Tallahassee. Mam coś do zrobienia i nie zamierzam się powstrzymywać²⁸.

111.

9 LUTEGO 1978 R.

Przespałem się w pick-upie na bocznym parkingu w Lake City. Nie, to miasto poza nazwą nie ma nic wspólnego z moim ukochanym Salt Lake. Ale może mieć...

Na tę myśl sarkastycznie parskam. Przeczesałem palcami włosy i mierzwę zarost. Czasem bardzo niewiele wystarczy, by wyglądać całkowicie inaczej. Duży samochód zamiast małego garbusa, potargane włosy, rozpięta kurtka zamiast zapiętej marynarki.

Ludzie szufladkują innych według cech charakterystycznych. Beatlesi, Doorsi, wszystkie zespoły bazują na charakterystycznych wokalistach. Okrągłe okulary, długie włosy z buntowniczym spojrzeniem, skórzane kurtki, stojące kołnierze Elvisa Presleya. W ten sam sposób rozpoznajemy bliskich. Zwracamy uwagę na ich znamiona lub charakterystyczne rysy. Im dłużej kogoś znamy, tym więcej szczegółów staje się dla nas rozpoznawalnych. Sposób chodzenia, poruszania głową, gestykulacji. To zdaje się oczywiste, ale po raz pierwszy uświadomiono mi to podczas jednego ze spotkań pracowników DES. Potrafię wykorzystać tę wiedzę.

Jestem głodny i czuję się nieświeżo. Mógłbym wstąpić do łazienki na stacji benzynowej dla tirów, lecz uznaję to za zbędną stratę czasu. Nie teraz. Umyję się, gdy będzie po wszystkim. Już podjąłem decyzję, że wrócę do Tallahassee dopiero wtedy, gdy uda mi się zaspokoić. Znowu zaszyję się w swoim pokoju, aby przeczekać.

Zostawiam pick-upa na parkingu nieopodal szkoły. Amerykańska flaga powiewa obok sztandaru stanowego. Skądś pamiętam to połączenie... Jest popularne, właściwie można je tu spotkać niemal wszędzie, ale pewne obrazy zapadają w pamięć w sposób szczególny. Tyle że wtedy chodziło o inny stan. I o inny budynek. O areszt... Nie. O siedzibę policji.

Przebiega mnie dreszcz. Być może w innej sytuacji otrzeźwilby mnie, lecz nie dzisiaj. Teraz już nie mogę się wycofać. Poza tym życie nie ma mi do zaoferowania niczego lepszego. Co mógłbym sobie wymyślić? Czego mógłbym dla siebie zapragnąć?

Diane... To ona uczyniła mnie tym, kim jestem. Ona, moja matka i siostra, a potem Elizabeth i te wszystkie inne kobiety. Mógłbym pragnąć osiągnąć więcej, startować w wyborach na gubernatora lub do Izby Reprezentantów, ale nie czułbym się tam spełniony. Wiem to. Miałbym trochę więcej forsy, lecz moje życie byłoby puste. Nie wykorzystalbym go. Być może nigdy nie poczułbym się tak jak tamtej nocy w kampusie albo wtedy nad jeziorem... Jak czułem się dziesiątki albo setki razy. Nigdy wam nie powiem, ile ich naprawdę było.

Spoglądam na ciemnowłosą dziewczynkę, która szybkim krokiem kieruje się do szkoły. Przechodzi tuż obok mnie. Jest całkowicie pogrążona w myślach i wyraźnie się śpieszy.

– Przepraszam – zagaduję do niej. – Przepraszam, czy mogłabyś mi pomóc... To zajmie tylko sekundę.

Uśmiecham się błagalnie i przywdziewam maskę nieporadności. Dziewczynka się zatrzymuje. Odwraca się, a na jej twarzyczce pojawia się wahanie.

– Chodź, proszę, pani dyrektor mówiła, że jesteś bardzo dobrą uczennicą... Takie nigdy nie odmawiają pomocy, prawda?²⁹

112.

12 LUTEGO 1978 R.

Moja kolejna próba podjęcia pracy znowu spełza na niczym. Następny nadgorliwy brygadier domagał się dokumentów, bez których – jak twierdził – w ogóle nie powinienem się tu pojawiać. Może Floryda to zły

stan? Zły wybór? Może ustami budowlańca przemawia los, który chce mnie ostrzec?

Nie mogłem jednak pojechać w miejsce bardziej różniące się od terenu, na którym działałem poprzednio. Wiem, że śledczy opracowują tak zwany profil przestępcy i jednym z jego najważniejszych elementów jest zasięg moich zbrodni. Poza tym zdaje się, że Floryda parszywie współpracuje z agencjami federalnymi.

Mimo to podjąłem decyzję. Może lepsza będzie Alabama lub Teksas? Nie sądzę, by tam kogokolwiek interesowały dokumenty. Szczególnie po ostatnich wydarzeniach z przemysłem imigrantów i zawirowaniami naftowymi władze mają co innego na głowie.

A jeśli nie?

Muszę się przekonać. Nie mam wyboru, a stagnacja jest najgorszym, co można zrobić. Człowiek jest stworzony do ciągłego działania. Filozofia? Głupie wymysły?

Nie wiem. Poprawiam się w siedzeniu skradzionego auta i spoglądam na znaki drogowe. Kieruję się na zachód, by potem wzdłuż wybrzeża skręcić na północ. To dobra trasa, po której jeszcze nigdy nie jechałem. Nie sądzę, by ktokolwiek mnie tamtędy tropił.

Do wyjazdu przygotowałem się, kradnąc kilka portfeli oraz kartę kredytową. Mimo to przez najbliższe noce planuję spać w samochodzie. Zobaczmy, co przyniesie przyszłość.

Rozluźniam się i podgłaśniam radio. Zaczynam nucić w rytmie przeboju Yes Sir, I Can Boogie. Co za zabawny tekst.

113.

15 LUTEGO 1978 R.

Wnętrze auta rozświetlają błyski policyjnego koguta. Czuję ucisk na gardle, ale posłusznie zwalniam. Jest pierwsza w nocy, lada moment

powiniennem dotrzeć do granicy z Alabamą.

Co ten gliniarz chce? Jechałem przepisowo, może nawet nieco zbyt wolno. Na pewno nie poruszałem się zygzakiem, jak wtedy, gdy namierzyli mnie po ucieczce w Aspen. Jestem w miarę wypoczęty, w ciągu dnia chwilę się przespałem. Specjalnie wybrałem jazdę nocą, aby nikt nie zwracał na mnie uwagi.

– Proszę opuścić samochód.

Głos gliniarza jest zdecydowany, ale na jego twarzy nie dostrzegam ani strachu, ani przesadnej pompatyczności. Co prawda odbezpieczył rewolwer, lecz zrobił to jakby odruchowo. Nie mierzy do mnie ani nie każe trzymać rąk nad głową. Kiedy wykonuję jego polecenie, zerka w jakieś notatki, po czym okrąża volkswagena. Robi to powoli, bez nerwów. Nie wzywa też wsparcia.

Nie wie, kim jestem. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Wypuszczam powietrze i przestępuję z nogi na nogę.

– O co chodzi? – pytam łagodnie. – Złamałem jakieś przepisy?

Policjant ponownie staje przy mnie i potrząsa notesem.

– Skąd ma pan to auto? – odpowiada pytaniem na pytanie.

– Wypożyczyłem.

– Naprawdę?

– Tak... – Waham się, ale najwyraźniej wybrałem złą odpowiedź. – Nie mam papierów, bo to umowa na gębę, ale...

Policjant mi przerywa.

– To kradziony wóz. Muszę pana aresztować do czasu wyjaśnienia jego statusu. – Łypie na mnie wymownie, po czym dodaje: – I pańskiego, rzecz jasna.

Kurwa.

Działam instynktownie. Bez zastanowienia kopię gliniarza w kolano tak, że ten traci równowagę. Natychmiast rzucam się do ucieczki. Pędzę ku nieużytkom, ale w momencie, gdy zbliżam się do linii krzewów, pada

strzał. Potykam się i jak długi wywracam się na ziemię. Zdzieram sobie dłonie o drobne kamyki, lecz natychmiast staram się podnieść.

Policjant jest zaskakująco szybki. Pojawia się tuż przy mnie i celując z broni, wyciąga kajdanki. Nie zamierzam się poddać. Rzucam się ku niemu, lecz tym razem on nie strzela. Kopie mnie w klatkę piersiową. Najwyraźniej boi się mnie zabić. Podświadomie wyczuwam nad nim tę przewagę. Ja nie miałbym żadnych oporów, aby wystrzelić mu w łeb. Sprawiłoby mi to czystą radość.

Usiłuję wyrwać mu broń, lecz jest zbyt silny. Powala mnie na ziemię, po czym staje na mojej ręce. Kopie mnie tak celnie, że tracę dech. Podkulam nogi, a wtedy kopie ponownie.

– Koniec! – krzyczy, mierząc mi w pierś. Dyszy i zdaje mi się, że muszka broni pulsuje w rytmie bicia jego serca. – Wyciągnij dłonie. Jesteś aresztowany.

Nie mam wyjścia. W ustach czuję pył oraz posmak krwi. Tak, to koniec. Pozwalam się zakuć oraz podnieść. Nasze spojrzenia spotykają się, gdy prowadzi mnie do radiowozu.

– Szkoda, że mnie nie zabiłeś – cedzę³⁰.

Miesiąc później

114.

MARZEC 1978 R.

– Dokąd mnie wieziecie?

– Zobaczysz. Coś taki ciekawski?

Wzruszam ramionami. Właściwie jest mi to całkowicie obojętne. Wycieczka to zawsze jakaś rozrywka, a poza tym możliwość zerwania się na wolność. Tym razem pilnuje mnie czterech funkcjonariuszy,

z czego dwóch jest uzbrojonych w broń długą. Nie spuszczają ze mnie oka.

Po kilkunastu minutach jazdy więzienna furgonetka zatrzymuje się i ktoś z zewnątrz otwiera jej drzwi. Zostaję wyprowadzony na niewielką uliczkę. Tak szybko, jak tylko mogę, popędzany przez strażników, przechodzę do dwuskrzydłowych drzwi. Nie udaje mi się odczytać zawieszzonego przy nich szyldu.

– Po co ten pośpiech? – rzucam z ciemnego korytarza cuchnącego środkami czyszczącymi. – Gdzie jesteście?

Mam skrupowane ręce oraz nogi. Czego oni ode mnie chcą? Od paru tygodni zbierają dowody, starają się mnie podpytywać, a w mojej celi umieścili szpicla. Mój adwokat ostatnio wydawał się dziwnie pobudzony, ale wszelkie pytania o naszą sytuację zbywał półśłówkami. Coś rozgrywa się poza moją świadomością.

Co? Czego nie chcą, abym się dowiedział?

Spoglądam na wielkie zdjęcia zawieszane na ścianie i wybucham śmiechem. Przedstawiają uśmiechniętych, szczerzących się ludzi.

– Prowadzicie mnie do fotografa? – parskam. – Chcecie mieć ze mną rodzinną fotografię? To dobry pomysł!

Nie jestem zdenerwowany. Może lekko zmieszany, ale się nie boję. Będzie, co ma być. Żałuję, że dałem się im złapać. To nie ich zasługa, lecz mój cholerny błąd. Mówi się „trudno”.

Korytarz jest krótki i słabo oświetlony. Na końcu znajduje się okno, ale jakby przewidziano moje myśli, stoi przy nim strażnik. Pozbawiono mnie wszelkich przywilejów. Choć udało mi się zdobyć od jednego z więźniów agrafkę, z celi zostałem wyprowadzony tak szybko, że pozostała schowana w pryczy.

– Tu, w prawo.

Ktoś mnie popycha i wchodzę do niewielkiego pomieszczenia. Pośrodku znajduje się fotel, przy którym stoją trzy osoby w lekarskich kitlach. To wygląda jak zakład stomatologiczny.

– Siadaj, Bundy – rzuca prowadzący mnie oficer. – Nic nie kombinuj.

– Nigdy nie miałem takiego planu.

Posłusznie siadam w fotelu i marszczę czoło. O co chodzi? To jakieś badanie? Lekarz nachyla się nade mną i świeci mi w twarz lampką zamocowaną nad czołem.

– Otwórz usta.

– To obowiązkowy przegląd? – drwię. – Boli mnie lewa górna szóstka.

– Otwórz usta.

Okej. Niech nie myślą, że się boję. Widzę, że lekarz sięga po jakieś metalowe przybory.

– Ugryziesz mnie? – pyta niepewnie.

A więc to nie tortury. Żaden kat nie boi się skazańca.

– Nie jestem groźny – odpowiadam z uśmiechem.

Wszyscy obecni wtórują mi nerwowym chichotem.

115.

Mike Minerva, mój obrońca z urzędu, siada naprzeciw mnie. Znajdujemy się w pokoju przesłuchań w więzieniu Miami. Mamy urzędowe dwa kwadranse na rozmowę oraz ustalenie strategii obrony. Kilka ostatnich dni spędziłem, niemal nie wychodząc z celi, zakopany w kodeksach, glosach stanowych sądów oraz wyciągach z wyroków precedensowych. Lubię to. Czuję się całkiem dobrze, przemykając między paragrafami. Do głowy przyszło mi nawet kilka pomysłów, lecz nie ufam temu knypkowi na tyle, żeby się z nim nimi podzielić.

Przez kilkanaście sekund panuje cisza. Siedzę z kolanami złączonymi jak francuska guwernantka i spokojnym wyrazem twarzy. Adwokat drżącą dłonią wyciąga z teczki jakieś papiery, po czym wreszcie się prostuje.

– Powinieneś zrozumieć swoją sytuację – mówi, zmuszając się do patrzenia mi w oczy. Jednocześnie nerwowo porusza palcami. –

Prokuratura chce zająć się tymi studentkami z kampusu oraz tą dziewczynką.

„Ta dziewczynka” to dwunastolatka, którą spotkałem pod budynkiem szkoły i poprosiłem o pomoc. Doszły mnie słuchy, że niby ktoś mnie wtedy widział, a ktoś inny zauważył wóz, który ukradłem. Bzdury.

– Na razie zapomnij o całej reszcie – ciągnie adwokat. – Skupmy się na tej trójce.

– O jakiej reszcie? – fukam. – Nie wiem nic o żadnej reszcie.

– Ted...

– Nie traćmy czasu. Przejdźmy do konkretów.

Prawnik wzdycha i opiera się łokciami o przytwierdzony do podłoża stolik. Spogląda na wyciągnięte przed chwilą kartki, po czym przenosi wzrok na mnie. Stara się patrzeć na moją twarz, lecz robi to tak, jakby jednocześnie spoglądał gdzieś w dal, na ścianę. Tchórz.

– Prokuratura proponuje ugodę – odzywa się cicho, najwyraźniej obawiając się mojej reakcji. – Siedemdziesiąt pięć lat więzienia w zamian za przyznanie się do tych trzech zabójstw. Rozumiesz? – mówi coraz szybciej, jakby nie chciał, żebym mu przerwał. – Siedemdziesiąt pięć lat, może jakimś cudem to skrócimy, więc uważam, że to rewelacyjna propozycja. To tylko więzienie...

Tylko więzienie. Wiem, co ten sztywniak ma na myśli. Jeśli się przyznam, uniknę kary śmierci. Tyle że ja od początku wszem wobec powtarzam, że jestem niewinny. A jeśli prokuratura chce ugody, znaczy to, że nie ma mocnych dowodów. Wygram z nimi.

– Nie. – Potrząsam głową. Sięgam ku papierom i odsuwam je w stronę adwokata. – Nie zrobię tego.

– Ale...

– Powiedziałem. To moja ostateczna decyzja.

– Skoro tak. Mimo to uważam, że powinieneś ją przemyśleć. Szczególnie że...

– Wyjdź – cedzę, lecz zaraz mój ton zamienia się w krzyk. – Daj mi do cholery spokój! Nie będzie żadnej ugody, rozumiesz? Jestem niewinny! Jako mój adwokat powinieneś sobie to wbić do łba. Niewinny!

116.

Trwa faza przygotowawcza procesu. To rozprawa wstępna mająca na celu ustalenie stanowisk wszystkich stron. Zarówno moje, jak i prokuratury są całkowicie jasne. Do tego przesłuchana zostaje Carole. Przyjechała za mną na Florydę, nadal nie wierząc, że oskarżenie jest słuszne. Uważa je za kompletną bzdurę. Postanowiłem skorzystać z jej przekonania oraz umiejętności klarownej wypowiedzi. Poza tym ma ładną buzię.

Po kilkunastu minutach przesłuchanie zmierza do końca. Prokurator zadał Carole kilka pytań, lecz te padły jakby od niechcenia. Kobieta stara się łapczywie nawiązywać ze mną kontakt wzrokowy. Całą sobą pokazuje, że mnie kocha i potwierdza wszystko, co napisała w listach, które od niej dostaję. W ostatniej rozmowie telefonicznej zapewniała mnie o swojej miłości.

Od jakiegoś czasu zastanawiałem się nad pewnym krokiem. Pomysł przyszedł mi do głowy, gdy ślęczałem nad zbiorami prawa oraz kodeksami. Jest uzasadniony pod wieloma względami. Przede wszystkim, jeśli mi się powiedzie, sprawi, że wypadnę lepiej przed ławą przysięgłych oraz w oczach społeczeństwa. Moje notowania wymagają pilnej poprawy.

– Wysoki sądzie – odzywam się z kurtuazją, a nawet potulnością. – Chciałbym skorzystać z pewnego prawa stanu Floryda ustanowionego przed ponad sześćdziesięcioma laty.

– Co to za prawo?

Sięgam do notatek i szybko odnajduję właściwe zapiski. Podaję sygnaturę wyroku oraz dziennika, w którym go znalazłem.

– Proszę wybaczyć, ale sąd nie ma w głowie wszystkich przepisów oraz precedensów. – Sędzia uśmiecha się znacząco. – Gdyby był pan uprzejmy mu przypomnieć...

– Oczywiście, wcale tego nie oczekiwałem.

To mój moment drobnego tryumfu. Jestem teraz ponad sędzią, adwokatami oraz prokuraturą. I to na ich własnym gruncie. Wszyscy wpatrują się we mnie z zaintrygowaniem.

– To prawo mówi, że w przypadku głośnego wyrażenia woli zawarcia małżeństwa przed sędzią stanu Floryda przez dwie strony małżeństwo to dochodzi do skutku.

– Czy chce pan powiedzieć, że...

– Tak. – Odwracam się do Carole i nie podchodząc do niej, klękam obok swojego pulpitu. Spoglądam prosto w jej oczy. Widzę, jak zaczyna rozumieć, co się dzieje, i jak pąsy występują na jej policzki. Wygląda, jakby miała zaraz zemdleć. – Carole Ann, proszę cię o rękę. Czy wyjdiesz za mnie?

Carole stara się coś powiedzieć, lecz głos się jej łamie. Cicho mamrocze. Chce podejść w moją stronę, lecz strażnik daje jej do zrozumienia, że to niemożliwe. Wreszcie pociąga nosem i energicznie kiwa głową. Po jej policzkach cieką łzy.

– Tak, tak, tak... – powtarza trzykrotnie. – Chcę! Będę twoją żoną.

– A więc małżeństwo zostało zawarte? – zwracam się do sędziego. – Wszystko odbyło się zgodnie z prawem...

Po krótkiej przerwie, w czasie której sędzia weryfikuje brzmienie dawnego prawa, nasz związek zostaje oficjalnie potwierdzony. Jesteśmy mężem i żoną. Panem oraz panią Bundy.

24 LIPCA 1979 R.

Souviron. Richard Souviron.

Zapamiętam to imię i nazwisko na długo. Odontolog, stomatolog, lekarz, człowiek, który z uporem maniaka chce dowieść, że odcisk zębów na pośladku jednej z zamordowanych studentek to odcisk moich zębów. To właśnie w tym celu zabrano mnie wtedy do tamtego gabinetu. Wszystko uzyskano podstępem oraz wymuszeniem, co jest sprzeczne z prawem.

Moją blisko półgodzinną tyradę popartą dziesiątkami paragrafów, fragmentów ustaw oraz orzeczeń sąd zbywa kpiącym uśmiechem. Od początku wszyscy traktują mnie jak skazanego. Udaje mi się wyszukać przepisy, które podważają wartość dowodową ludzi osobiście zaangażowanych w sprawę. Szczególnie jeśli odniosły uszczerbek na zdrowiu.

Mimo to zeznaniom członkiń kobiecego studenckiego stowarzyszenia przysięgli przysłuchują się jak urzeczeni. A te dwie siksy, które cudem przeżyły, nie mają wątpliwości. Są pewne, że ja to ja. Pamiętają mnie z nocy, którą spędziły ze zmasakrowanymi twarzami i zalanymi krwią oczami. Zwracam na to uwagę sądu. To kompletny absurd.

Jest jeszcze ta trzecia, która rzekomo widziała mnie, jak wychodzę z budynku. Nita Neary... Do tego miałem mieć w rękę kawał drewna, którym zaatakowałem tamte studentki.

Głupota. Dlaczego napastnik miałby go nie wyrzucić? Wzdycham i co rusz przewracam oczami. Staram się obracać wszystko w żart. Śmieję się, jednocześnie usiłując nawiązać kontakt wzrokowy ze składającymi zeznania. Nic z tego.

– To moja szczeka?! – parskam, spoglądając na gipsowy odlew. – Ależ mam krzywe zęby. Proszę mi wybaczyć, ale nie wydaje mi się, żeby aż

tak.

Nikt nie podłapuje mojego dobrego humoru. Sędzia ucisza mnie, ani razu się nie uśmiechając. To zły znak. Jest rzeczowy, metodyczny i śmiertelnie poważny.

Sprawę relacjonuje kilkuset dziennikarzy z całego świata. Zgodnie z obyczajem nie wpuszczono ich na salę, lecz tłoczą się wokół budynku sądu. Rysownik sporządza mój portret. To będzie ładna pamiątka, więc mam nadzieję, że właściwie uchwyci mój profil. Kilkukrotnie się do niego odwracam i puszczam mu oko. Udaje, że tego nie widzi.

Zza okien dobiega mnie jazgot tłumu. Setki osób domagają się kary śmierci. Wrzeszczą i skandują idiotyczne hasła. Cholerni hipisi. Nie mogą tego wytrzymać.

– Usuńcie tych ludzi sprzed budynku! – krzyczę bez pozwolenia. Podnoszę się i wskazuję ku oknu. – To godzi w powagę sądu!

– Proszę się uspokoić, panie Bundy – odpowiada sędzia.

– Ja jestem spokojny, do cholery!

– Może w sądowej celi będzie miał pan lepiej wygłuszone ściany. Wyrok zostanie wydany, gdy ława przysięgłych zakończy obrady. Posiedzenie uważam za zakończone.

Uderzenie młotkiem niesie się echem wybrzmiewającym wprost w mojej czaszce.

118.

SIEDEM GODZIN PÓŹNIEJ

Poprawiam krawat i zapinam marynarkę. Przez chwilę zastanawiam się, czy jednak nie powinienem jej rozpiąć. Może wyglądałbym na bardziej pewnego siebie? Na łagodniejszego i delikatniejszego? Czy ktoś niewinny w ogóle pamięta o tym, by zapiąć guziki? Pamięta. A winny? Też.

Mój obrońca nerwowo wystukuje palcem rytm o skraj ławy. Stojący nieopodal strażnik odchrząkuje. Przysięgli wpatrują się w wyczekiwaniu na sędziego.

Omiotam tę scenę jednym spojrzeniem. Trwa to sekundę lub dwie. Uświadamiam sobie, że nikt nie patrzy w moją stronę. Wszyscy jakby się bali. A może czują po prostu wstętność?

Niech się pieprzą.

Unoszę podbródek i jeszcze raz się rozglądam. Tym razem wolniej, z lekkim uśmiechem. Mimo pozorów serce bije mi w przyspieszonym tempie. Nie jest to stan, który ludzie określają staniem serca w gardle, lecz nie czuję się komfortowo. Doprowadzono mnie do stanu, w którym jestem rozczarowany. Zły. Nie wiem tylko na kogo.

Popelniono wiele błędów i uczepiono się mnie, jakby ten cholerny świat nie miał nic ważniejszego na głowie. Co były warte te dziewczyny? Co wniosłyby do życia ludzi zgromadzonych na tej sali? Nic. Kompletnie nic. Wobec tego, jeśli choćby jedna osoba mogła skorzystać na ich śmierci, czemuż miałyby tego nie zrobić?

„Niech się pieprzą” – powtarzam w myślach.

W tym momencie na salę wchodzi sędzia. Ma poważny wyraz twarzy, ale trudno mi wyczytać jego prawdziwe emocje. Nie śpieszy się. Raczej celebrowa kolejne kroki oraz gesty. Wie, że teraz to na nim skupiona jest uwaga wszystkich zebranych. Cholerny gwiazdor.

Wreszcie wbija we mnie spojrzenie. Odpowiadam mu tym samym, lecz on nie odwraca wzroku. Wpatruje się we mnie przez trzy lub cztery sekundy. Znacznie dłużej, niż trwa to zazwyczaj.

Teraz już wiem. O dziwo nagle się rozluźniam. Wypuszczam z ulgą powietrze. Wiedzieć to znacznie więcej niż żyć nadzieją albo złudzeniami. Niepewność jest diabelską katogą.

– Tedzie Bundy... – Sędzia zaczyna ochryplym, zmęczonym tonem. – Byłbyś doskonałym adwokatem, żałuję, że więcej nie spotkamy się na sali sądowej. Dbaj o siebie... Wiedz, że nie czuję do ciebie wrogości. Jeszcze raz... Dbaj o siebie³¹.

Ktoś obok mnie głośno wypuszcza powietrze. Ktoś inny szepcze coś pod nosem. Tymczasem sędzia nie odrywa ode mnie wzroku. Niczym walec rozjeżdżający okopy wygłasza teraz to, co zostało ustalone w trakcie narady.

– Zostałeś uznanym winnym potrójnego morderstwa. Skazuję cię za to na karę śmierci na krześle elektrycznym³².

119.

WIĘZIENIE STANU FLORYDA W RAIFORD

– Jestem w ciąży.

Co takiego? Osłupiały spoglądam na Carole. Czasem strażnicy dają się przekupić wspólnym funduszem więźniów i pozwalają im na kontakt bezpośredni. Wtedy pokój spotkań dla kilkunastu osób zamienia się w królikarnię.

No to pięknie. Carole jest w ciąży. Zdaje się z tego faktu całkowicie zadowolona. Wstaje i wskazuje na swój brzuch. Nie widzę żadnej wypukłości. Nie czuję niczego. Ani radości, ani zdenerwowania. Nic.

Czy gdyby media się dowiedziały, że zostanę ojcem... Co by zrobiły? Jak by to przedstawiły? A w jaki sposób zareagowałoby społeczeństwo? Wydaje mi się, że mogłaby to być szansa pokazania mnie w korzystniejszym świetle. W końcu czy bestie mogą mieć dzieci? Nie sądzę. Do ich posiadania potrzeba miłości. A to już coś.

Dziecko może się przydać.

– Poradzisz sobie? – pytam odruchowo. To pytanie przychodzi mi do głowy jako pierwsze, choć odpowiedź niewiele mnie interesuje. – Kiedy tylko stąd wyjdę, zajmiemy się nim razem. Ale potrzebuję jeszcze kilku miesięcy, może nawet ponad roku, aby udowodnić, że jestem niewinny.

– Wiem. I będę na ciebie czekała. – Carole odchrząkuje i się poprawia. – Będziemy.

- Wspaniale. Cieszę się.

Zmuszam się do uśmiechu. Puszczam nawet do niej oko.

- Gdyby dzisiaj... - Wskazuję ruchem głowy na strażnika. Carole rozumie, co mam na myśli, i wzdycha. - Jest ten służbista. Przy nim nigdy nic się nie da.

- Następnym razem.

- Tak. Następnym razem. Już się nie mogę doczekać.

Nie tylko ja. Gdy wraz z innymi więźniami wchodziłem do pokoju przesłuchań, wszyscy zerkali na to, kto jest dowódcą warty. Drętwy, przypominający wielką sowę Clarence jest największym służbistą. Nigdy nie udało się nam go przekupić, a raz zagroził nawet, że zgłosi to przełożonym. Wybuchnęliśmy śmiechem, lecz nikt nie odważył się na choćby muśnięcie dłoni odwiedzających. Mam nadzieję, że ten drab w końcu zostanie zamordowany.

- Czuję się zupełnie normalnie. - Carole stwierdza to, o nic niepytana. Uświadamiam sobie, że czekała, abym poruszył właśnie ten temat.

- Widzę, że pięknie wyglądasz, więc domyślam się, że musisz czuć się równie dobrze.

- Jesteś słodki, Ted. Czy oni nie rozumieją, że ktoś taki jak ty nie byłby zdolny do morderstwa?

Wzruszam ramionami. W sumie nie obchodzi mnie to tak bardzo, jak mogłoby się wydawać.

- Musimy pomyśleć nad imieniem - oznajmiam. - Dla chłopca i dla dziewczynki.

Przez głowę przechodzi mi myśl, że po mojej śmierci na świecie zostanie więcej, niż się spodziewałem. Chichoczę, a Carole zaczyna chichotać wraz ze mną³³.

Kolejne lata to nieustanne oczekiwanie. Odbywają się uzupełniające procesy, trwa cały cyrk, ale ja tylko czasem biorę w nim udział. Już nie posiadam tamtej energii, którą emanowałem na początku. Nie widzę w tym sensu. Wszyscy umieramy, choć mało kto wie, w jaki sposób ma umrzeć. Być może dostałem to szczęście.

Mimo to walczyć należy do końca. Skoro postępowania sądowe toczą się wedle ustalonego schematu, szukam innych rozwiązań. Chciałbym wydostać się na wolność i jeszcze raz się porządnie zabawić. To jedyne, o czym marzę.

Tym razem sufit mojej celi jest jednolitą betonową konstrukcją. Podłoga również. Strażnicy pilnują mnie w trakcie spacerów, a stołówka w tym więzieniu przypomina wojskowy plac apelowy. Mnóstwo funkcjonariuszy z bronią stoi przy drzwiach oraz oknach. Nie chodzą między stolikami, lecz mają wszystkich na oku.

Za przemycone przez Carole pieniądze udaje mi się kupić dwa małe brzeszczoty. Nie mam pojęcia, jak trafiły do więzienia i komu służyły, lecz ich zęby noszą wyraźne ślady użycia. Zupełnie jak moje własne.

Teraz stoję przed celą, przyglądając się jej przeszukaniu. Albo ktoś na mnie doniósł, albo strażnicy chcą zrobić mi na złość. Kiedy jeden z nich trafia na ukrytą piłę, zostają obrzucony drwiącymi spojrzzeniami.

– Dostałem na przechowanie – rzucam. – Ale nie pamiętam od kogo. Wiecie, jakie tu są warunki...

Strażnicy nie podejmują rozmowy. Z jeszcze większym zaangażowaniem prowadzą dalsze przeszukanie. Opukują ściany, podłogę oraz kraty.

– Nic więcej nie znajdziecie. Możecie odpuścić i pójść na obiad.

– Cicho, Bundy.

– Nie jesteście głodni? Ja jestem... Diabelnie.

W tym momencie jeden ze strażników natrafia na naruszony pręt w oknie. Klnie, po czym przywołuje towarzyszy. Pokazuje im dzieło mojej pracy z ostatnich tygodni. Całkowicie przepiłowany drut, który został ponownie wstawiony na miejsce przy użyciu kleju wykonanego

według więziennego przepisu. Zamierzałem przepiłować jeszcze dwa pręty, a potem wyłamać je za jednym razem tak, bym mógł przejść przez powstały otwór. Zacząłem nawet ponownie ćwiczyć oraz chudnąć.

- Nie mam z tym nic wspólnego - zaprzeczam. - To musiało już być zrobione...

- Zamknij się, Bundy. Cofnij się pod ścianę i milcz. Możesz przygotować się do przeprowadzki³⁴.

121.

To trwa całe miesiące. Zabawa w kotka i myszkę. Karuzela wzlotów oraz upadków. Próby zdobycia brzeszczotów i przeszukania celi. Zostaje mi odebrany fragment lusterka oraz ostrego szkła. Trafiam do izolatki za wymienianie wiadomości z innymi osadzonymi. Choć władze więzienia nie mają pojęcia, o co chodzi w naszym szyfrze, uznają, że przygotowywaliśmy się do ucieczki. Każdy z nas trafia do innego skrzydła zakładu.

Wreszcie nadchodzi dzień, którego się obawiałem. Trzymam zawiadomienie z datą mojej egzekucji. Wyznaczono ją na 2 lipca 1986 r.

Ręka wcale mi nie drży. Nie jestem przestraszony ani nie tracę gruntu pod nogami. Puls nie skacze mi do nadzwyczajnych poziomów. Powoli wypuszczam powietrze i siadam. Spodziewałem się tego pisma każdego dnia. Opracowałem już wszystko. Przygotowałem się na rozmaite warianty.

Przy optymistycznym założeniu sytuacja miała wyglądać nieco inaczej. Zakładałem, że do momentu otrzymania tej informacji uda mi się zrobić grunt do ucieczki. Jednak po całej serii niepowodzeń, rewizji oraz przenosin nie mam na nią szans. Nie w ciągu najbliższych tygodni ani miesięcy.

Jednak są rozmaite sposoby przedłużenia sobie życia. Wiem, jak zyskać na czasie, by móc ponownie przygotować się do pryśnięcia.

W końcu od pewnego czasu zbieram informacje o tym, jak zbudowane są autokary więzienne i w jaki sposób odbywa się transport do celi śmierci. To byłby nadzwyczajny numer. Uciec tuż przed egzekucją. Wtedy wszyscy widzą cię jako trupa, a tu voilà – następuje zmartwychwstanie. Jednak ten temat lepiej odsunąć na jak najpóźniej. W przypadku niepowodzenia na dalsze działania będzie już naprawdę mało czasu.

Tymczasem mam jeszcze jedną kartę przetargową. Już teraz. Kiedy po kilku godzinach spotykam się z adwokatem przekazuję mu prosty komunikat.

– Porusz niebo i ziemię i powiedz wszystkim, mediom, prawnikom, psychologom, komukolwiek chcesz, że będę mówił. – Nie uśmiecham się ani nie zdradzam żadnych emocji. Oznajmiam to tonem najnudniejszego prezentera pogody. – Wyznam całą prawdę i powiem, gdzie ukryłem ciała ofiar. Nie będę już niczego zatajał. Chcę, żeby rodziny mogły pochować swoich bliskich i dowiedziały się wreszcie, kto i w jaki sposób zginął. To ich święte prawo. Jestem im to winien...

122.

Przez kilka tygodni rozmawiam, z kim tylko się da. Jednak nieustannie umiejętnie dozuję informacje. Na razie nie przyznaję się do żadnych zbrodni. Czekam na ruchy prokuratury i władz stanowych. Liczę, że rodziny zaginionych oraz ofiar będą naciskały, aby obietnicą niższej kary albo zniesienia wyroku śmierci skusić mnie do mówienia.

Ochoczo mówię o sobie. Psychiatrom i psychologom. Dziennikarzom oraz śledczym. Żałuję, że wcześniej nie mogłem tak szczerze z nikim pogadać. Być może wtedy nie doszłoby do niczego straszniejszego... Wielokrotnie czułem taką potrzebę, ale wiecie, jak jest... Kiedy dowiedziałem się, że osoba, którą postrzegłem jako siostrę, jest

moją matką, a do tego wszyscy mówili, że spłodziła mnie ze swoim ojcem... Niech to diabli. Czy ktoś byłby w stanie to znieść?

Do tego ciężka ręka dziadka. Te wszystkie pogonione koty, ci wszyscy obrażeni ludzie... I jego stosunek do żony. Czy mogłem mieć jakiegokolwiek wzorce?

Chlip, kurwa, chlip.

Powtarzam te łzawe głupoty, jednocześnie nic nie mówiąc o ofiarach. Wymyślam i ściemniam. Dorabiam historię sobie oraz wszystkim, których poznałem. Rodzicom, dziadkom, przyjaciołom oraz kochankom. Publicznie nadal utrzymuję, że jestem niewinny. Zgadzam się nawet pomóc policji przy sprawie Mordercy znad Green River. Sam się zgłaszam na chętnego, a oni, o dziwo, się zgadzają. Tworzę jego profil, opowiadam, jak mogliby próbować go złapać, i przyrównuję go do siebie. Niech szukają świeżych grobów i zastawią pułapkę... Na pewno wraca do swoich ofiar³⁵.

Czas płynie. Wszyscy starają się zachować jak najdłużej swoje karty w ukryciu. Blefujemy. Wiem to.

Pierwszego lipca, niespełna dobę przed planowaną egzekucją, sąd apelacyjny zawiesza wykonanie kary śmierci i przekazuje sprawę do ponownego rozpatrzenia. Zostaję poddany formalnym badaniom psychiatrycznym. To mój kolejny tryumf. Nie mam wątpliwości, że wszystko jest rezultatem wywiadów przeprowadzonych ze mną w ostatnich tygodniach. Ktoś zasiał ziarno niepewności, a ktoś uznał, że z ostrożności należy wyczerpać wszelkie procedury. A może nie chodziło o ostrożność, lecz o ten tak zwany „humanitaryzm”.

- Po latach okazało się, że wielu skazanych na karę śmierci było niewinnych, prawda? - rzucam to pytanie do dziennikarki mijanej w trakcie jednego z transportów. - Potrzeba mi tylko czasu, by udowodnić, że ja również jestem niewinny. Jeśli mnie zabiją, nie będę mógł tego zrobić.

Kolejne ziarno niepewności. Trwający sekundę kontakt wzrokowy upewnia mnie, że dziennikarka napisze o tym cały artykuł. To dobrze.

Na rozmowy o ofiarach i odkrywaniu ich ciał przyjdzie jeszcze czas. Wiem to. Czekam spokojnie, aż wyczerpują się wszelkie środki odwoławcze. Wówczas zapraszam do siebie na rozmowę śledczych.

- Moje wyjaśnienia nie potrważą kilku godzin, kilka dni to również będzie zbyt mało - oznajmiam na wstępie. - Jeśli chcecie poznać prawdę, przygotujcie się na wiele dni ciężkiej pracy. Będziemy harować jak woły, lecz efekt będzie was satysfakcjonował. To jak, jesteście gotowi?

HEJ, HEJ, GOODBYE!

123.

- Tak, zabiłem te osiem osób.

- Może pan to powiedzieć głośniej?

Spoglądam na dyktafon, po czym przenoszę wzrok na śledczego. Keppel ma zaczerwienioną twarz, pot na czole i co chwilę wkłada palec między kołnierzyk a grdykę.

- Tak, zabiłem te osiem osób w stanach Oregon oraz Waszyngton - oznajmiam. - Wasze podejrzenia były słuszne.

- Dziękuję.

Keppel coś notuje, po czym ponownie na mnie spogląda. Jest jednym z ludzi, którzy potrafią najdłużej wytrzymać ten kontakt wzrokowy. To cholerny profesjonalista. Nigdy się nie unosi i nie stara się mnie sprowokować. Po prostu słucha, ewentualnie dopytuje swoim sympatycznym, głębokim głosem. Kiedy ja się uśmiecham, jego usta również drgają w delikatnym grymasie przypominającym uśmiech.

- Powiem coś więcej. - Pochyliam się ku niemu i odchrząkuję, dając do zrozumienia, że to będzie coś bardzo istotnego.

- Proszę, śmiało.

- Jesteśmy tu, abym wyznał całą prawdę, zgadza się?

- Tak.

- Świetnie. Mógłbym to zrobić...

Zawieszam głos, a śledczy wstrzymuje oddech. Zwracam uwagę, że jego pierś zastyga w bezruchu. Zdaje się, że przygryza policzek od środka.

- Zabiłem w tych stanach jeszcze pięć osób, o których nie macie pojęcia - szepczę. - Nigdy o nich nie wiedzieliście. Pewnie figurują w rejestrze zaginionych.

Keppel przesuwa bliżej dyktafon i pełną piersią wciąga powietrze. Powstrzymuje się, by nie pokręcić z niedowierzaniem głową. Wiem to. Milczy przez kilka sekund, wreszcie udaje mu się zebrać myśli.

– Gdzie są te ciała?

Wymieniam kolejne miejsca, a śledczy skrzętnie wszystko zapisuje. Długopis ślizga mu się w dłoni lepkiej od potu.

– Czy może pan zdradzić mi ich tożsamość? Imiona? Nazwiska?

– Nie. Nie teraz.

Uśmiecham się i wzruszam ramionami. Oto moja karta przetargowa. Rzuciłem haczyk, a ryba się złapała. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nagle jednak śledczy wstaje od stolika i nie hamuje irytacji. Zwraca się do mnie bez dotychczasowego formalnego tonu.

– Liczysz, że wstrzymamy egzekucję, bo rodziny będą chciały informacji o innych szczątkach? – Parska. – Mylisz się. Oni wszyscy wiedzą, że ich bliscy nie żyją. Marzą jedynie o tym, by zobaczyć cię na krześle elektrycznym. Marzą o tym, żeby zobaczyć, jak się smażyysz.

Śledczy wychodzi. Trzaska drzwiami, a w jego miejsce przy mnie pojawia się dwóch strażników.

124.

Samobójstwo.

Mógłbym popełnić samobójstwo, aby nie dać im satysfakcji patrzenia na to, jak umieram. Sam dysponuję swoim ciałem, decyduję o nim i o moim losie. Ostatniego dnia wyznaję mnóstwo szczegółów, ale śledczy już mi nie ufają. Ponoć w ostatnio wskazanych miejscach nie odnaleziono żadnych zwłok. Mamie ich. Owszem.

Moja nowa adwokat poinformowała mnie, że na adres więzienia przychodzi mnóstwo kartek od kobiet marzących o spotkaniu ze mną. Ponoć wierzą, że jestem niewinny. Niektóre z nich wydzwanają na

numery naczelnika oraz rozmaitych wydziałów. Koniecznie chcą usłyszeć mój głos.

Dziennikarka, z którą moje spojrzenie spotkało się przed paroma dniami, napisała bardzo wymowny artykuł. Postawiła w nim tezę, że mógłbym być niewinny. Że właściwie nie skazano mnie na podstawie nazbyt mocnych dowodów, a wielu ludzi miało wątpliwości, jak „tak ujmujący i dobrze zapowiadający się młody człowiek mógł popełnić okropne zbrodnie”. To miłe.

Moje zdjęcia są przedrukowywane w kolorowej prasie. Trafiłem ponoć nawet na jakieś plakaty. Jednocześnie słyszę wrzaski tłumu zebranego pod więzieniem, który domaga się jak najszybszej egzekucji. To rodziny ofiar i ich znajomi. Są tchórzami. Wierzą, że moja śmierć sprawi im ulgę i zmniejszy tęsknotę. Nie mają jednak pojęcia, że są na to zbyt słabi. Nigdy nie zaznają wytchnienia. Nigdy nie zaznają spokoju.

– Jesteś bardzo zdolna – mówię to, spoglądając prosto w oczy mojej adwokat. To naprawdę atrakcyjna kobieta. – Jesteś inna od nich i wiem, że mnie rozumiesz.

– Rozumiem cię, ale nie usprawiedliwiam, a to istotna różnica.

– Hej! Skąd ten cierpki ton? Być może to nasza ostatnia rozmowa i chcesz ją zakończyć w ten sposób?

Prawniczka spogląda na mnie smutno. Dotyka mojej dłoni, lecz zaraz się cofa.

– Ludzie twierdzą, że mamy romans. Nawet Carole...

– Carole? Czekam na jej odwiedziny.

Marszczę czoło i mrużę oczy. Kręcę głową.

– Ona mi ufa...

– Nie odkąd zacząłeś składać zeznania. Wierzyła, że jesteś niewinny, a ty...

– Przecież przyznałem się tylko po to, by opóźnić wyrok! – krzyczę. – Ona nie może wierzyć w te farmazony. Doskonale wie, że... Że...

Gubię wątek. Przeczesałem włosy i wzdycham. Ponownie spoglądam na adwokata.

- A więc zostałaś już tylko ty. - Zmuszam się do uśmiechu. - Cieszę się. Jesteś wyjątkowa, więc mogę być z tego dumny. Ja...

Wyciągam ku niej rękę. Palce naszych dłoni się splatają i delikatnie gładzę jej skórę. Jak łatwo mógłbym teraz skrócić jej kark. Wystarczyłaby sekunda, a dopadłbym do niej i posiadał ją tak, jak posiadałem te wszystkie kobiety. Z trudem odgarniam tę wizję.

- Porozmawiaj z rodzinami ofiar, dobrze? - proszę. - Niech one zwrócą się do władz o wstrzymanie egzekucji. To na pewno zadziała.

125.

- Co się dzieje?

- Trwa łączenie.

- Jak długo mam czekać?

- Już. Chwilę.

Strażnik kontaktuje się z drugim, który wybrał numer Carole. Chcę z nią porozmawiać. Za godzinę mam zostać stracony. To mój ostatni telefon.

Funkcjonariusz odwraca się i daje drugiemu ukradkowy znak. Domyślam się, co się dzieje.

- Osoba, z którą chciał się pan skontaktować, odmawia rozmowy.

Szlag. Nie wierzę.

- Ta osoba to Carole, moja żona! Matka mojego dziecka! - wrzeszczę.

- Na pewno wybraliście dobry numer?

- Tak, owszem. Rozmawiałem z nią, proszę pana. Powiedziała, że nie chce z panem mieć nic wspólnego.

- Ale...

- Przykro mi.

- Wobec tego... - Ocieram twarz dłońmi i podejmuję decyzję. -
Wybierzcie numer mojej matki³⁶.

126.

Ostatni posiłek? Mam go w nosie.

- Przysługuje panu prawo, aby wybrać to, na co ma pan tylko ochotę.

- Już powiedziałem. Jest mi to zupełnie obojętne. Dajcie mi to samo
co wszystkim i nie zwracajcie sobie mną głowy.

Strażnik mlaska. Wydaje mi się, że czuje do mnie sympatię, a może
nawet jest mu mnie szkoda.

- Na pewno? - dopytuje, jakby nie potrafił się ze mną rozstać. - To
nie zwracanie głowy, tylko wyraz szacunku do drugiego człowieka. Bez
względu na to, kim on jest.

- Jestem taki sam jak pan - odpowiadam niedbałym tonem, po czym
dodaję: - Przepraszam... Nie chciałem pana urazić.

- Nie uraził pan.

Strażnik zamyka lufcik i słyszę, jak się oddala. Po jakimś czasie na
tacy zostaje mi podany zwyczajny posiłek. Stek, jajka oraz tosty. Nie
jestem głodny. Nie potrafię przełknąć choćby kęsa...³⁷

127.

24 STYCZNIA 1989 R., RAIFORD

Za oknem samochodu widzę zgromadzony tłum. Kilkaset osób tłoczy się
przed murami więzienia, w którym znajduje się pokój straceń.
Dostrzegają nasz wóz i zaczynają jeszcze głośniejsze wiwatować oraz
skandować hasła domagające się mojej natychmiastowej egzekucji.

Popijają przy tym kawę i piwo. Tańczą. Mimo że jest blade światło, ich impreza rozkręca się w najlepsze. To prawdziwe święto.

– Usmaż się, Ted. Usmaż!

Słyszę ten krzyk i znudzony odchylam się w fotelu. Odcinam się od tej wrzawy. Staram się nie skupiać na słowach. Przemykam oczy i koncentruję się na własnym oddechu. Przeżyłem życie tak, jak chciałem. Mam czterdzieści trzy lata, ostatnie jedenaście spędziłem za kratami. To nie był zły czas.

Choć zostałem ekskomunikowany z Kościoła mormonów, w ostatnich chwilach ma mi towarzyszyć minister³⁸. Zgodził się na to. Właściwie to moje prawo i nie wiem, czy mógłby odmówić. Nie spotkałem się z podobnym precedensem, a uwierzcie mi, znam się na nich całkiem nieźle.

Żałuję, że nie udało mi się przeciągnąć tych ludzi na swoją stronę. Wolę być kochany niż nienawidzony. Liczę jednak, że rodziny ofiar wpłynęły na decyzję o ułaskawieniu bądź ponownym odroczeniu egzekucji. Przecież ci ludzie powinni chcieć poznać los swoich bliskich! W ostatnich godzinach podałem szczegóły dotyczące kilkunastu kolejnych zabójstw. Śledczy bez problemu mogą je potwierdzić i przekazać władzom stanowym.

Poza tym mój umysł... Moja historia jest cenna dla psychiatrów i psychologów, dla tych wszystkich badaczy z FBI oraz innych instytucji, aby uniknąć podobnych zbrodni w przyszłości.

– Ile osób zabiłeś, Ted?

To pytanie zadawano mi chyba tysiące razy. Budzi mój uśmiech. Wiem, że mnie doceniają i że ich fascynuję. Was również, prawda? Dzięki temu jestem nieśmiertelny.

– Do tych trzydziestu kilku, które mi przypisujecie, dodajcie setkę – odpowiadam, wzruszając ramionami. – A może dwie setki? Mógłbym wam o nich poopowiadać, gdybym miał więcej czasu. Wy mi go daliście... Wy przedłużyliście moje życie.

Jednak łaska gubernatora nie nadchodzi. Siedzę podpięty do aparatury i staram się zachować spokój. Może telefon zadzwoni w ostatniej chwili? Zostało jeszcze kilka sekund.

Tracę nadzieję. Kiedy kolejne skórzane pasy krępują moje ciało, drżą mi ręce. Kat się wyprostowuje i spogląda na mnie z uroczystą powagą.

– Czy ma pan jakieś ostatnie słowa? – pyta.

Myślałem nad tym wcześniej. Za każdym razem porzucałem jednak ten temat, by nie zapeszać. Tak, czasem bywałem idiotycznie przesądny.

Zwracam się do duchownego, który stoi w rogu pomieszczenia. Obok niego znajduje się Coleman, jeden z moich adwokatów.

– Jim, Fred... – Nie potrafię opanować lekkiego drżenia głosu. – Chciałbym, abyście przekazali moją miłość rodzinie i przyjacielom.

To koniec.

128.

Milknę, a kat natychmiast zabiera się do swojej roboty. Przeciąga ostatni skórzany pas pod moim podbródkiem i przez usta.

Powoli opuszcza metalową czarękę, która dotyka czubka mojej głowy niczym jarmułka. Telefon nie zadzwoni. Teraz już nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Zostałem porzucony przez świat. A może sam się porzuciłem?

Dlaczego ci ludzie nie chcą poznać prawdy? Mógłbym im tyle powiedzieć. Jestem bardziej wartościowy żywy niż martwy.

Zawieszony naprzeciw mnie zegar wskazuje dokładnie 7:15.

Kat daje znać swojemu pomocnikowi, że jest gotów. Dźwignia zostaje przesunięta z cichym trzaskiem. Słyszę to. Znajduję się w stanie podobnym do momentu usypiania pacjenta przez anestezjologów. Myślę, że teraz powinienem odliczać. Wszystko odbywa się

w zwolnionym tempie, a świat zamyka się w mikroprzestrzeni mojego życia. W tych pięknych wspomnieniach.

Światło przygasa. Zaczyna mrugać, a w tym samym momencie ja staję się światłem. Jednocześnie z nim oraz z wszechświatem.

Mikroprzestrzeń staje się wszystkim. Rozlewa się w niebyt...

Minutę później Bundy nie żył. O 7:16 jeden z lekarzy przyłożył mu do piersi stetoskop. Drugi zaśwycił podręczną latarką w oczy. Obaj potwierdzili, że bodaj najbardziej makabryczny z seryjnych morderców jest martwy.

Ze zwłok Bundy'ego usunięto mózg. Przebadano go, poszukując jakichkolwiek anomalii, lecz na nic nie trafiono. Był to całkowicie zdrowy organ, dokładnie taki sam jak nas wszystkich.

W trakcie transportowania zwłok skazańca z zakładu karnego do kostnicy wybuchła euforia. Zgromadzeni pod więzieniem ludzie zaczęli tańczyć i śpiewać popularną piosenkę zespołu Steam. Białe karawan odprowadzały słowa:

*Na na na na, na na na na, hey hey, goodbye
He'll never love you, the way that I love you
'Cause if he did, no no, he wouldn't make you cry
He might be thrillin' baby but a-my love
(My love, my love)
So dog-gone willin', so kiss him
(I wanna see you kiss him, wanna see you kiss him)
Go on and kiss him goodbye, now
Na na na na, hey hey, goodbye
Na na na na, na na na na, hey hey, goodbye
Listen to me now
He's never near you to comfort and cheer you
When all those sad tears are fallin' baby from your eyes
He might be thrillin' baby but a-my love
(My love, my love)
So dog-gone willin', so kiss him*

(I wanna see you kiss him, I wanna see you kiss him)

Go on and kiss him goodbye, na na na na, na na na

Na na na na, hey hey, goodbye

Hey hey, goodbye

Na na na na, na na na na, hey hey, goodbye

Na na na na, na na na na, hey hey, goodbye

Na na na na, na na na na, hey hey, goodbye

Ale to jeszcze nie koniec. Moje zwłoki zostały, zgodnie z ostatnią wolą, spopielone i rozrzucone nad Górami Kaskadowymi w stanie Waszyngton. Właśnie tam, gdzie pochowałem szczątki kilku swoich ofiar.

Wiatr rozwiął moje prochy po całym świecie. Oddychacie mną. Wciągacie powietrze, w którym tkwi pozostałość po mnie. Jesteście mną. Każde z was.

Hey hey, goodbye...

== FADE TO BLACK ==

Johnny Culpepper Bundy:
23 kwietnia 1921 – 17 maja 2007

Eleanor Louise Cowell:
21 września 1924 – 23 grudnia 2012

Samuel Knecht Cowell:
23 września 1898 – 4 grudnia 1983

Eleanor Miriam Cowell (z d. Longstreet):
16 lutego 1895 – 25 kwietnia 1971

Carole Ann B.:
12 kwietnia 1947 – 13 stycznia 2018

Posłowie

Prawda bywa bardziej przerażająca od najbardziej makabrycznej fikcji. Te słowa pasowały do każdej z poprzednich części serii na faktach. A jednak... W tym przypadku zdają mi się nie oddawać rzeczywistości.

Po prostu bardziej przerażająca? To i tak zbyt mało. Zresztą nie o przerażenie chodzi, lecz o świadomość, jak mało brakuje, by każdy człowiek stał się Tedem Bundyem. Istotne są tylko okoliczności. Nie żadne choroby, nie uszkodzenia mózgu, nic z tych rzeczy. Sedno to geny oraz właśnie okoliczności. Sedno to instynkt oraz wolna wola.

Niektórzy psychiatrzy stawiali tezę, że Ted cierpiał na chorobę afektywną dwubiegunową, ale po debatach w środowisku raczej wycofywano się z takich wniosków. Mówiono o zaburzeniach narcystycznych osobowości, o skłonnościach psychopatycznych i socjopatycznych, lecz tak naprawdę to przecież jedynie żonglerka nomenklaturą.

Praca nad tą powieścią była nadzwyczaj trudna, ale zarazem satysfakcjonująca. Pierwsza trudność polegała przede wszystkim na konieczności wyłuskania sedna z niezwykle złożonego życia Bundy'ego. Druga – i najważniejsza – sprowadzała się do odtworzenia jego sposobu myślenia oraz postrzegania rzeczywistości.

Po przeczytaniu lub odsłuchaniu dziesiątek wywiadów dostrzega się, że bohater tej książki notorycznie manipulował swoimi rozmówcami. Przekazywał im to, co ci chcieli usłyszeć. W trakcie wywiadu (udzielonego dzień przed straceniem) z Jamesem Dobsonem, psychologiem i założycielem

chrześcijańskiej organizacji Focus on the Family Bundy, podkreślał, że za jego zbrodniami kryje się upodobanie do pornografii. Ciekawe... Tym bardziej że wcześniej wielokrotnie wzmiankował, iż tylko kilkakrotnie przeglądał pisma pornograficzne znalezione na śmietniku, a nigdy żadnego nie kupił. Tymczasem Dobson był jednym z najgorętszych orędowników zakazania dostępu do treści obscenicznych...

Po analizie materiałów, a przede wszystkim gdy już rozpocząłem proces pisania wedle mojej „pisarskiej metody Stanisławskiego”, obraz Bundy’ego zaczął stawać się komplementarny. Zaczynałem automatycznie oddzielać jego pozę od rzeczywistego „ja”. Nie potrafię wyjaśnić tego zjawiska, nie chodzi o metafizykę, lecz nagle bohater narracji pierwszoosobowej przemawia moimi ustami. Zapewne to autosugestia, ale wydaje mi się, że jego przemyślenia są dość przekonujące. Przynajmniej takimi wydały mi się w trakcie redakcji, już po wyjściu z roli.

W kilku momentach narracja wydaje się przesadnie chaotyczna lub wręcz przypomina ekspresjonistyczny strumień myśli. Rozważałem jej wygładzenie, lecz zarzuciłem ten pomysł. W końcu forma tej powieści miała jak najbardziej zbliżyć się do potencjalnych myśli mordercy. Nasiąknięty godzinami obcowania z jego głosem, wypowiedziami, cytatami i rozmowami o nim, a także zdjęciami ofiar czy miejsc zbrodni, odtwarzałem jego percepcję. Momentami wydaje mi się, że pojawiają się emocjonalne sprzeczności. Bundy jest zirytowany, by w ciągu sekundy niezwykle się podniecić. Kalkuluje, by nagle poddać się morderczemu instynktowi. Moim zdaniem właśnie taka jest ludzka psychika – to materia poddająca się nieustannym przeobrażeniom. W jego przypadku było to szczególnie widoczne.

W trakcie rozmowy z agentem specjalnym z jednostki behawioralnej FBI, Williamem Hagmaierem, Bundy stwierdził, że w zbrodni jest coś mistycznego. Że po śmierci obejmuje się ofiarę w posiadanie, a miejsce zabójstwa staje się na swój sposób święte. Każde wspomnienie mordu miało być dla niego wręcz ekstatycznym przeżyciem. Właśnie taka perspektywa towarzyszyła mi w trakcie procesu pisarskiego.

Zapewne znów pojawią się głosy, że książka mojego pióra jest zbyt makabryczna i przekracza jakieś tabu. Potraktuję to jako komplement. To nie książka jest taka. Taki był Ted Bundy.

Ukłony
Max Czornyj

Spis treści

Strona tytułowa

Rekomendacje

Dedykacja

Cytaty

1.

2.

3.

4.

TED BUNDY

5.

6.

7. 2 WRZEŚNIA 1974 R.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14. 19 PAŹDZIERNIKA 1974 R.

15.

16. KILKANAŚCIE LAT WCZEŚNIEJ

17.

18.

19.

20.

21. 16 SIERPNIA 1975 R.

22.

23. 1967 R.

24. 1968 R.

25.

26.

27.

28. 16 SIERPNIA 1975 R.

29. SAN FRANCISCO, 1968 R.

30. BURLINGTON, STYCZEŃ 1969 R.

31. 1975 R.

32. 8 LISTOPADA 1974 R., MURRAY, UTAH

33.

34.

35.

36. 1975 R.

37.

38. 8 LISTOPADA 1974 R., BOUNTIFUL, PRZEDMIEŚCIA SALT LAKE CITY

39.

40.

41. 1975 R.

42. 2 STYCZNIA 1974 R., SNOWMASS VILLAGE

43.

44. 1975 R.

45.

46. STYCZEŃ 1969 R., BURLINGTON

47. 1969 R., STAN WASZYNGTON

48.

49. 1971 R.

50.

51. 1975 R., SALT LAKE CITY

52. 1972 R.

53. 1975 R., SALT LAKE CITY

54.

55.

56.

57. 1973 R., KALIFORNIA

58.

59. LISTOPAD 1973 R., SEATTLE

60. 1975 R., SALT LAKE CITY

61. STYCZEŃ 1974 R.

62. 4 STYCZNIA 1974 R., OREGON, WASZYNGTON

63.

64.

65.

66. 1 LUTEGO

67.

68. 12 MARCA 1974 R.

69. 17 KWIETNIA

70. 10 MAJA

71.

72.

73.

74. 11 CZERWCA

75. 13 CZERWCA, RANEK

76.

77. 14 LIPCA, PLAŻA PRZY LAKE SAMMAMISH, ISSAQUAH

78.

79.

80. SIERPIEŃ 1974 R.

81.

82.

83.

84. STYCZEŃ 1975 R., SEATTLE

85.

86. CZERWIEC 1975 R.

87.

ZABAWA W KOTKA I MYSZKĘ

88. 2 PAŹDZIERNIKA

89.

90. STYCZEŃ 1976 R., SEATTLE

91. LUTY 1976 R.

92.

93.

94. 7 CZERWCA 1977 R., SĄD HRABSTWA PITKIN, ASPEN

95.

96.

97.

98. 13 CZERWCA 1977 R.

99. PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ, GRUDZIEŃ 1977, WIEZNIENIE HRABSTWA GARFIELD

100. 30 GRUDNIA

101.

102.

103.

104.

105. 15 STYCZNIA 1978 R.

106.

107.

108.

109.

110. 8 LUTEGO 1978 R.

111. 9 LUTEGO 1978 R.

112. 12 LUTEGO 1978 R.

113. 15 LUTEGO 1978 R.

Miesiąc później

114. MARZEC 1978 R.

115.

116.

117. 24 LIPCA 1979 R.

118. SIEDEM GODZIN PÓŹNIEJ

119. WIEZNIENIE STANU FLORYDA W RAIFORD

120.

121.

122.

HEJ, HEJ, GOODBYE!

123.

124.

125.

126.

127. 24 STYCZNIA 1989 R., RAIFORD

128.

Posłowie

Karta redakcyjna

Przypisy.

Copyright © by Max Czornyj, 2024
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone

Książka jest powieścią opartą na faktach. Jednocześnie część wydarzeń lub niektóre postacie mogą stanowić fikcję literacką, wykreowaną przez autora.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2024

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: domena publiczna

Redakcja: Marta Akuszevska

Korekta: Agnieszka Luberadzka, Jarosław Lipski

Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-394-6

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA NA FAKTACH

1 A. Rule, *The Stranger Beside Me*, Paperback, 2009 (tłum. własne).

2 Wywiad telewizyjny, www.youtube.com/watch?v=wBM4OZMfX4 (dostęp: 13.01.2024).

3 Ta ofiara Teda Bundy'ego nigdy nie została zidentyfikowana.

4 Według różnych przekazów była to ucieczka lub wyjazd w porozumieniu z rodziną. Bundy oraz jego bliscy różnie wypowiadali się na temat tego wieczoru.

5 Nagie ciało Melissy Anny S. odnaleziono 27 października w zaroślach u podgórza nieopodal miasta. Wszystkie nazwiska ofiar oraz osób związanych z Bundym (poza tymi najbardziej znanymi) postanowiłem skrócić do pierwszej litery. Nadal żyją niektóre z nich lub członkowie ich rodzin. Taką praktykę przyjęło wielu wydawców, choć oczywiście w oficjalnych źródłach zdecydowana większość z nich jest jawna.

6 Przed ukończeniem osiemnastego roku życia Bundy był co najmniej dwukrotnie aresztowany za kradzież samochodu i prowadzenie bez uprawnień.

7 W 2009 r. volkswagen beetle, którym jechał Bundy, został wystawiony w Muzeum Zbrodni i Kary w Waszyngtonie.

8 Jak wyznał Bundy w swoich tzw. taśmach – czyli materiałach z rozmaitych wywiadów, badań itd. (zmontowanych np. przez Netflix w programie *Rozmowy z mordercą*): „Związek, jaki miałem z Diane, wywarł na mnie trwały wpływ”.

9 Zgodnie z protokołem w volkswagenie znaleziono torbę sportową, maskę narciarską, worki na śmieci, nylonową pończochę z dziurami, latarkę, szpikulec do lodu, łom i kilka par rękawiczek.

10 W aucie, w którym schroniła się Carol, znajdowali się Wilbur oraz Mary Welshowie. To im kobieta zawdzięcza przeżycie.

11 Obecnie Wildwood Lodge.

12 To właśnie w tym Centrum Ted Bundy współpracował z Ann Rule, autorką późniejszej biografii *Ted Bundy. Bestia obok mnie*.

13 Psycholodzy wielokrotnie wypowiadali się na temat tego momentu w życiu Bundy'ego. Powszechnie uznaje się, że jego wszystkie działania z poprzednich lat miały na celu tylko uwiedzenie Diane, aby móc ją porzucić tak, jak ona porzuciła jego.

14 Napadnięta studentka – Karen S. – wybudziła się po dziesięciu dniach. Poza uszkodzeniami pęcherza doznała istotnej utraty wzroku oraz słuchu. Nigdy nie wróciła do pełni zdrowia. Uważa się ją za pierwszą ofiarę Bundy'ego.

15 W 1975 r. na zboczach Taylor Mountain w stanie Waszyngton odnaleziono zuchwę Lyndy Ann H.

16 Ciało Donny Gail M. nigdy nie znaleziono. Przypuszczalnie odkryto niektóre z jej ubrań nieopodal Eatonville. Znajdowały się przy nich szczątki niemożliwe do identyfikacji. Bundy kilkakrotnie przyznał, że spalił jej czaszkę w domowym kominku.

17 Czaszka i fragmenty zuchwy Susan Elaine R. odnaleziono u podnóża Taylor Mountain. Nosiły ślady licznych złamań.

18 Roberta Kathleen P. zaginęła 6 maja. Czaszkę odnaleziono w 1975 r. w okolicach Taylor Mountain. Najprawdopodobniej została śmiertelnie pobita.

19 Broszura była kolportowana przez wiele tygodni.

20 Robert Keppel, naczelnik wydziału zabójstw biorący udział w poszukiwaniu mordercy, wyznał w swoich wspomnieniach, że ten wyczyn Bundy'ego „był tak beczelny, że nieustannie zadziwiał policję”. R. Keppel, *The Riverman: Ted Bundy and I Hunt for the Green River Killer*, Nowy Jork 1995.

21 Bundy zmieniał wersje tej historii. W niektórych wywiadach twierdził, że Janice Ann O., pierwsza porwana, znajdowała się w aucie, gdy zaatakował przy nim drugą kobietę – Denise Marie N. Potem jednak temu zaprzeczył. Nie znaleziono żadnych dowodów, które jednoznacznie określiłyby przebieg wydarzeń. Pewne jest, że tego dnia zaciął kilka kobiet i uprowadził te dwie.

22 Po odnalezieniu ciała Laury Ann A. lekarz sądowy stwierdził, że zginęła po 20 listopada, co świadczyło o tym, że więziono ją co najmniej przez dwadzieścia dni.

23 Tego dnia Elizabeth nie powiedziała Bundy'emu, że w ostatnim czasie dwukrotnie zgłaszała go policji. Widziała portret pamięciowy porywacza z nad Lake Sammamish oraz informację o tym, że potencjalny morderca porusza się volkswagenem. Biuro szeryfa hrabstwa Salt Lake przyjęło jej zgłoszenie.

24 Bundy miał nieprawdopodobne szczęście. Niespełna godzinę przed jego przybyciem naczelnik więzienia wyszedł ze swego pokoju na kolację z żoną.

25 Dwie ostatnie kobiety przeżyły napaść Bundy'ego. Z rozlicznymi obrażeniami, lecz zostały uratowane. Kathy K. twierdziła, że morderca został spłoszony przez światła samochodu, który parkował pod budynkiem ich stowarzyszenia. Śledczy ustalili, że atak na wszystkie cztery kobiety trwał mniej niż piętnaście minut.

26 Była to Nita Neary.

27 Cheryl T. przeżyła atak Bundy'ego, jednak ogłuchła i przez całe życie miała problemy z równowagą. Jej dobrze zapowiadająca się kariera taneczna została brutalnie przerwana. Bundy zostawił w jej pokoju maskę zrobioną z rajstopy.

28 Zaczepiona przez Bundy'ego na parkingu Leslie P. miała 14 lat i była córką detektywa z Departamentu Policji w Jacksonville. Jest kolejną z niewielu osób, które przeżyły spotkanie z mordercą.

29 Kimberly Dianne L. nie dotarła na zajęcia. Jej szczątki zostały odnalezione 7 kwietnia 1978 r. w oborze dla świń nieopodal Parku Stanowego Suwannee River. Została zgwałcona, a jej szyja nosiła ślady obrażeń. Miała 12 lat.

30 Funkcjonariusz David Lee, usłyszawszy te słowa, nie miał pojęcia, że właśnie aresztował jednego z najbardziej poszukiwanych przestępców w historii USA. Podejrzał, że zatrzymał zwykłego złodzieja. Według innych relacji szeryf, który zapiął kajdanki na nadgarstku Bundy'ego, oznajmił: „Ty jesteś Ted Bundy, już się nam nie wywiniesz”.

31 Pełna wypowiedź brzmiała: „Take care of yourself, young man. I say that to you sincerely; take care of yourself, please. It is an utter tragedy for this court to see such a total waste of humanity as I've experienced in this courtroom. You're a bright young man. You would have made a good lawyer and I would have loved to have you practice in front of me, but you went another way, partner. Take care of yourself. I don't feel any animosity toward you. I just want you to know that. Once again, take care of yourself”.

32 Wyrok zapadł decyzją sędziego, przy remisie głosów przysięgłych (6 było za skazaniem na karę śmierci, a 6 za dożywotnim pozbawieniem wolności). Stało się to zresztą podstawą sporów prawnych, czy takie procedowanie było prawidłowe.

33 24 października 1982 r. Carole urodziła córkę, którą nazwano Rose Bundy.

34 Po tym odkryciu w lipcu 1984 r. Bundy został przeniesiony do izolátky, a potem do innej celi.

35 Po latach profil Mordercy znad Green River nakreślony przez Bundy'ego okazał się nadzwyczaj zgodny z prawdą. Mężczyzna został złapany w 2001 r.

36 Tej nocy Bundy dwukrotnie rozmawiał z matką. Szczegóły rozmów są nieznane.

37 Bundy nawet nie ruszył tego posiłku.

38 Duchowny mormonów.